CIVITAS CHRISTIANA

Katolickie Stowarzyszenie
„Civitas Christiana"
Oddział w Nowym Sączu

ISSN 1232-5910

ALMANACH SĄDECKI

R. XXVI
NR 1/2 (98/99)

CIVITAS CHRISTIANA

Katolickie Stowarzyszenie
„Civitas Christiana"
Oddział w Nowym Sączu

ALMANACH SĄDECKI

R. XXVI NR 1/2 (98/99)

Nowy Sącz 2017

Almanach Sądecki (kwartalnik)
Wydawnictwo Katolickiego Stowarzyszenia
„Civitas Christiana" w Nowym Sączu
33-300 Nowy Sącz
ul. Ks. Kard. Stefana Wyszyńskiego 3

Współpraca: Muzeum Okręgowe w Nowym Sączu – Instytucja Kultury Województwa Małopolskiego

Publikacja dotowana przez Urząd Miasta Nowego Sącza
oraz Starostwo Powiatowe w Nowym Sączu

Redakcja: Leszek Migrała – redaktor naczelny
Stanisław Korusiewicz, Stanisław Pażucha,
Robert A. Ślusarek, Beata Wierzbicka – sekretarz redakcji

Rysunki na okładce: Święty Świerad, rys. Wanda Zaremba. Ostatnia strona okładki – emblemat Krajowego Związku Nauczycielstwa Ludowego

Skład komputerowy: Wydawnictwo „Koliber"
Nowy Sącz, tel. 18 444 24 16

Druk: FLEXERGIS
Nowy Sącz, ul. Gwardyjska 38, tel. 18 444 33 44

Ks. Stanisław Pietrzak

MISJA CHRYSTIANIZACYJNA NA SĄDECCZYŹNIE – SKĄD I KIEDY?

Ogromnie ważne jest znać swoje korzenie, nie tylko te rodzinne, rodowe, ale i narodowe, by się nie zagubić w gąszczach tego świata. „Drzewo bez korzeni nadaje się tylko na drewno". To hasło wykorzystał np. niemiecki archeolog, rasista G. Kossina, kreśląc obraz starożytnych Słowian i Polski bez korzeni w Europie Środkowej, dając ideologiczną podstawę dla niemieckiego rewizjonizmu jako przyczyny II wojny światowej. Inni, niestety z naszego kraju, poszli jeszcze dalej, wprowadzając do szkolnych podręczników fałszywą tezę o bardzo późnym przybyciu Słowian z Azji do Europy, w dorzecza Wisły i Odry. Tezę tę obaliła dopiero genealogia paleogenomiczna genetycznego rodu R1a w licznych badaniach od roku 2008, np. Haak, Allentoft, Bałanowski i inni, wykazując, że ten ród żył na naszych ziemiach co najmniej około 3000 lat przed Chrystusem, od co najmniej archeologicznej kultury ceramiki sznurowej, zapewne praindoeuropejskiej. Sam czołowy genetyk rosyjski, Oleg Bałanowski, wskazuje na Polskę jako ojczyznę wszystkich Prasłowian (stąd zaskakujący tytuł jego wywiadu w Gazeta.ru: „Podrap Rosjanina, znajdziesz Polaka").

Jeszcze bardziej ważne jest znać korzenie swojej wiary i życia religijnego. Muszą one tkwić w Chrystusie i Ewangelii, a nośnikiem tych dóbr jest żywa i dobrze zweryfikowana tradycja Kościoła. Z tego wyrasta chrystianizacyjna misja Kościoła.

*

Piotr i Tadeusz Łopatkiewiczowie (zob. niżej, Literatura) w roku 2007 napisali: „Pietrzak przesuwa czas budowy kościoła tropskiego na połowę XI w. (1045), próbując powiązać tę świątynię z fundacją Kazimierza Odnowiciela, jakby wskazywać na to miała tradycja, zapisana w 1620 r. przez kamedułę Tomasza Miniego z Florencji. Mini stwierdza w swojej wzmiance ponadto, iż kościół w Tropiu został w 1073 r. poświęcony przez św. Stanisława Szczepanowskiego. Brzmi to jednak na tyle fantastycznie, iż Pietrzak sam w końcu kontrargumentuje swoją hipotezę zdaniem:

> [...] w związku z naturalnie powolnym postępem chrystianizacji, jeszcze w XI wieku zasadniczo trudno doszukać się w Polsce kościołów poza miastami siedzib biskupich (por. Pietrzak 2001a, s. 283-286).

„I słusznie! [...] komu by ta książęca fundacja miała służyć w środku karpackiej puszczy?" (Łopatkiewiczowie, s. 259, przypis 1305).

Otóż na ten dylemat mój i pp. Łopatkiewiczów publikuję odpowiedzi już od dość dawna, bo od roku 1993, a w nowej formie tutaj.

1. Z Imperium w okresie wpływów rzymskich III – IV w.?

Można by rozważać możliwość przybycia pierwszych głosicieli wiary na ziemię sądecką już w okresie tzw. wpływów rzymskich, np. w III – IV w. po narodzeniu Chrystusa, gdy w Kotlinie Sądeckiej działały rzymskie faktorie kupieckie, a w nich zapewne także chrześcijanie-banici, wygnańcy poza granice Cesarstwa Rzymskiego za wyznawanie wiary. Ci starożytni neofici znani byli ze swojej misyjnej gorliwości wśród utrapień. A wtedy Prasłowianie, jako przodkowie większości Polaków i nasi praojcowie, żyli już w tym rejonie, jak i zresztą w całej Polsce, co stwierdza genetyka. Jednak te starożytne misje z Rzymu można rozważać tylko jako możliwość, bo faktycznych ich śladów brak.

2. Z wielkomorawskiej Nitry misja św. Metodego?

Można rozważać późniejsze czasy działalności arcybiskupa Moraw i Słowacji św. Metodego, apostoła Słowian, w kraju Wiślan, do którego rejon Dunajca należał około roku 875. Odpowiedni zapis z tamtych czasów jest – mówi on o poselstwie arcybiskupa w obronie jakichś wcześniejszych tu chrześcijan, nękanych przez władcę Wiślan.

> Książę pogański, silny bardzo, siedzący na Wiśle, urągał wiele chrześcijanom i krzywdy im wyrządzał. Posławszy zaś do niego [kazał mu] powiedzieć [Metody]: Dobrze [będzie] dla ciebie, synu, ochrzcić się z własnej woli na swojej ziemi, abyś nie był przymusem ochrzczony w niewoli na ziemi cudzej; i będziesz mnie wspominał. Tak też się stało.

Niestety, materialnych i innych śladów działalności misji św. Metodego brak. Natomiast mamy sygnał, że jak w wielkomorawskiej słowackiej Nitrze, tak i tu byli wyznawczy Chrystusa już w czasach św. Metodego. Wobec tego pojawia się sens pytania o inną, nieco wcześniejszą chrystianizację w rejonie Dunajca.

3. Z wielkomorawskiej Nitry misja Iroszkotów?

W roku około 855 w państwie morawskim dochodzi do szczytu konflikt słowiańsko-niemiecki. Bratanek i następca władcy państwa wielkomorawskiego Mojmira książę Rościsław (846–870) postanowił rozprawić się militarnie z samowolą elementów niemieckich w państwie wielkomorawskim. A zaznaczyli oni tam swoją obecność już około 828 r., gdy biskup Salzburga Adalram w księstwie Pribiny w Nitrze na Słowacji poświęcił kościół ku czci św. Emerama i gdy w 831 r. biskup bawarskiej Pasawy Reginar „ochrzcił wszystkich Morawian". Rościsław w walce z Niemcami odniósł zdecydowane zwycięstwo. W tym konflikcie ucierpiała niestety i strona kościelna, kontynuująca pracę misyjną grupa duchownych „bawarskich" ze swoim biskupem. Zostali znieważeni i wyrzuceni z kraju. Relacjonują o tym nie bez wielkiego oburzenia biskupi bawarscy w liście do papieża Jana IX w 900 r.:

> Morawianie, którym szatan zatwardził serca, wzgardziwszy chrześcijanami i odrzuciwszy wszelką sprawiedliwość, zaczęli [swoich pasterzy] okrutnie wojskiem nękać i osaczać, i to do tego stopnia, że samemu biskupowi i nauczycielom wiary zablokowali drogę i wyrabiali [z nim], co się im podobało.

Wyrzuconych przez księcia Rościsława duchownych list nazywa „niemieckimi". W rzeczywistości jednak byli to głównie tzw. Iroszkoci, czyli kapłani, mnisi i świeccy pustelnicy głównie z Irlandii, ale i z Wysp Brytyjskich i celtyckiej Bretanii w północno-zachodniej Francji, licznie zaludniający europejskie klasztory, zwłaszcza w niemieckiej Bawarii albo

słoweńskiej Karyntii, niekiedy w większości zapełnione przybyszami z tzw. Zielonej Wyspy. Powstałe wcześnie na żarliwej wierze i aktywności apostolskiej św. Patryka (+461) zaczątki Kościoła w Irlandii, umocniły się i ekspandowały na kontynentalną Europę dzięki bujnemu rozwojowi irlandzkich klasztorów oraz przywódczych postaci, jak Kolumban zwany Starszym (+598) i Kolumban zwany Młodszym (+615). Ich wyróżnikiem i cechą było tzw. udawanie się na obczyznę i tzw. **„pielgrzymowanie dla Boga"**, życie wędrowne i pustelnicze w odległych celach, przepisywanie starożytnych rękopisów greckich i rzymskich, zamiłowanie do greki oraz uczoności. Sama Irlandia została nazwana „Wyspą Świętych i Uczonych".

W ramach idei misyjnego „pielgrzymowania dla Boga" św. Kolumban dotarł aż do północnych Włoch i tam założył iroszkocki klasztor w Bobbio, gdzie dokończył swojego żywota w 1615 r. Ale przed śmiercią, jak napisał jego uczeń i następca Jonasz z Bobio, Kolumban snuł plany udania się na misję wśród Słowian: albo nad Drawą w Alpach Wschodnich, albo raczej nad Dunajem, a więc w ziemi morawskiej i nitrzańskiej, by tu nauczać „Veneticorum qui et Sclavi dicuntur", czyli Wenetów zwanych także Słowianami. Oto te słowa Jonasza w rękopisie:

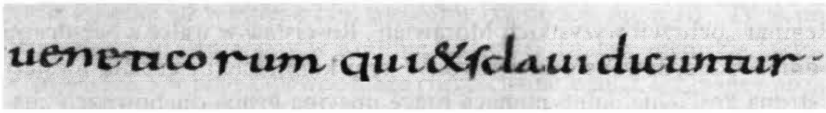

Pierwszym jednak i faktycznym misjonarzem wśród Słowian „północnych" był św. Amand z kręgu Iroszkotów, który około 630 r. przeprawił się przez Dunaj na północ i pasterzował wśród Morawian albo Nitrzan, choć niewielu nawrócił i ochrzcił. Dopiero opat iroszkockiego klasztoru św. Piotra w bawarskim Salzburgu, Wergiliusz, ten który w latach rządów pierwszego chrześcijańskiego księcia Chocimira (752–769) wśród Słowian południowych w Karyntii nad Drawą zorganizował owocne misje biskupa Modesta (+763), które uczyniły Karyntię pierwszym chrześcijańskim krajem wśród ludów słowiańskich, rozwinął także konkretną i zapewne osobistą działalność misyjną wśród Słowian żyjących na północ od Dunaju. Z tych misji brak jest relacji pisanych, istnieją co najwyżej ślady archeologiczne i pewien szczegół w późniejszym, przejętym od Wergiliusza nauczaniu św. Metodego (+885) o tzw. antypodach, czyli jakby drugiej ludzkości, żyjącej gdzieś po drugiej, domnie-

manej wówczas stronie ziemi. Idea ta była uważana za heretycką, gdyż stwarzała problemy co do Adama jako jedynego ojca ludzkości i co do jednego zbawienia w Chrystusie, dlatego była zwalczana przez biskupów niemieckich, zwłaszcza przez apostoła Niemiec św. Bonifacego, o brak ortodoksji.

Wracamy do wspomnianego wyżej zwycięstwa Morawian nad Niemcami. Rościsław po nim przekazał część swojej dzierżawy, księstwo nitrzańskie, swojemu bratankowi Świętopełkowi, bardziej łagodnemu wobec elementów niemieckich, ale wypędzeni duchowni nie powrócili. Ich miejsce mieli bowiem zająć święci Cyryl i Metody wraz ze swoimi uczniami. A gdzie udali się ci wypędzeni duchowni? Zapewne tam, skąd później, w swoim czasie po tym samym szlaku misyjnym, choć w przeciwnym kierunku, pustelnicy Świerad i Benedykt przybędą do Nitry, by kontynuować swoje pustelnicze i apostolskie życie. Na rok około 855 trzeba więc datować ów stary szlak religijny **Nitra–Tropie–Nitra**. Bowiem właśnie ślady obecności i działania owych Iroszkotów widzimy w kilku miejscowościach nad Dunajcem, w ziemi sądeckiej, tj. w ośrodkach pustelniczych Tropia, Tęgoborzy-Justu, Iwkowej koło Tropia, a może i w osadzie zwanej **Poświątne u św. Świerada** ("Poświątne ad Sanctum Zoerardum" w zapisie sądowym z 1520 r.) koło Podegrodzia.

a. W Tropiu

W Tropiu takim historycznym śladem jest pustelnia i kościół św. Świerada pustelnika. Według ustalenia archeologów romańska świątynia Tropiu sięga XI w. Natomiast według zapisu T. Miniego we Florencji (1620) i wcześniejszej inskrypcji, której ślady trwają do dziś na ścianie w prezbiterium, kościół fundowany był około 1045 r. przez Kazimierza Odnowiciela. Ta kamienna romańska świątynia jest w tym rejonie i w tym czasie wyjątkiem na Ziemi Krakowskiej. Nie mogła być zasługą biskupów krakowskich, niemających wówczas żadnego kościelnego wpływu na rejon Dunajca; taki datuje się dopiero na wiek XIII. Więc dla jakich chrześcijan powstał tu tak wczesny murowany kościół?

W Tropiu swoją wymowę ma też leśna kaplica-pustelnia św. Świerada. Średniowieczny historyk Jan Długosz, przebywający około 1461 r. na zamku w Melsztynie jako banita, nawiedził tę pustelnię w Tropiu i w swojej ***Historii*** pod rokiem 998 wiarygodnie zanotował:

W owym czasie dwaj mężowie wyróżniali się przykładnym życiem i obyczajami: Świerad, który nad rzeką Dunajcem, w pobliżu miasta Czchowa, w diecezji krakowskiej, zamieszkiwał pustelnię pod skałą, w której przez wiele lat trudził się dla Chrystusa i którą do dziś oglądamy, i Benedykt. Obydwaj pustelnicy, opuściwszy Polskę, udali się do Panonii i [...] trudzili się [dla Chrystusa]. Świerad, zwany też „Zorardus", dzięki umartwieniom zasłużył sobie na chwałę wyznawcy, a Benedykt, przelawszy krew, został uwieńczony koroną męczeństwa.

Owa Pustelnia do dziś jest miejscem i celem pielgrzymek. Także koło Podegrodzia miejsce zapisane w 1520 r. jako **„Poświątne u Świętego Świerada"** może być śladem czasowego tam przebywania tego świętego, zanim udał się na Słowację, gdzie w 1031 r. dokończył swojego żywota.

Sam patron kościoła w Tropiu, św. Świerad, który najpierw około roku 998 przez wiele lat, żyjąc w pustelni w Tropiu, **„trudził się dla Chrystusa"**, jak to określił Długosz, a potem, jak w roku 1064 zanotował bp. Pecsu Maur, jako misjonarz koło Nitry na węgierskiej wówczas Słowacji swoją pracą i apostolstwem **„pomnażał radość nawróconego ludu"**, święty jest zrozumiały tylko jako owoc jakiegoś bardzo wczesnego tu chrześcijaństwa, właśnie typu iroszkockiego, dzięki misji, dokonanej tu w IX w. Rysy duchowości Iroszkotów widzimy w napisanym na Węgrzech „Żywocie św. Świerada".

Pewne rysy osobowości św. Świerada domagają się, by je jakoś powiązać z elementami duchowości i kultury Iroszkotów, np.: jego przebywanie w samotnej pustelni, wówczas nigdzie w pobliżu niespotykane; sposób jego nocnych czuwań na modlitwie jakby za wzorem św. Patryka; wpisanie go przez Maura do tych, którzy wybrali „pielgrzymowanie (pobyt na obczyźnie) dla Boga", co praktykowali Iroszkoci; złożenie jego ciała w Nitrze, w bazylice św. Emerama, męczennika z kręgu Iroszkotów; sama wreszcie nazwa ***Tropie***, będąca odpowiednikiem i greckim tłumaczeniem topograficznej nazwy wsi ***Zawrót***, co wskazuje na Iroszkotów, którzy byli fanatycznymi miłośnikami greki i mieli z nią kontakt na co dzień, np. przepisując greckie manuskrypty.

b. Na Górze Świętego Justa-Jodoka w Tęgoborzy

W Tęgoborzy to wzgórze na trasie K75 zwane jest już przed rokiem 1374 ***Święty Just, Święty Just-Jodok*** albo ***Góra św. Justa-Jodoka***. W 1400 r. zbudowano tam klasztorek ku czci św. Justa-Jodoka. Upamiętnia ona miejsce

życia jakiegoś pustelnika o tym podwójnym imieniu, zmarłego w 1009 r. ucznia św. Świerada. W średniowiecznym życiorysie zapisano go jako niebieskiego patrona i opiekuna pielgrzymów. Pustelnik ten był zapewne czcicielem św. Jodoka z celtyckiej Bretonii z VII w., zwanego w Bawarii także pod imieniem ***Just-Jodok***. Jego relikwie w Saint Josse-sur-Mer nad Kanałem La Manche były miejscem zbornym wyruszających ku Rzymowi, Ziemi Świętej czy europejskich klasztorów pielgrzymów iroszkockich; był ich patronem w pielgrzymowaniu. I oni rozszerzali jego kult w Europie. Widocznie doszli także do ośrodka pustelników nad Dunajcem, gdzie późniejszy uczeń św. Świerada przyjął imię św. Justa-Jodoka.

c. W Iwkowej

Napisany w 1064 r. przez biskupa Maura na Węgrzech Żywot św. Świerada notuje także św. Benedykta, pustelnika, ucznia św. Świerada. Towarzyszył on św. Świeradowi z Polski do Nitry, żył z nim w leśnej pustelni i był na jego temat informatorem dla Maura. Maur zanotował, że Świerad, przyszedłszy z Polski do klasztoru otrzymał imię ***Andrzej***. Jednak nie zanotował, jakie w młodości imię miał ów Benedykt. Ale w Iwkowej koło Tropia czci się jakiegoś pustelnika Urbanka i pokazuje jego pustelnię leśną, źródło i z niego wypływający potok też o nazwie „Urbanek", przepływający obok pustelni. Choć tam czci się dziś św. Urbana papieża, to jednak nie zaginęła pamięć o jakimś pustelniku Urbanku, zapewne czcicielu papieża Urbana. Wolno go utożsamić z późniejszym Benedyktem na Słowacji. Otóż pytając o pochodzenie imienia iwkowskiego Urbanka czy Urbana, dochodzimy do alzackiego Ernstein, gdzie od 949 r. wniesiono uroczyście jego relikwie i eksplodował jego europejski kult, znów roznoszony przez pielgrzymujących po Europie Iroszkotów.

Zapewne przechodząc przez Ernstein, docierali do słowackiej Nitry i do Iwkowej koło Tropia. Sama nazwa ***Iwkowa***, zapisana w 1327 r., pochodzi od imienia ***Iwo/Iwon***. A to ma być celtycka wersja imienia ***Jan***, zapewne założyciela i pana tej wsi. Sołtys zaś drugiej części wsi nosił imię ***Brykcjusz***, a to imię także celtyckie. Do dziś tam co dziesiąty mieszkaniec nosi nazwisko ***Szot***, czyli po prostu Szkot, jak tłumaczą lingwiści (w Irlandii była także formacja klasztorów świeckich, rodzinnych). Także inne, typowo iwkowskie nazwisko ***Gawełda***, tłumaczy się jedynie pochodzeniem od celtyckiego etnonimu *Gaul*. Św. Gaweł (łać. Gallus, irl. Gaul) był współtowarzyszem św.

Kolumbana (+1615). Założył iroszkocki klasztor w Sankt Gallen w Szwajcarii, benedyktyński, promieniujący na kraje słowiańskie.

W tej miejscowości żyje też tradycja jakiegoś rycerza węgierskiego Beli. Ustalono, że chodzi tu o chroniącego w tej ziemi swoje życie kandydata do tronu węgierskiego, późniejszego króla o imieniu ***Bela I***. Był synem następcy św. Stefana na węgierskim tronie, Wazula, księcia Nitry, oślepionego i uśmierconego w 1031 r. przez stronnictwo niemieckie. Jako więc kolejny kandydat Bela ratował swoje życie ucieczką i schronieniem się pod osłoną Mieszka II przy polsko-węgierskim szlaku w pobliżu Tropia, zapewne właśnie w Iwkowej. On to urodzonemu zapewne w Iwkowej synowi nadaje imię wówczas modnego iroszkockiego świętego ***Magnus***, które później, po powrocie nad Dunaj, Węgrzy zmienili na rodowe ***Geyza***. To właśnie król węgierski Geyza I i znany czciciel św. Świerada (przechowywał u siebie łańcuch, narzędzie i pamiątką umartwień św. Świerada). Geyza z kolei swojemu synowi, także przyszłemu królowi Węgier, nadaje imię ***Koloman*** czyli ***Kolumban***, jakie nosił założyciel życia klasztornego w Irlandii. Koloman nosił także przydomek ***Uczony*** (węg. Konyves), jaki historia przypisuje zwykle Iroszkotom.

To wszystko chyba wyraźnie świadczy o tym, że był tu, na ziemi sądeckiej, jakiś ośrodek misyjny, pustelniczy i osadniczy Iroszkotów z centrum zapewne w Tropiu nad Dunajcem. Powstał on zapewne już w IX w. i prawdopodobnie trwał do około 1018 r., tj. do czasu przejęcia władzy nad regionem przez Bolesława Chrobrego, naruszenia religijnego ośrodka nad Dunajcem i odejścia ostatnich pustelników na południe, do macierzystego klasztoru koło Nitry. To nasza wielka, dotycząca Sądecczyzny historia!

Podstawowa literatura polska (wybór)

Henryk Kapiszewski

Prawie pionierskie prace tego historyka krakowskiego poprzedzały i towarzyszyły badaniom archeologicznym kościoła w Tropiu, prowadzonym w latach 1959–1966. Spośród kilkunastu jego publikacji szczególnie godne zalecenia są trzy:

1. Henryk Kapiszewski, *Cztery źródła do żywota św. Świrada*, „Nasza Przeszłość" t. 19 (1964).

2. Henryk Kapiszewski, *Eremita Świrad na ziemi rodzinnej*, „Nasza Przeszłość" t. 23 (1966).

3. Henryk Kapiszewski, Zygmunt Sułowski, *Andrzej Świerad*, [w:] *Hagiografia Polska*, t. 1, 1971.

Józef Tadeusz Milik, ks.

Ten biblista i orientalista, który zasłynął w świecie jako wytrawny w gronie pierwszych badaczy manuskryptów z Qumran, nagrodzony Srebrnym Medalem 25-lecia Pontyfikatu Jana Pawła II, poświęcił św. Świeradowi pierwszą w języku polskim monografię, wiążąc go, pod wpływem historyków emigracyjnych, z nurtem chrześcijaństwa grecko-bizantyjskiego, a zarazem słowiańskiego, metodiańskiego; dokonał też krytycznego wydania Żywota św. Świerada:

1. Józef Tadeusz Milik, ks., *Święty Świerad. Saint Andrew Zoeradus,* Roma 1966.

Stanisław Kozieł

Ten krakowski archeolog najdokładniej zrelacjonował przebieg i wyniki całości badań naukowych przy kościele w Tropiu, prowadzonych przez niego, jako archeologa, pod kierownictwem Andrzeja Żakiego (archeologa i historyka) i przy współudziale Stefana Świszczowskiego (architektura) i Józefa Dutkiewicza (ikonografia):

1. Stanisław Kozieł, *Dotychczasowe wyniki badań archeologiczno-architektonicznych przy kościele św. Świrada w Tropiu nad Dunajcem,* „Nasza Przeszłość" 23 (1966).

Józef Swastek, ks.

Ten historyk, profesor na Papieskim Fakultecie Teologicznym we Wrocławiu, rodak Tropia, napisał kilka wartościowych publikacji na temat świętych Świerada i Benedykta. Najważniejsze:

1. Józef Swastek, ks., *Święty Andrzej Świerad i jego kult w Tropiu,* „Nasza Przeszłość" 52 (1979).

2. Józef Swastek, ks., *Św. Andrzej Świerad*, [w:] *Polscy Święci*, t. 8, Warszawa 1987.

3. Józef Swastek, ks., *Św. Benedykt męczennik*, jak wyżej.

4. Józef Swastek, ks., *Święty Andrzej Świerad i jego kult w średniowiecznej Oławie do 1534 roku,* [w:] Stanisław Pietrzak, ks. [red], *Święty Świerad i jego czasy*, Nowy Sącz 2001.

Władysław Bobowski, bp

Rodak z Tropia, którego naukową specjalnością jest duchowość chrześcijańska (ascetyka), zajął się postacią świętego Pustelnika m.in. pod tym właśnie kątem:

1. Władysław Bobowski, bp., *Tropie; św. Andrzej Świerad. Szkic biograficzny i duchowość Świętego. Kult św. Świerada w Tropiu*, [w:] *Sanktuaria diecezji tarnowskiej*, „Tarnowskie Studia Teologiczne", t. 9, Tarnów 1983.

Władysław Szczebak, ks.

Jako historyk sztuki, wykładowca Instytutu Teologicznego i dyrektor Diecezjalnego Muzeum w Tarnowie, zajął się szczególnie zabytkami sztuki związanej z kultem św. Świerada w Tropiu i w tarnowskiej diecezji:

1. Władysław Szczebak, ks., *Święty Świerad w kościołach i kaplicach diecezji tarnowskiej*, „Tarnowskie Studia Teologiczne", t. 10, 1987.

Halina Rojkowska, Waldemar Niewalda i Eligiusz Dworaczyński

Historyk, historyk architektury oraz archeolog: zajmowali się od roku 1993 pracami badawczymi zamku Tropsztyn, związanego z Tropiem oraz z kultem świętego Świerada. Rezultatem badań jest publikacja:

1. Halina Rojkowska, Waldemar Niewalda, *Wytrzyszczka, ruiny zamku Tropsztyn, dokumentacja z badań historycznych i architektonicznych*, Kraków 1994.

Stanisława Tomkowicza Inwentarza zabytków powiatu sądeckiego. Z rękopisów Autora wydali i własnymi komentarzami opatrzyli Piotr i Tadeusz Łopatkiewiczowie, Kraków 2007 (48. Tropie, s. 258; 47. Tęgoborze-Just, s. 256).

Ryszard Grzesik

Poznański historyk-mediewista, redaktor *Słownika starożytności słowiańskiej* PAN i znawca początków i średniowiecznej historii państwa węgierskiego napisał ważny artykuł dotyczący naszego świętego:

1. Ryszard Grzesik, *Polski święty na Słowacji – Andrzej Świerad*, „Nasza Przeszłość" 92 (1999).

Leszek Bednarczuk

Krakowski językoznawca, profesor Akademii Pedagogicznej, zajął się kompleksowym opracowaniem problematyki imienia Świerad i innych jego wariantów:

1. Leszek Bednarczuk, *Językowe dziedzictwo świętego Świerada*, [w:] *Święty Świerad i jego czasy*, Nowy Sącz 2001.

Stanisław Pietrzak, ks.

Jako odpowiedzialny za kult św. Świerada, proboszcz w Tropiu i kustosz sanktuarium, odpowiadając na dotychczasowe wątpliwości niektórych historyków i językoznawców, zajął się naukowo problemem pochodzenia św. Świerada: jego związkiem z Polską, a w szczególności z Tropiem. Prace te zaowocowały nowym ujęciem zagadnienia początków chrześcijaństwa w rejonie Dunajca. W rezultacie tych studiów źródłoznawczych, językoznawczych i historycznych powstało kilka publikacji naukowych. Najważniejsze to:

1. Stanisław Pietrzak, ks., *Metodiańskie czy iroszkockie tradycje w naddunajeckim eremityzmie w X/XI wieku?*, „Tarnowskie Studia Teologiczne", t. 12 (1993).

2. Ks. Stanisław Pietrzak, *„Świrad zwany też Zorardem" – znad Adriatyku czy Dunajca?, cz. I*, „Slavia Antiqua", t. 39 (1998); *cz. II*, „Slavia Antiqua", t. 41 (2000).

3. Ks. Stanisław Pietrzak, *Św. Świerad a początek chrystianizacji w Małopolsce IX wieku*, [w:] *Dzieje Podkarpacia*, t. V, *Początki chrześcijaństwa w Małopolsce*, Krosno 2001.

4. Ks. Stanisław Pietrzak, [red], *Święty Świerad i jego czasy*, Nowy Sącz 2001.

5. Ks. Stanisław Pietrzak, *Święty Świerad w źródłach i tradycji*, „Almanach Sądecki" R. XV (56/57), 2006, s. 34-58.

Maurusa „Żywot świętych Pustelników Świerada i Benedykta" z roku 1064 oraz inne podstawowe teksty źródłowe, w oryginałach i przekładach, oraz ich omówienie, [w:]

1. Stanisław Pietrzak, ks., *Święty Świerad i jego czasy,* Nowy Sącz 2001. Najbardziej dostępne teksty źródłowe w przekładzie polskim.

2. Stanisław Pietrzak, ks., *Święci pustelnicy Świerad-Andrzej i Benedykt,* Tarnów – Tropie 2000 (wydanie broszurowe).

Jerzy Strzelczyk

Iroszkoci w kulturze średniowiecznej Europy, Warszawa 1987.

Leszek Migrała

STARY SĄCZ W OKRESIE NOWOŻYTNYM

W wiekach XVI – XVIII Stary Sącz zaliczał się do miast niezbyt dużych, licząc pod koniec XVII stuleciu około 2 tys. mieszkańców. Układ przestrzenny miasta tworzył jednomorgowy rynek ze wzmiankowanym po raz pierwszy w 1582 r. piętrowym ratuszem wieżowym oraz szachownicowy układ ulic. Na parterze ratusznym znajdowały się kramy; piętro użytkowane było przez wybierane na jednoroczną kadencję władze municypalne: radę miejską na czele z burmistrzem (urząd ten sprawował kolejno co miesiąc każdy z rajców) i sąd wójtowsko-ławniczy. W innym miejscu (być może w piwnicy) mieściło więzienie. Domy przyrynkowe z kramami sukienniczymi, jatkami rzeźnymi, straganami szewskimi i piekarniczymi były początkowo drewniane, później częściowo murowane; przy ulicach w sąsiedztwie rynku w całości drewniane. Na obrzeżach zwartej zabudowy miejskiej, poza układem szachownicowym, znajdował się kościół parafialny oraz obydwa klasztory – klarysek (od strony południowo-wschodniej) oraz franciszkanów (od strony północno-zachodniej)[1].

W latach 1519-1521 wójtostwo znajdowało się w rękach Jana Krążela, a następnie Mikołaja Kokorza. Od połowy XVI w. – jak twierdzi Wiktor Bazielich – wójtowie byli wybierani corocznie, co świadczy o tym, że wójtostwo zostało wykupione przez miasto. W 1561 r. wójtem był Jan Szabla, po nim zaś najczęściej członkowie rodziny Szablów, która wymarła na początku XVIII w.[2] Radę miejska na czele z burmistrzem, sąd wójtowsko-ław-

1 F. Kiryk, *Dzieje miasta w okresie staropolskim*, [w:] *Historia Starego Sącza od czasów najdawniejszych do 1939 roku*, pod red. H. Barycza, Stary Sącz 2007, s. 77-78, 89; Z. Beiersdorf, B. Krasnowolski, *Stary Sącz zarys historii rozwoju przestrzennego*, Kraków 1985, s. 42-50.

2 W. Bazielich, *Historie starosądeckie*, Kraków 1965, s. 49.

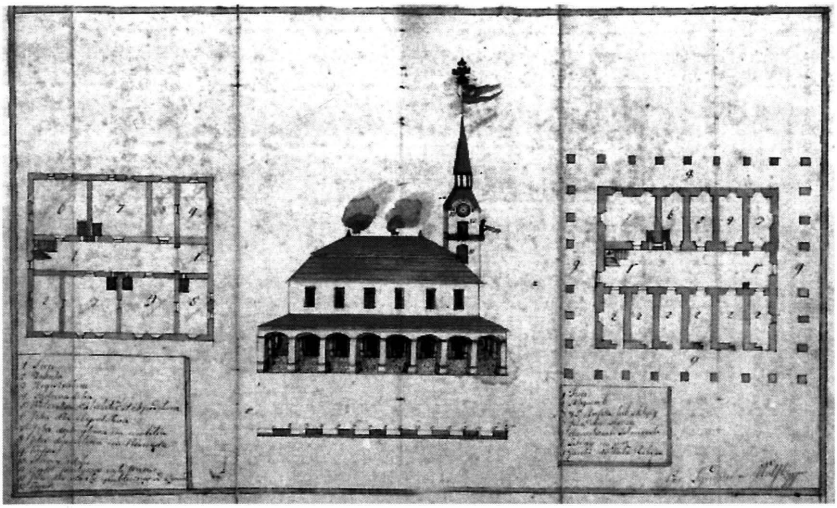

Plan starosądeckiego ratusza spalonego w 1795 r.
Zbiory Muzeum Regionalnego w Starym Sączu

niczy i starszyznę cechową wybierano corocznie. Oprócz wspomnianych Szablów, główną rolę w samorządzie miejskim odgrywały w XV i XVI w. rodziny Drozdów, Chiczaków, Oracewiczów, Sobków[3]. Specjalną rolę - w pewnym sensie nadrzędną - zajmował w sprawach dotyczących miasta klasztor Klarysek, właściciel Starego Sącza, który reprezentowany był przez pełnomocnika dóbr klasztornych. Na przełomie XV i XVI w. funkcję tę sprawował Jan Boczkowski, szlachcic obdarzony sołtystwem w Biegonicach, później m.in. Mikołaj Taszycki oraz Jan Gamrat[4].

Mieszkańcy nowożytnego Starego Sącza utrzymywali się z pracy na roli, rzemiosła i handlu. Nieliczne wzmianki z pierwszej połowy XVI w. poświadczają funkcjonowanie w mieście szewców, cieśli, młynarzy i bednarzy. Nieco późniejsze źródła informują o rozwoju browarnictwa, a przede wszystkim o powstaniu cechów rzemieślniczych: tkackiego (1588), kuśnierskiego (przed 1590) i szewskiego (1590), wyodrębnionych z istniejącego wcześniej (1454) cechu zbiorowego, których funkcja religijna polegała m.in. na opiece nad ołtarzami w starosądeckim kościele parafialnym: Przemienienia Pańskiego – cech tkaczy, św. Krzyża – cech szewców, św. Anny

3 F. Kiryk, *Dzieje miasta w okresie staropolskim...*, s.91.
4 W. Bazielich, *Historie...*, s.51, 72-73.

Karta z księgi wójtowsko-ławnicza z 1688 r. *Zbiory Muzeum Regionalnego w Starym Sączu*

– cech kuśnierzy, św. Katarzyny – cech zbiorowy kowali, złożony z przedstawicieli kilku różnych profesji, w tym ślusarzy, bednarzy i garncarzy. W późniejszym czasie powstały cechy rzeźnicki i krawiecki. Poza systemem cechowym rozwijało się piwowarstwo i gorzelnictwo; czynna była też łaźnia konwencka, obsługiwana przez cyrulika płacącego klasztorowi żeńskiemu 1 złp. i 6 groszy. Kół młyńskich zakupnych w drugiej połowie XVI w. było 5, a w pierwszej połowie XVII w. - 7. Więcej informacji dostarcza źródło z końca XVII w. (inwentarz miasta z 1698 r.), które informuje o funkcjonowaniu siedmiu cechów: szewskiego, kowalskiego (zbiorowego), krawieckiego, kuśnierskiego, tkackiego, piekarskiego i rzeźnickiego, skupiających łącznie 64 warsztaty rzemieślnicze, czyli większość z funkcjonujących, ale nie wszystkie istniejące wówczas w Starym Sączu. Charakterystyczne, że wielu mieszkańców miasto zajmowało się browarnictwem, wytwarzając duże ilości dobrej jakości piwa.

Do wyraźnego pogorszenia stanu gospodarki Starego Sącza i wielu innych miast polskich doszło na początku XVIII w. w związku z wydarzeniami wojny północnej i zarazami w latach 1705, 1707-1708, a szczególnie w roku 1710, kiedy to ludność Sądecczyzny została dramatycznie przetrzebiona przez morowe powietrze, o czym pisał ks. Jan Owsiński, proboszcz Jazowska w latach 1696-1721. Zaistniały wówczas regres gospodarczy objawił się m.in. spadkiem liczby warsztatów rzemieślniczych oraz groźbą likwidacji niektórych cechów starosądeckich. Kryzys był głęboki, ale symptomy poprawy w ekonomice miasta pojawiły się stosunkowo wcześnie – w trzecim i czwartym, a przede wszystkim w piątym dziesięcioleciu XVIII stulecia – co uwidoczniło się stosunkowo licznymi przyjęciami do terminu w cechu krawieckim, a także odnowieniem statutu cechowego kuśnierzy w 1748 r., zatwierdzonego przez ksienię klasztoru Klarysek Teresę Jolantę Zborowską[5].

W okresie nowożytnym Stary Sącz stanowił lokalny ośrodek wymiany handlowej, oddziałujący głównie na pobliskie wsie konwentu klarysek. Wzmożony obrót towarów odbywał się w czasie cotygodniowych targów w poniedziałki oraz jarmarków, które odbywały się m.in. w dzień Świętej Trójcy (w pierwszą niedzielę po Zielonych Świątkach), na śś. Feliksa i Adaukta (30 VIII) oraz na św. Elżbietę (9 XI). W mieście nie powstała odrębna warstwa kupiecka, co pozwala sądzić, że wymianą handlową zaj-

[5] F. Kiryk, *Dzieje miasta w okresie staropolskim*..., s. 65-70; tenże, *Miasta ziemi sądeckiej w XIII – XVI wieku*, „Rocznik Sądecki", t. XXXV, 2007, s. 105.

Skrzynia cechowa XVIII w. *Zbiory Muzeum Regionalnego w Starym Sączu*

mowali się sami rzemieślnicy, oferujący swe rękodzieło okolicznej ludności wiejskiej i zaopatrujący się u niej w produkty żywnościowe, niekoniecznie jednak w większych ilościach, jeśli wziąć pod uwagę fakt, że starosądeczanie - podobnie jak w okresie wcześniejszym - uprawiali kilkadziesiąt łanów ziemi, co czyniło ich pod względem zaopatrzenia w żywność do pewnego stopnia samowystarczalnymi. O ruchliwości starosądeczan świadczy fakt, że widywano ich w różnych miastach polskich, najczęściej w pobliskim Nowym Sączu, Piwnicznej, Muszynie, Grybowie, a także w Bochni, Krakowie oraz w miastach północnowęgierskich. Wiadomo też, że w XVII i XVIII w. drewno pochodzące z lasów klarysek spławiano do Gdańska.

Poważniejszą rolę odgrywał Stary Sącz jako miasto tranzytowe, leżące na uczęszczanym szlaku kupieckim na Węgry, skąd sprowadzano m.in. wino, miedź, żelazo, a wywożono sól, ołów, ryby, sukno, chmiel. Na początek okresu nowożytnego przypada również schyłkowa faza konfliktu klarysek starosądeckich z Bardiowem o pobór przez konwent cła w Grybowie, zakończona definitywnie w Krakowie 1 marca 1508 r. korzystnym dla mniszek rozsądzeniem Zygmunta I Starego, poprzedzonym wizytami

w Starym Sączu rychtarza (burmistrza) bardiowskiego Andrzeja Rawbera (1501), delegacji tamtejszych mieszczan (1502) oraz pisarza bardiowskiego (1506), którzy bezskutecznie dowodzili przed klaryskami praw kupców miasta górnowęgierskiego do swobodnego poruszania się na trakcie handlowym wiodącym z Węgier przez Grybów i Czchów do Krakowa[6].

Dobrze o Starym Sączu świadczy istnienie w tym mieście aż czterech szkół: parafialnej, przy klasztorze Franciszkanów „prywatnej", przy klasztorze Klarysek, zakonnej i drugiej dla „panien świeckich", wzmiankowanej po raz pierwszy w 1592 r. O szkołach tych wiadomo niewiele. Garść informacji posiadamy jedynie o szkole parafialnej, znajdującej się zapewne w pobliżu kościoła św. Elżbiety. Na początku XVII w. kierownikiem tej szkoły, do której uczęszczało około 40 chłopców, był rodak starosądecki Baltazar Borysowicz, bakałarz sztuk wyzwolonych, promowany na Uniwersytecie w Krakowie, nauczający śpiewu kościelnego, gramatyki i literatury klasycznej. Za swoją pracę otrzymywał kwartalnie 4 złp i pewną ilość obiadów, więcej zatem niż jego poprzednicy w drugiej połowie XVI w., którzy liczyć mogli na 8 złp rocznie, dzban piwa i 9 bochenków chleba tygodniowo. W późniejszym czasie szkołę prowadzili mansjonarze (kolegium mansjonarzy ufundowali starosądeczanie w 1629 r.), m.in ks. Paweł Łazarski, a liczba uczniów wzrosła do 60, z których niektórzy kontynuowali naukę na studiach uniwersyteckich w Krakowie oraz w kolegium pijarów w Podolińcu na Spiszu, ufundowanym w 1642 przez Stanisława Lubomirskiego, wojewodę krakowskiego i starostę spiskiego. W wszechnicy krakowskiej w XVI i na początku XVII w. studiowali m.in. Stanisław Wykręcik syn Mateusza, Marcin Janiec syn Stefana, Mikołaj Cebrzykowic syn Andrzeja, Marcin Jodłowski syn Marcina, a także Marcin i Wojciech synowie Gabriela Nykusa. Do najlepiej wykształconych zaliczali się studiujący nie tylko w Krakowie bracia Liricjuszowie (Liryccy): Wawrzyniec, Jarosław, Stefan oraz Hipolit - kustosz franciszkanów w Gnieźnie, lektor studium zakonnego w Krakowie, autor i tłumacz pism ascetycznych. Wśród uczniów gimnazjum podolinieckiego znajdowali się Jan Dutkowicz, Piotr Frankowic, Franciszek Laszkawa, Andrzej Marcalka, Jan Popkowicz, Tomasz Rogowicz, Jakub Serafin i in. Wiadomo również, że w przygotowującej dziewczęta do nowicjatu szkole klasztornej klarysek uczyła się m.in. urodzona w Stróżach

[6] F. Kiryk, *Dzieje miasta w okresie staropolskim...*, s. 63-75; S. Sroka, *Średniowieczny Bardiów i jego kontakty z Małopolską*, Kraków 2010, s. 102-105.

W tle kościół św. Elżbiety *Fot. L. Migrała*

Marianna Marchocka, karmelitanka (wstąpiła do konwentu św. Marcina w Krakowie), mistyczka i służebnica Boża, której ciało po śmierci w 1652 r. nie uległo rozkładowi[7].

Dużym przekształceniom podlegał kościół parafialny śś. Małgorzaty i Elżbiety, zniszczony przez pożar w 1644 r., odrestaurowany przez klasztor Klarysek ok. 1649 r. (znakiem tego herb Szreniawa i monogram ksieni klarysek starosądeckich Anny Lipskiej na zwornikach w prezbiterium). Nowych strat świątynia parafialna doznała w czasie „potopu" szwedzkiego w wyniku ograbienia jej ze sprzętów i kosztowności oraz zburzenia przez najeźdźców wieży kościelnej, którą odbudowano za czasów ks. proboszcza Antoniego Sertkowicza w 1686 r. Jak zauważono: „Z nielicznych dawnych detali gotyckich zachował się [jedynie] ostrołukowy portal w prezbiterium oraz resztki maswerku w środkowym oknie prezbiterium". W 1760 r. wzniesiono przybudówkę zakrystyjną[8]. W XVII w. kościół rozbudowano o kaplice przy nawie bocznej. Oprócz istniejących wcześniej przy kościele parafialnym konfraterni, w 1596 r. wzmiankowane jest po raz pierwszy bractwo św. Anny. Probostwo starosądeckie było nieźle uposażone. Pod koniec XVI w. przynależała do niego połowa łanu, natomiast w połowie XVII w. łan ziemi, dwa ogrody, kawałek gruntu nad Dunajcem leżący odłogiem, pole po południowej stronie miasta oraz sadzawka rybna w Cyganowicach. Proboszczowi, który zamieszkiwał okazałą plebanię, przysługiwały różnego rodzaju opłaty i daniny, np. mesne (za odprawianie mszy) oraz dziesięcina snopowa[9].

W Starym Sączu istniały dwa szpitale – przytułki, czyli „domy ubogich": jeden po północnej stronie miasta, przy drewnianym kościele Świętego Krzyża, drugi po południowej, przy kościele śś. Rocha i Sebastiana. Kościół Świętego Krzyża powstała w 1550 r. Jego fundatorami byli: Mikołaj Hipolit, rządca dóbr klarysek w Łącku, Zofia Klimkowa z Nowego Sącza, ks. Jan, pleban w Barcicach, ks. Piotr Śliwka i jego matka Barbara oraz rajcy starosądeccy.

---

7 H. Barycz, *Z kulturalnego almanachu Nowego Sącza, Dodatek I Poczet studentów Staro i Nowosądeczan w Uniwersytecie Jagiellońskim w latach 1364–1625*, „Rocznik Sądecki", t. V, 1962, s. 131-139 [wykaz alfabetyczny]; W. Bazielich, *Historie...*, s. 83-93; F. Kiryk, *Dzieje miasta w okresie staropolskim...*, s. 93-95; J. Długosz, *Sądeczanie w kolegium pijarów w Podolińcu 1643–1670*, „Rocznik Sądecki", t. XXI, 1993, s. 76-87 [wykaz alfabetyczny]; M. Krupa, *Liricjusz Hipolit*, [w:] *Encyklopedia katolicka*, t. X, Lublin 2004, k. 1133; J.W. Gogola, *Marchocka Marianna OCD*, [w:] *Encyklopedia katolicka*, t. XI, Lublin 2006, k. 1228.

8 „Rocznik Diecezji Tarnowskiej" na rok 1972, red. J. Rzepa, s. 459-460; Z. Beiersdorf, M. Kornecki, B. Krasnowolski, *Sztuka Starego Sącza*, [w:] *Historia Starego Sącza...*, 354.

9 F. Kiryk, *Dzieje miasta w okresie staropolskim...*, s. 107-110.

Kościół św. Rocha i Sebastiana *Fot. L. Migrała*

W 1551 r. ufundowano przy nim prepozyturę szpitalną, którą sprawował m.in. ks. Stanisław Wąsowicz (brat oficjała nowosądeckiego ks. Mikołaja Wąsowicza), prowadzący na temat kościoła i szpitala zapiski. Kościół przyszpitalny szczęśliwie omijały klęski żywiołowe, aż do wielkiego pożaru w 1795 r., który zniszczył większą część miasta, w tym ratusz miejski i częściowo kościół parafialny. Drugi z kościołów przyszpitalnych, śś. Rocha i Sebastiana, powstał w 1593 r. W 1608 r. wybudowano przy nim szpital ufundowany przez ksienię klarysek Ewę Gostwicką. Drewniana świątynia spłonęła w czasie pożaru w 1644 r. lub co bardziej prawdopodobne w 1618 r., na co wskazują wyryte w kamieniu daty 1643 i 1644 z inicjałami nowych fundatorów: Anny Lipskiej, ksieni klarysek starosądeckich i Marcina Łapki, rządcy klasztornego. Ponieważ kościół (odbudowany z kamienia) nie posiadał własnego kapelana, Msze św. odprawiał w nim proboszcz starosądecki[10].

10 Tamże, s. 110-112; W. Bazielich, *Materiały do historii szpitala, kościoła i prepozytury Św. Krzyża w Starym Sączu*, „Nasza przeszłość", XIV, 1961, s. 203-237; tenże, *Życie obyczajowe i kulturalne Starego Sącza w XVII wieku*, „Rocznik Sądecki", t. I, 1939, s. 66-67; Z. Beiersdorf, B. Krasnowolski, *Stary Sącz zarys historii...*, s. 96-97; I. Skrzypiec-Dagnan, *Kaplica Świętego Krzyża w Stary Sączu*, „Almanach Sądecki", nr 1/2 (94/95), 2016, s. 175-179; A. Florek, *Kaplica św. Rocha i św. Sebastiana w Starym Sączu*, „Almanach Sądecki", nr 1/2 (94/95), 2016, s. 11-163.

Zasadnicze przebudowę przeszedł klasztor Klarysek w wyniku wizytacji przeprowadzonej w latach 1596–1599 przez biskupa krakowskiego kard. Jerzego Radziwiłła (po Soborze Trydenckim i odnowie życia religijnego władzę nad klasztorami żeńskimi przejęli biskupi), po którym klasztor starosądecki wizytowali biskupi krakowscy, m.in. Kajetan Sołtyk (1763). Nowy klasztor, czteroskrzydłowy z wirydarzem, zbudowany został z nakazu wizytacyjnego na początku XVII w. pod kierunkiem muratora krakowskiego Jana de Simoni. Budowę ukończono za czasów ksieni Ewy Gostwickiej. W późniejszym czasie, po 1664 r. nad tzw. konfesjonałem nadbudowano kaplicę Loretańską (wg tradycji adaptującą celę św. Kingi). Oprócz klasztoru z przebudowanym murem z dekoracją sgraffitową z 1623 r. powstał także budynek furty (ozdobiony w technice sgrafitti wyobrażeniami Chrystusa, księżnej Salomei - siostry Bolesława Wstydliwego, św. Franciszka i św. Klary) oraz dom kapelana naprzeciwko furty. Z pierwszej połowy XVII w. pochodzi czterokondygnacyjna wieża bramna nakryta cebulastym hełmem z iglicą.

Budowie klasztoru murowanego towarzyszyły zmiany wystroju kościoła klasztornego. Na początku XVII w. nową polichromię wykonał Wawrzyniec Cieszyński (w 1617 r. zawarł w tej sprawie umowę z ksienią Zofią Boczkow-

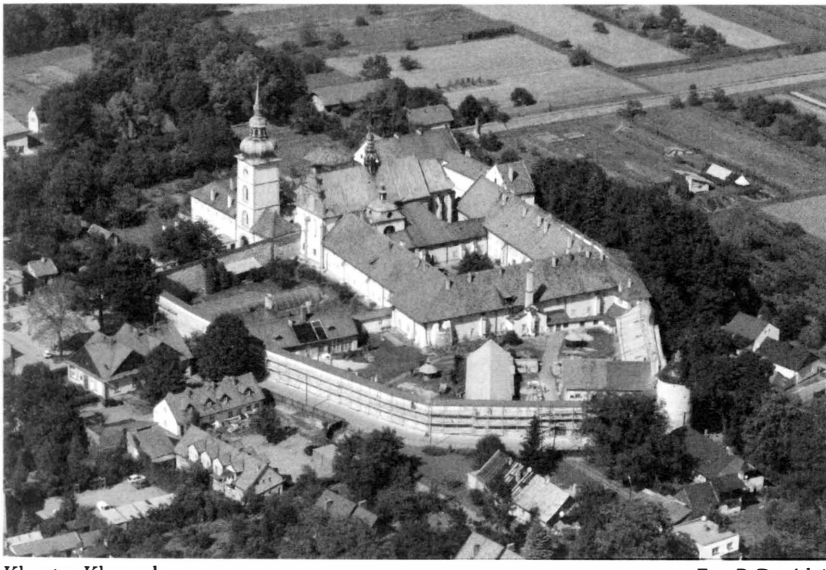

Klasztor Klarysek *Fot. P. Droździk*

ską), uczeń Tomasza Dolabelli. W końcu tego stulecia w jej miejsce powstały malowidła będące dziełem twórców związanych z pracownią Baltazara Fontany. Dziełem tego ostatniego są również trzy ołtarze marmurowo-gipsowe. Kolejną polichromię – istniejącą do dzisiaj – wykonał Feliks Dreyssarz w 1779 r. Wybitnym dziełem nieznanego artysty jest ambona powstała najprawdopodobniej w 1671 r., opleciona konarami drzewa Jessego przedstawiającego genealogię Pana Jezusa. Po pożarze w 1764 r., który zniszczył dachy zabudowań konwenckich dodano kościołowi wysmukłą wieżyczkę na sygnaturkę, przypisywaną architektowi królewskiemu Franciszkowi Placidiemu. Wcześniej – w pierwszej połowie XVII w. – szczyt kościoła został przyozdobiony płaskorzeźbą Trójcy Świętej oraz rzeźbami św. Kingi i Bolesława Wstydliwego we wnękach (obecnie kopie odkute w 1861 r. przez Adeodatusa Martyńskiego)[11].

Szeroko zakrojone prace budowlane prowadzone były także w klasztorze Franciszkanów, który po pożarze w 1646 r. i „potopie" szwedzkim przebudowano podobnie jak klasztor żeński, zastępując zabudowania drewniane murowanymi (prace nad wznoszeniem piętrowego klasztoru trwały do roku 1740). W pierwszej połowie XVII w. powstały przy kościele klasztornym kaplica Matki Boskiej Różańcowej, nieco później kaplice św. Antoniego, śś. Rocha i Sebastiana oraz zakrystia; poszerzono również prezbiterium[12].

W połowie XVI w. dały o sobie znać na Sądecczyźnie wpływy reformacyjne. Obok luteranów i kalwinistów pojawili się arianie, z których wyodrębnił się odłam dyteistów zwanych dwubożanami. Czołową postacią dyteizmu był pochodzący z Łącka Stanisław Farnowski, który współdziałał z Markiem Wiktorem z Zalesia. Nowinki religijne uderzały w podstawę życia katolickiego. Nie oparły im się także starosądecki klasztor Klarysek, gdzie pojawiły się wpływy innowiercze poświadczone opinią nuncjusza papieskiego Jana Andrzeja Caligariego. Różnice religijne ujawniały się w Starym Sączu w związku ze sprawami jak najbardziej doczesnymi, o czym świadczy gorszący spór o stanowisko rządcy dóbr klarysek toczony pomię-

11 O.M. Przybyłowicz, *Zarys dziejów klasztoru Klarysek w Starym Sączu*, [w:] *Klaryski w Starym Sączu. Dziedzictwo kulturowe świętej Kingi* [katalog wystawy], Nowy Sącz 2013, s. 4-7; Ks. W. Szczebak, *Z dziejów kościoła i klasztoru oraz mecenatu artystycznego starosądeckich klarysek*, [w:] tamże, s. 9-12; M. Kornecki, *Bł. Kinga – pamiątki, obiekty kultu, dzieła sztuki z terenu Diecezji Tarnowskiej*, „Currenda", 1-3/1990, s. 98; R. Ślusarek, *Ikonografia Starego i Nowego Sącza* [nota katalogowa], Nowy Sącz 2012, s. 48.

12 Z. Beiersdorf, B. Krasnowolski, *Stary Sącz zarys historii...*, s. 95.

Klasztor Franciszkanów *Mal. Cz. Lenczowski*

dzy katolikami i innowiercami, w którym nie cofnięto się przed użyciem siły, i który wykazał znaczne osłabienie dyscypliny zakonnej, czego dowodem porzucenie klasztoru starosądeckiego przez ksienię Dorotę Bylicką. Przełamanie regresu moralnego z pewnością nie było sprawą łatwą, dokonało się jednak dość prędko, uwidoczniając się naprawą życia zakonnego w końcu XVI w. za czasów ksieni Zofii Rożnównej, na co wskazywały wnioski wizytacyjne kard. Jerzy Radziwiłła w 1599 r.[13]

Zapowiedzią trudnych czasów nie tylko dla Starego Sącza stał się najazd szwedzki w 1655 r. Miasto uległo częściowemu spaleniu i zniszczeniu, ale rezerwy finansowe musiały być jeszcze znaczne, skoro odbudowa nastąpiła szybko, a zaludnienie wzrosło. „Niektóre domy, zwłaszcza zasobniejszych patrycjuszy w Rynku, postawiono na nowo z kamienia; [...] odbudowano też wieżę parafialnego kościoła i ratusz. [...] Gdy w dziesięć lat po najeździe «wroga koronnego», tj. Szwedów, Stary Sandecz liczył około 1200 głów, to z początkiem XVIII w. miał ich sporo ponad 2000"[14].

13 W. Bazielich, *Historie...*, s. 72-83; F. Kiryk, *Dzieje miasta w okresie staropolskim...*, s. 116-119.
14 W. Bazielich, *Historie starosądeckie...*, s. 95.

Chlubnym dla starosądeczan wydarzeniem w tamtym czasie był pięciodniowy pobyt w mieście Jana III Sobieskiego, który wracając z wiktorii wiedeńskiej spotkał się tutaj z małżonką - królową Marią Kazimierą. Fakt pobytu w mieście nad Popradem „ostatniego krzyżowca", pogromcy islamu, a przy tym czułego męża i kochanka, pałającego niewygasłym afektem ku swej francuskiej żonie, spowodował, że starosądeczanie chętnie przywołują na pamięć historyczne spotkanie królewskiej pary. Wydarzenie to upamiętnił skryba cechu krawieckiego zapisując następujące zdanie: „Był to wielki zjazd. Także i IMC Nayiśnieyszy król był z Jeymość Królową. W mieście naszym byli przez 5 dni, we dworze stali. Wtenczas wielkie woyska przechodziły z Węgier, z pod Parkanu, ale bardzo chromali y umierało ich wiele po gościńcach".

Krótkotrwały pobyt zwycięzcy potęgi tureckiej i obrońcy chrześcijaństwa w Starym Sączu przyniósł nie tylko wzmianki kronikarskie, ale także spowodował, że na prośbę króla polskiego Stolica Apostolska przyspieszyła beatyfikację księżnej Kingi. W rezultacie tej interwencji jeszcze w roku 1683 rozpoczął się drugi proces beatyfikacyjny, który doprowadzono do pomyślnego finału 10 czerwca 1690 r., kiedy to Kongregacja Obrzędów zatwierdziła opinię biskupa Mikołaja Oborskiego o odwieczności kultu Kingi.

Śmierć Jana III Sobieskiego otworzyła w dziejach Rzeczypospolitej etap rządów saskich. Panowanie Augusta II Wettyna przyniosło wciągnięcie kraju w rujnującą wojnę północną i wywołało konflikt wewnętrzny, w którym po stronie Sasa opowiedziała się większa część szlachty, będąca w opozycji do zwolenników Stanisława Leszczyńskiego, mającego oparcie główne w protekcji króla szwedzkiego Karola XII. Odpowiednio do zaistniałej sytuacji zawiązały się też w 1704 r. dwie zwalczające się konfederacje: sandomierska i warszawska. Cały kraj ogarnął zamęt. Przemarsze wojsk, kontrybucje i grabieże oddziałów szwedzkich, saskich, koronnych, a później także rosyjskich, doprowadziły do katastrofy gospodarczej zarówno w skali kraju, jak i poszczególnych miejscowości.

Skutki wojny boleśnie dotknęły Stary Sącz. Wprawdzie trudności związane z niepokojami wewnętrznymi dały już znać o sobie wcześniej, w ostatniej fazie rządów Jana III Sobieskiego w końcu XVII w., ale ich zasadniczy rejestr otworzyły kontrybucje na początku XVIII w. na rzecz chorągwi królewskich hetmana Adama Sieniawskiego, a następnie Szwedów. Niebawem, w 1703 i 1704 r., starosądeczanie ponownie zmuszeni byli utrzymy-

Tablica na kościele św. Elżbiety *Fot. L. Migrała*

wać oddziały hetmańskie, rajtarię saską oraz zaciągi stronnika Stanisława Leszczyńskiego – Teodora Lubomirskiego, starosty spiskiego zwanego „księciem czartowskim", który dał się poznać jako wyjątkowy łupieżca, mający w następnych latach wielki udział w doprowadzeniu ludności Starego Sącza i okolic do stanu całkowitej ruiny. Grabieży „czartowskiego księcia" nie powstrzymały nawet poważne niepowodzenia, w wyniku których Jakub Rybiński w 1706 r. spalił jego siedzibę zamek lubowelski. W dalszych latach działo się jeszcze gorzej. „Ludność ogarnęła rozpacz. Zdarzały się nawet wypadki samobójstw wśród chłopów z okolicznych wsi. Na dodatek 18 grudnia [1709] o godzinie 6 rano Stary Sącz nawiedził pożar, który strawił blisko 60 domostw mieszkalnych i zabudowań gospodarczych, co być może uratowało miasto od nowych kontrybucji"[15]. Nie był to koniec nieszczęść. Ich dalszy ciąg wiązał się z rozprzestrzenieniem się w 1710 r. w Małopolsce straszliwej dżumy, która zbierała śmiercionośne żniwo również w roku następnym. Ks. Jan Sygański SI powołując się na niezacho-

[15] F. Kiryk, *Dzieje miasta w okresie staropolskim...*, s. 109.

wane źródło pisał: „W Starym Sączu wymarło tego roku na dwa tysiące, a w Nowym Sączu bez liczby"[16]. Oznaczało to wielką klęskę demograficzną na skalę rzadko spotykaną. Zastanawiające, że epidemia nie dotknęła w poważniejszym stopniu samego klasztoru żeńskiego, o czym świadczą zapisy ksieni klarysek Konstancji Jordanówny. Feliks Kiryk odnosząc się do lat bezpośrednio po tragedii stwierdził: „O Starym Sączu w tych czasach brakuje nam konkretnych wiadomości. Nie możemy więc śledzić, powolnego zapewne, zaludnienia miasta i budowania go niemal od nowa"[17].

Nadzieje na normalizację sytuacji po klęsce Szwedów i ucieczce z kraju Stanisława Leszczyńskiego nie potwierdziły się. Niefortunne próby Augusta II wzmocnienia władzy królewskiej w oparciu o wojska saskie zjednoczyły przeciwko niemu szlachtę i przedłużyły wojnę domową. W 1714 r. oddziały saskie ponownie pojawiły się na Sądecczyźnie (ostatnia informacja o ich obecności pochodzi z 1716 r.). Kilkanaście lat pokoju wewnętrznego zmąciła na nowo w 1733 r. podwójna elekcja Stanisława Leszczyńskiego i Augusta III Wettyna. Szlachta sądecka popierała Leszczyńskiego, ale Sas, mając w tych stronach stronnika w osobie Teodora Lubomirskiego, zwalczającego ongiś jego ojca, dysponował argumentem siły w postaci oddziałów saskich i rosyjskich ściągniętych przez starostę spiskiego i wojewodę krakowskiego pod Wawel, które wspierając Wettyna plądrowały m.in. okolice Starego Sącza.

Ostatnie lata przedrozbiorowe zaznaczyły się w historii Starego Sącza ponownym regresem. Bezpośrednie przyczyny tego stanu rzeczy wynikały z ogólniejszej sytuacji politycznej, jaka wytworzyła się po objęciu tronu w Rzeczpospolitej przez Stanisława Augusta Poniatowskiego. Silna opozycja konserwatywnego odłamu szlachty przeciwko reformom króla i familii Czartoryskich, szukających poparcia w Rosji, doprowadziła do zawiązania w Barze na Podolu w lutym 1768 r. konfederacji generalnej. Sądecczyzna włączyła się do ruchu konfederackiego 30 czerwca 1768 r., kiedy to w Piwnicznej powstał związek utworzony przez szlachtę powiatu sądeckiego i czchowskiego, który podjął hasła obrony wiary, wolności i starodawnych praw szlacheckich. Spośród barszczan najwięcej ruchliwości przejawiał Józef Bierzyński – regimentarz o wybujałych ambicjach,

[16] Ks. J. Sygański TJ, *Historya Nowego Sącza od wstąpienia dynastii Wazów do pierwszego rozbioru Polski*, Nowy Sącz 1988, s. 234.

[17] F. Kiryk, *Dzieje miasta w okresie staropolskim...*, s. 110.

a następnie Kazimierz Pułaski, wybitny żołnierz, który przybył na Sądecczyznę z Podola.

Józef Bierzyński jako pierwszy z marszałków konfederackich przebywał w Starym Sączu ze swoim oddziałem dokonując rekwizycji. Później byli tu Michał Dzierżanowski i Tomasz Wilkoński „rozbiwszy namioty nad Popradem i w samym mieście"[18]. Był to okres kiedy oddziały małopolskie kierowały się do Krakowa, opuszczonego na krótko przez Rosjan na początku września 1769 r. Wiosną 1770 r. dał znać o sobie Kazimierz Pułaski, który niebawem, 12 kwietnia, pobił pod Konieczną w Beskidzie Niskim oddział Rosjan, a następnie przybył do Nowego Sącza. W tym czasie w okolicach Starego Sącza doszło do potyczki z Rosjanami, o której w swoim pamiętniku doniósł A. Hulewicz stwierdzając: „Pod Starym Sączem krótka była potyczka przez godzin trzy, siedemnastu dostaliśmy"[19].

Konfederacja barska doprowadziła do ponownego zubożenia miasta. Straty samego tylko klasztoru Klarysek ocenione zostały na kwotę ponad 700 tysięcy złotych polskich. Wiktor Bazielich dodaje, że: „Klasztor był bogaty [...], ale nawet na to jego bogactwo suma ta jest olbrzymia i kilkakrotnie przewyższa ówczesne jego możliwości gospodarcze"[20].

W 1769 r. dwór wiedeński pod pozorem wprowadzenia kordonu sanitarnego, mającego oddzielić należące do Habsburgów ziemie Węgier od terytorium polskiego, gdzie panowała przywleczona z Turcji zaraza, zdecydował się zagrabić starostwo spiskie. W czerwcu 1770 r. Maria Teresa nakazała przesunięcie orłów cesarskich dalej, na linię Beskidu, co oznaczało zagarnięciu starostwa czorsztyńskiego, nowotarskiego i sądeckiego. Formalnie rzecz biorąc obydwa Sącze i południowa część Sądecczyzny zostały włączone nie do Austrii, lecz do Węgier. Stan ten uległ zmianie 15 września 1772 r., po wydaniu patentu cesarskiego, na mocy którego ziemia sądecka weszła w skład Królestwa Galicji i Lodomerii – nowej prowincji austriackiej wyrosłej na grabieży dokonanej w wyniku pierwszego rozbioru Polski.

18 F. Kiryk, *Dzieje miasta w okresie staropolskim...*, s. 112

19 A. Wasiak, *Konfederacja barska na Sądecczyźnie*, Nowy Sącz 1994, s. 97.

20 W. Bazielich, *Historie starosądeckie...*, s. 179.

Michał Lasyk

OSADNICTWO ŁEMKOWSKIE NA SĄDECCZYŹNIE

W nauce istnieją trzy koncepcje pochodzenia Łemków. Pierwsza nawiązuje do kolonizacji wołoskiej z terenów dzisiejszej Rumunii, doprowadzając do opanowania przez ludność napływową od końca XIV w. do schyłku XVI stulecia Bieszczadów, Beskidu Niskiego i Sądeckiego. Druga teoria stwierdza, że Łemkowie są odwiecznymi mieszkańcami swojej karpackiej ojczyzny (wg tego poglądu przodkami dzisiejszych Łemków było wschodniosłowiańskie plemię Chorwatów). Trzecia hipoteza za protoplastów współczesnych Łemków uznaje trackich pasterzy – wędrowców karpackich – mających osiedlać się w górach od końca XV w.

Nie wnikając w dyskusję prowadzoną przez badaczy tego zagadnienia, należy zaznaczyć, iż w nauce polskiej zasadniczo dominuje pierwsza z wymienionych koncepcji (niewątpliwie najlepiej udokumentowana), a do grona jej twórców i propagatorów zalicza się m.in. prof. Romana Reinfussa, nieżyjącego już etnografa, bezsprzecznie najwybitniejszego badacza kultury łemkowskiej. Mając to na uwadze, zgodnie z tą właśnie koncepcją, zarysowane zostały poniżej główne fazy osadnictwa łemkowskiego w Beskidzie Sądeckim ze szczególniejszym uwzględnieniem doliny Popradu.

*

Osadnictwo łemkowskie na Sądecczyźnie i w Beskidzie Sądeckim poprzedzone zostało osadnictwem polskim. Jak stwierdza Kazimierz Tymieniecki, w Małopolsce przed połową XIV w. były trzy regiony o dużej gęstości zaludnienia, tj. okolice Krakowa, Sandomierza i Nowego Sącza. Zaludnie-

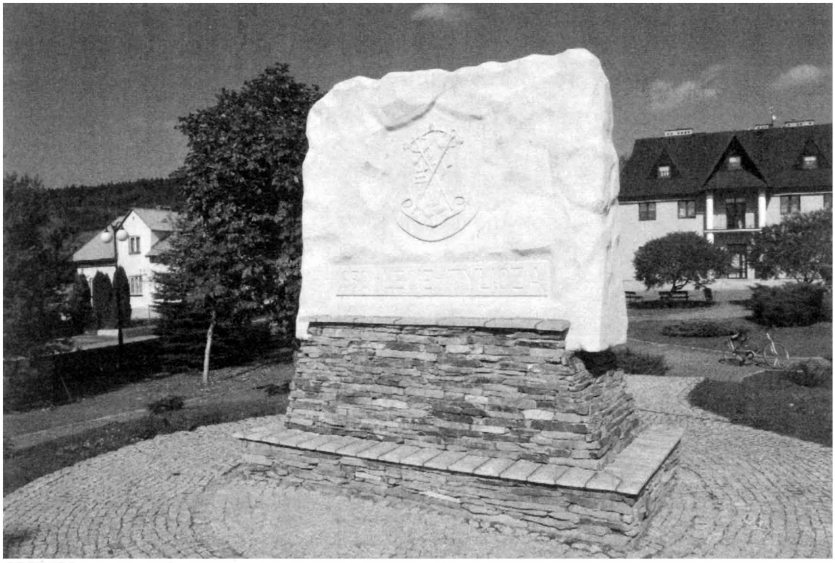

Pomnik z herbem biskupa Piotra Tylickiego w Tyliczu *Fot. L. Migrała*

nie Sądecczyzny wiązało się z prądem osadniczym idącym od północy ku południowi wzdłuż Dunajca, czego dowodzi fakt, iż w 1224 r. Sącz (Stary) miał już swego kasztelana, a w XII w. grodem kasztelańskim był Czchów. Na początku XIV w. najbliższe okolice Nowego Sącza były już gęsto zasiedlone, tak iż od strony północno-zachodniej przedpole przyszłej zachodniej Łemkowszczyzny było już w pełni zagospodarowane. Należy zauważyć, że to pierwotne osadnictwo polskie nie ograniczało się jedynie do doliny Dunajca, ale rozszerzało się również na dolinę Popradu, o czym świadczy istnienie w XIII w. gródka Muszynie, którą to miejscowość w 1288 r. darowana została przez scholastyka Wysza biskupowi krakowskiemu. Drugą miejscowością istniejącą w tych stronach było „Nowe Miasto", późniejszy Tylicz.

Okresem wzmożonej akcji kolonizacyjnej na Sądecczyźnie i w całych Karpatach było panowanie Kazimierza Wielkiego. Ze względów gospodarczych i politycznych osadnictwo polskie umocniło się wówczas nad Popradem, a dowodem na to było utworzenie na prawie niemieckim: Piwnicznej, Muszyny, Tylicza oraz osad: Rytra, Andrzejówki i Muszynki. Doniosłą rolę w dziejach osadnictwa późniejszej Łemkowszczyzny miało powstanie

(głównie w XIV w.) na wschód od Popradu rozległych latyfundiów, stanowiących własność instytucji kościelnych lub znaczniejszych rodów szlacheckich, w tym „państwa muszyńskiego", zwanego też „kresem muszyńskim", będącego w posiadaniu biskupów krakowskich, które od północy graniczyło z „państwem nawojowskim" należącym do Nawojowskich, później Lubomirskich i wreszcie Stadnickich.

Pomimo dość zaawansowanej kolonizacji prowadzonej w oparciu o ludność polską, na terenie Beskidu Sądeckiego nie brakowało terenów pustych, szczególnie w górach, nadających się do prowadzenia w nich dalszej akcji osadniczej. Istniejące obszary puste, a więc nieprzynoszące dochodów, pozostawały wielką troską właścicieli – możnych świeckich i duchownych. W tej sytuacji, pojawienie się pasterskiej ludności wołoskiej w północnych Karpatach w XIV w., a być może i wcześniej, przyjęte zostało przez możnych, jak przysłowiowa manna z nieba.

„Pierwsze wsie wołosko-ruskie zakładano tak jak to było w zwyczaju na prawie niemieckim, dostosowanym do charakteru wsi prowadzących gospodarkę rolną. Szybko jednak okazało się, że nędzne rolnictwo górskie nie jest w stanie swych powinności wobec dworu wypełnić płodami rolnymi. Bardziej realne były natomiast świadczenia w produktach gospodarki pasterskiej: baranach, kozach, serach i guniach, czyli wełnianym suknie samodziałowym. W odróżnieniu od prawa niemieckiego ustrój wsi, jaki wytworzył się na terenach karpackich, nazwano prawem wołoskim. Podobnie, jak we wsiach lokowanych na prawie niemieckim, tak i tu na czele wsi stał dziedziczny sołtys, zwany we wschodniej Łemkowszczyźnie kniaziem, który miał obowiązek konno i zbrojno towarzyszyć swemu panu w razie wojennej potrzeby. Specjalnością wsi zakładanych na prawie wołoskim były swego rodzaju gminy zbiorowe, polegające na tym, że wsie należące do jednego klucza dóbr lub znajdujące się w jednej dolinie, stanowiły organizacyjną całość zwaną kresem lub krainą. Władzę w niej spełniał wojewoda wałaski, czyli krajnik, przewodzący sądowi wałaskiemu, złożonemu z sołtysów wsi należących do kresu. Rozpatrywał on sprawy między mieszkańcami kresu, stosując przyniesione przez Wołochów prawo zwyczajowe, dostosowane do potrzeb ludności pasterskiej"[1].

Kolonizacja na prawie wołoskim nabrała tempa w XVI w. Jerzy Czajkowski – badacz osadnictwa na Podkarpaciu stwierdza, iż w tym czasie na

[1] R. Reinfuss, *Śladami Łemków*, Warszawa 1990, s. 12.

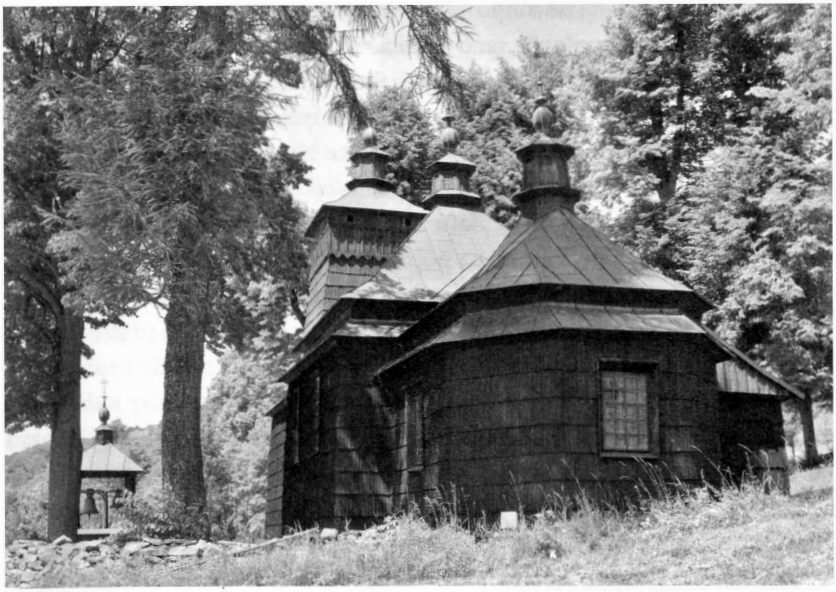

Cerkiew w Leluchowie *Fot. L. Migrała*

Cerkiew w Dubnem *Fot. L. Migrała*

Sądecczyźnie założone zostały na prawie wołoskim następujące miejscowości – w pierwszej połowie tego stulecia: Zubrzyk, Izby, Krynica; w drugiej: Powroźnik, Banica, Berest, Czyrna, Florynak, Stawisza, Polany, Czarna k. Brunar, Żegiestów, Milik, Jastrzębik, Kamianna, Brunary Niżne, Złockie, Piorunka, Leluchów, Czertyżne, Mochnaczka Niżna, Mochnaczka Wyżna, Bieliczna, Słotwiny, Wierchomla Wielka, Wojkowa, a ponad to Czaczów i Łabowiec (Wola)[2]. Badacze tematu zauważają, że: „Niektóre wsie były nawet celowo opróżniane z ludności polskiej, ażeby powstało miejsce dla nowych osadników. Klasycznym tego przykładem jest wieś Królowa (późniejsza Królowa Ruska) koło Grybowa. W roku 1542, a więc w czasie bardzo intensywnego osadnictwa wołosko-ruskiego, wszyscy kmiecie królewskiej wsi Królowej «oprócz cieszących się wolnością zobowiązują się każdy pod zakładem 10 grzywien odsprzedać za słuszną cenę rolę, na której dotąd siedzą, wraz z zabudowaniami ludziom, którzy chcieliby je kupić» i zobowiązują się wyprzedać w terminie oznaczonym (na przyszły św. Wojciech). Tymi którzy «chcieliby kupić» okazali się osadnicy wołosko-ruscy. Pierwotni jej mieszkańcy – Polacy – przenieśli się parę kilometrów na zachód wzdłuż potoku Królówka i założyli tam istniejącą do dziś wieś nazwaną: Królowa Polska"[3]. Podobnych przypadków usuwania ludności polskiej dla zrobienia miejsca wołosko-ruskim osadnikom było więcej, należy w tym miejscu wymienić jeszcze Binczarową i Boguszę. Wiadomo też, że w Binczarowej sołtysostwo wołoskie zakupił Iwan Truchanowicz na mocy przywileju z 1531 r.; w Boguszy nastąpiło to w 1544 r., a sołtysem kupującym był Iwan Radz.

W niektórych przypadkach odnośnie powstawania wsi na prawie wołoskim posiadamy nieco szczegółowych informacji. Wiadomo np., że niektóre grupy wołoskie przychodziły na Sądecczyznę z własnymi przywódcami. Do takich należał Lazar Warchacz, który 3 marca 1565 r. otrzymał od biskupa Filip Padniewskiego przywilej na założenie „na surowym korzeniu" Powroźnika na prawie wołoskim i winien był osadzić 20 kmieci. Decydującą rolę w procesie osadniczym odegrali biskupi krakowscy, w tym m.in. Franciszek Krasiński, który w 1574 r. wydał sześć przywilejów na założenie wsi na prawie wołoskim, dzięki czemu powstały: Banica koło Izb, Berest,

[2] Zob. *Łemkowie w historii i kulturze Karpat*, pod. red. J. Czajkowskiego, Rzeszów 1992.
[3] R. Reinfuss, dz. cyt., s. 11.

Czyrna, Florynka, Polany, Stawisza, a w roku następnym (1575) trzy, na mocy których założono: Czarną koło Brunar, Żegiestów, a także dokonano wtórnej lokacji Milika. W latach 1577–1589 biskup Piotr Myszkowski wydał przywileje dla Jastrzębika, Kamiannej, Brunar Niżnych, Złockiego, Piorunki, Leluchowa, Czerteżnego oraz Mochnaczki Niżnej i Wyżnej; natomiast w roku 1595 zezwolił na założenie Słotwin przez Hrycia Krynickiego, Wierchomli Wielkiej przez Mikuta Zubrzyckiego oraz Wojkowej przez Homę Powroźnickiego.

Banicę, Czyrną i Stawiszę lokowali mieszkańcy Śnietnicy, która już na początku XV w. została założona przez Wołochów. Berest lokowali dwaj bracia Stec i Fedor Olechnowiczowie. Niejasna jest kwestia Florynki, która musiała istnieć wcześniej, aniżeli przybyli tu osadnicy wołosko-ruscy. Czarną koło Brunar lokował Grzegorz Srzedziński z Jaszkowej, natomiast Żegiestów Hawryła Juraszek z Jędrzejówki, którego imię i nazwisko świadczy o zruszczeniu się XIV-wiecznej Andrzejówki. Z Andrzejówki pochodził sołtys Milika, Teodor. Sołtysem Jastrzębika został Piotr Teliszczak z Krynicy, w Brunarach Niżnych Jaśko, syn sołtysa z Brunar Wyżnych, w Złockiem zasadźcą był sołtys Szczawnika Iwan Makowica, a w Mochnaczce Wyżnej Jan Świątkowski, jak wskazuje nazwisko pochodził prawdopodobnie spoza kresu muszyńskiego ze Świątkowej.

Wiek XVII zakończył akcję kolonizacji wołosko-ruskiej. Na obszarze „państwa muszyńskiego" z początkiem XVII stulecia założono jedynie dwie osady. Były nimi: Dubne, powstałe na mocy przywileju biskupa Maciejewskiego wydanego Michałowi Leluchowskiemu, oraz Wierchomla Mała założona przez Fedora ze Szczawnika. Nie znaczy to jednak, że miejscowości założonych na prawie wołoskim nie było więcej. Niestety brak dokumentów lokacyjnych odnośnie niektórych wsi sądeckich nie pozwala rozstrzygnąć tego problemu jednoznacznie. Generalnie jednak należy stwierdzić za Jerzym Czajkowskim, że w XVII w. doliny wyrzeźbione przez potoki spływające z ze stoków Pasma Jaworzyny zostały już prawie całkowicie zajęte przez osadnictwo pastersko-rolne. Skutkiem tej działalności osadniczej w obrębie Beskidu Niskiego i Sądeckiego było ukształtowanie się wyraźnej granicy między ludnością polską a ruską, która wyznaczona została po raz pierwszy przez Dionizego Zubrzyckiego w roku 1849.

Bogdan Potoniec

WODNE ZAKŁADY PRZEMYSŁOWE GRYBOWA I BIAŁEJ NIŻNEJ

My, Kazimierz, z Bożej Łaski Król Polski, na mocy niniejszego wiadomym czynimy wszem i każdemu z osobna, teraźniejszym i przyszłym, którym zależy aby o tym wiadomość mieli, że pragnąc pożytki królestwa pomnożyć i ubogich swych poddanych w czasie najazdów od nieprzyjaciół zachować – Hankowi, mieszczaninowi sądeckiemu, synowi Jana Bożego, założyciela wsi Siołkowa, Biała Niżna i Biała Wyżna nad rzeką Białą polecamy pośród granic tychże wsi miasto prawem magdeburskim na 150 łanach frankońskich założyć, a w nagrodę trudów z tem założeniem połączonych, nadajemy mu wójtostwo wtem mieście, którego miano ma być Grynberg, wieczyście dodając cztery łany z onych stu pięćdziesięciu i młynów tyle ich urządzić sobie zdoła, z sadzawkami i łaźnią, z dwoma kramami sukiennymi, jatkami szewskiemi, kramarskiemi, parasolniczemi, stoły chlebne, rzeźnię i folusz, wolny od wszelkich danin.

Fragment aktu lokacyjnego miasta Grybowa z 1340 r.

Młyn miejski

W dawnych czasach młynarstwo należało do ważnych dziedzin życia gospodarczego. Przywilej budowania młynów posiadali wyłącznie zasadźcy – wójtowie zakładający wsie, miasteczka i miasta. Podobnie było i w przypadku Grybowa. Król Kazimierz Wielki wydając w 1340 r. akt lokacyjny nadał założycielowi miasta taki przywilej. Wójt Hanko, jako uposażenie otrzymał 4 łany, dochody z łaźni, jatek sukienniczych, rzeźniczych,

piekarskich, szewskich oraz folusza sukienniczego. Uzyskał też prawo budowania młynów i sadzawek w dowolnej ilości. Z analizy tego dokumentu wynika, że w rejonie trzech wsi Siołkowej, Białej Niżnej lub Białej Wyżnej, gdzie było lokowane nowe miasto, pracował już folusz i nowy wójt został jego właścicielem. Tak więc początki sukiennictwa w tym rejonie mogą sięgać czasów przedlokacyjnych[1]. Być może nazwa rzeki Białej oraz nazwy wsi Białej Niżnej i Wyżnej pochodzą od bielącego się w słońcu płótna rozłożonego nad brzegiem rzeki.

Niestety brak potwierdzenia w źródłach, kiedy i gdzie został wybudowany młyn, którego prawo budowania posiadał założyciel Grybowa. Można tylko przypuszczać, że młyn taki powstał w dogodnym miejscu, pod skarpą miejską nad rzeką Białą. Nie ma również informacji o nim przez prawie następne dwieście lat. Z roku 1529 posiadamy potwierdzenie, że pod Grybowem pracował miejski młyn[2]. Zbudowany został na przedmieściu niżnym, pod skarpą miejską. Napędzany był wodą młynówki, która biegła wtedy, tak jak obecnie rzeka Biała. Natomiast sama rzeka ostro zakręcała w prawo (na wschód) przed skarpą miejską. Stan taki trwał aż do wielkiej powodzi w 1813 r. Wezbrane wody Białej wyżłobiły wtedy nowe koryto wykorzystując dotychczasową młynówkę, natomiast stare koryto rzeki stopniowo zasypywano pozostawiając niewielki kanał doprowadzający wodę do napędu młyna i tartaku.

Kolejne informacje źródłowe pochodzą z lat 1530 oraz 1536 i podają nieco więcej szczegółów, wzmiankowany jest jako młyn dziedziczny o jednym kole. Następne potwierdzenie źródłowe młyna miejskiego pochodzi z roku 1539[3].

W 1529 r. ród Pieniążków został tenutariuszem – dzierżawcą królewszczyzny, a jego przedstawiciel objął stanowisko starosty niegrodowego. W pierwszej połowie XVI w. właścicielem młyna w Grybowie był młynarz Więcław. W 1546 r. Zygmunt Stary zezwolił dworzaninowi Stanisławowi Pieniążkowi z Iwanowic wykupić młyn w mieście Grybowie od wspomnianego młynarza Więcława[4]. Nowi właściciele przeprowadzili modernizację młyna miejskiego. W 1581 r. młyn posiadał już trzy koła wodne. Na począt-

1 K. Baczkowski, *Dzieje Grybowa i wsi podgrybowskich w XIV–XVI wieku*, [w:] *Grybów. Studia z dziejów miasta i regionu*, t. I, pod red. D. Qurini-Popławskiej, t. I, Kraków 1992, s. 62.

2 *Słownik Historyczno-Geograficzny Ziem Polskich w Średniowieczu*, Kraków, cz. II, hasło *Grybów*, wersja elektroniczna, s. 110.

3 Tamże, s. 108-109.

4 Tamże, s. 110.

ku XVII w. młynarz Jan Obrzut wyremontował i rozbudował zabudowania tak mieszkalne, jak i gospodarskie młyna. Dobudował również własnym kosztem czwarte koło wodne oraz stępy szewskie. „Koło u tracza co wzad ciągnie ze wszystkim żelaziwem i śrubami u piły"[5]. Zapis ten może świadczyć, że trzy koła młyna posiadały napęd nasiębierny i obracały się zgodnie z nurtem młynówki. Natomiast czwarte koło tracza (tartaku) napędzane było jako śródsiębierne lub podsiębierne i obracało się w kierunku przeciwnym. Być może tracz wodny istniał już wcześniej, ale był w złym stanie technicznym, a Obrzut go wyremontował i udoskonalił. Z kolei sporą ciekawostkę stanowi zapis o stępie szewskiej, czyli foluszu do skóry. Zapewne istniało duże zapotrzebowanie na takie usługi i Obrzut zainstalował urządzenia folusza skórniczego. Z tego wynika, że w Grybowie znacznie rozwinęło się wyprawianie skór na potrzeby szewstwa i garbarstwa. Natomiast trudno ustalić do czego folusz do skór był używany, czy do zmiękczania skóry czy do rozdrabniania garbników.

Przez następne lata sytuacja w mieście nie uległa żadnym zmianom. W 1615 r. młyn podmiejski w dalszym ciągu posiadał cztery koła wodne, łącznie z tartakiem i stępą szewską.

Pod koniec XVI i w pierwszej poł. XVII w. młynarstwo w mieście było dobrze rozwinięte. W produkcji rzemieślniczej miasta ważną rolę spełniali młynarze, którzy nie tylko rozcierali zboże na potrzeby mieszkańców, ale i przygotowywali śrutę dla browarów i gorzelni, czyli tzw. słody. Młyn podmiejski był wtedy wielofunkcyjnym urządzeniem przemysłowym, przerabiającym nie tylko zboże na mąkę i słody, ale także połączony z tartakiem i przynajmniej okresowo z foluszem garbarskim. Natomiast żadne zapisy źródłowe nie wskazują, by istniał przy nim folusz sukienniczy. Urządzenie takie pracowało przy należącym także do dworu w Grybowie młynie, ale w Białej Niżnej.

Przerwy w pracy młyna spowodowane były głównie powodziami. Z dokumentów historycznych wynika, że w 1650 r. po wylewie rzeki Białej młyn został uszkodzony i prawie przez miesiąc nie sprzedawano w Grybowie piwa z powodu braku słodów[6]. Podobna było kilka lat później (1659–1664), ponieważ powódź zniszczyła całkowicie jaz i uszkodziła młyn, który posiadał wcześniej 4 koła mączne korzeczne[7], piąte, które napędzało folusz

5 G. Chomicki, *Dzieje Grybowa i wsi podgrybowskich w XIV–XVI wieku* [w:] *Grybów...*, s. 114.
6 S. Cynarski, *Z dziejów miasta Grybowa od XVI do końca XVII wieku*, [w:] *Grybów...*, t. I, s. 159.
7 Koło korzeczne – koło wodne nasiębierne.

i stępy. Lustratorzy nie pobrali żadnych opłat, odnotowali, że jaz i młyn potrzebują pilnie naprawy i mieszkańcy jeżdżą z mlewem do innych młynów. Żadne opłaty z tego tytułu nie wpływają do dworu. Lustracja ta wprowadza nieco zamieszania, ponieważ wcześniejsze źródła wymieniały pod miastem młyn o 3 kołach mącznych i czwartym do napędu tartaku. Nie wspominały natomiast zupełnie o kolejnym czwartym kole młyńskim i kolejnym do napędu folusza. Prawdopodobnie popełniono pomyłkę, nie mogąc dokładnie skontrolować ilości kół wodnych i ich przeznaczenia, ponieważ: „Ten młyn przez zniesienie jazu spustoszał, naprawy wielkiej potrzebuje"[8].

W połowie XVII w. wskutek powodzi młyn znacznie podupadł. Jego nowym troskliwym gospodarzem stał się dopiero w latach siedemdziesiątych Wojciech Stawiarczyk, wcześniej młynarz w Białej Niżnej. Renowacji doczekała się wówczas mieszkalna część młyna i tracz, przy którym zamontowano nową piłę „pańską", korby, wał, obręcze. Kolejne dokładniejsze informacje o młynie pochodzą z 1700 r., kiedy to wyposażony był w „dwa kamienie dobre, wyżni i średni, trzeci, słodowy wpół przerobiony tracz ze wszystkim pożytkiem"[9].

Na początku XVIII w. w Grybowie pracował młyn miejski o 4 kołach wodnych, 3 młyńskich i jednym tartacznym. Rejestr poborowy z 1712 r. wymienia dla Grybowa 3 koła zakupne, od których pobrano czynsz 2 złr. 12 kr oraz jedno trackie z opłatą 15 krajcarów[10].

Skąpe są źródła z połowy XVIII w., lustracja z 1765 r. wymienia jedynie młynarza grybowskiego, który za młyn, rolę i plac płacił 76 złotych[11]. Z mapy Miega, która powstała dla Galicji w latach 1763–1787 wynika, że młyn zlokalizowany był pod miastem. Napędzany był młynówką, która płynęła wtedy mniej więcej tak, jak obecnie rzeka Biała. Młynówka rozpoczynała swój bieg w okolicach dzisiejszego wiaduktu kolejowego, dodatkowo zasilana była wodą potoku Siołkowskiego. Rzeka Biała płynęła północną częścią obecnego parku, potem skręcała na północ i łączyła się z młynówką. Po ogromnej powodzi w 1813 r. Biała na tym odcinku zmieniła swój bieg i od tego czasu płynie korytem dawnej młynówki. Młyn wkrótce odbudo-

8 Red. A. Falniowska-Gradowska, F. Leśniak, *Lustracja województwa krakowskiego 1659–1664*, cz. I, Warszawa 2005, s. 666.

9 G. Chomicki, *Dzieje Grybowa i wsi podgrybowskich w XIV–XVI wieku*, [w:] *Grybów...*, t. I, s. 115.

10 Archiwum Narodowe w Krakowie (dalej ANKr), JPG, *Regestrum contributionum pobor et podymne dictarum palatinatus Cracoviensis 1712 r.*, s. 394-395.

11 A. Falniowska-Gradowska, *Lustracja województwa krakowskiego 1765*, cz. I, Warszawa 1973, s. 189.

wano na prawym brzegu rzeki, a do poprowadzenia młynówki wykorzystano dawne koryto rzeki Białej.

W połowie XVIII w. właścicielami tenuty była rodzina Wodzickich. W 1752 r. starostą grybowskim został Piotr Wodzicki kasztelan biecki i sądecki żonaty z Konstancją z Dembińskich. Ostatnim dzierżawcą królewszczyzny i starostą niegrodowym w 1768 r. został ich syn Franciszek Wodzicki żonaty z Zofią z Krasińskich. Rząd austriacki po zajęciu części Sądecczyzny w 1770 r. i pierwszym rozbiorze Polski w 1772 r. stopniowo wprowadzał swoje rządy, urzędników i własne rozwiązania organizacyjne. Uniwersałem komisarza austriackiego na Galicję z 28 stycznia 1773 r. wszystkie dobra królów polskich przekazane zostały formalnie na własność cesarzowej jako dobra koronne. Dotychczasowym dzierżawcom dożywotnio pozostawiono dobra w dzierżawie, ale z obowiązkiem opłacania podatków państwowych. Mieli także obowiązek złożenia ślubów wierności cesarzowej Marii Teresie. Takim dożywotnikiem był hrabia Franciszek Wodzicki, który został dzierżawcą cesarskim i przysługiwał mu tytuł starosty. W 1785 r., po jego śmierci, starostwo grybowskie zostało przejęte przez rząd austriacki i zlikwidowane. Władze zaborcze przejęły wszystkie królewszczyzny, które na początku XIX w. zostały sprzedane na licytacjach prywatnym właścicielom.

Majątek dawnego starostwa grybowskiego podzielony został na dwie części i wystawiony na publiczną sprzedaż. W ówczesnej prasie galicyjskiej ukazały się stosowne ogłoszenie o publicznej licytacji.

Obwieszczenie. Od C. K. galicyjskiej do sprzedaży Dóbr Skarbowych ustanowionej komisji niniejszym ogłasza się, iż w dniu 3 czerwca 1812 roku w C. K. gubernialnym Domu w Lwowie o godzinie 10 z rana, pierwszy oddział Starostwa Grybowskiego w Cyrkule Sądeckim położonego, z miasta Grybowa i wsi Siołkowej, Wyżnej Białej, Kąclowej, Binczarowej i Boguszy oraz wójtostwa Wróblówka składający się przez publiczną licytację sprzedany będzie.

Oprócz prawa propinacji należy do tego jeszcze w dworskich gruntach:

23 morgi	271 sążni kwadratowych		ogrodów
295 –»–	245 –»–	–»–	pól ornych
33 –»–	1313 –»–	–»–	łąk
13 –»–	1270 –»–	–»–	pastwisk
1440 –»–	1464 –»–	–»–	lasu

Tudzież znajdują się tamże **dwa pańskie młyny, dwa tartaki, i 3 emfiteutyczne młyny**[12].

W budowlach mieszkalnych i gospodarczych:

W mieście Grybowie: pomieszkanie dla Dyspozytora, murowany sklep, dom mieszkalny pod numerem konskrypcyjnym 151, spichlerz, wozownia, stajnia na konie, gorzelnia, słodownia, karmnik, stodoła i browar.

Za miastem Grybowem: pomieszkanie dla Dyspozytora, 4 stodoły, spichlerz na zboże, stajnia na konie, bydło i owce, stajnia na woły.

We wsi Siołkowa: pomieszkanie dla Urzędnika, spiżarnia, dwie stajnie na konie, jedna na krowy i jedna na woły, 5 stodół, jeden spichlerz na zboże i 1 dom szynkowy.

We wsi Białej Wyżnej: 1 dom zajezdny z stajnią, izbą dla gorzelnika, piwnicą i karmnikiem.

We wsi Kąclowej: dom zajezdny.

Za cenę pierwszego wywołania wzięta będzie suma 133 054 złotych ryńskich 3 6/8 krajcarów, której część dziesiąta jako wadium przed licytacją w gotówce będzie złożona, a pierwsza połowa sumy kupna w czterech tygodniach po licytacji z uwzględnieniem wadium uiszczona być powinna, ażeby po tym zwycięzcy licytacji te dobra w użytkowanie oddać można było.

Ogłoszono we Lwowie 10 kwietnia 1812 r.[13]

Nie wiadomo dlaczego ogłoszona licytacja 1812 r. nie wyłoniła zwycięzcy, ale faktem jest, że dobra Grybowa, wsie Kąclowa, Binczarowa, Bogusza z folwarkiem Wróblówka oraz folwark w Białej Niżnej i Siołkowej nabył Józef Hosch na licytacji 22 maja 1828 r. za kwotę 32 tys. złr.

Z anonsu prasowego wynika, że na terenie miejscowości wystawionych na licytację znajdowały się dwa młyny pańskie (dworskie), dwa tartaki oraz trzy młyny będące w dzierżawie.

Bardzo dokładna lokalizacja młyna miejskiego znajduje się na mapie katastralnej Grybowa z 1846 r. Ciekawostką jest duży jaz na Białej, który piętrzył wody rzeki i kierował ją do młynówki. Tama przegradzała rzekę i podnosiła poziom rzeki o 5-6 m. Zbudowana była z pali sosnowych wbitych w dno rzeki, związana zastrzałami z grubych bali, podpierający mur oporowy wypełniony rumowiskiem skalnym i kamieniami. Po prawej stronie znajdowała się śluza, która kierowała odpowiednią ilość wody do mły-

[12] Emfiteutyczny młyn – wieloletnia, dziedziczna dzierżawa młyna z możliwością czerpania z niego zysków, ale bez prawa własności i możliwości nabycia tego prawa przez zasiedzenie.

[13] „Gazeta Lwowska", nr 84, 12 IV 1812, dodatek „Dziennik Urzędowy", nr 35.

nówki. Nadmiar wody spływał po skośnie ułożonych balach do koryta rzeki Białej. Szerokość jazu wynosiła 15 m, a długość odpowiadała szerokości rzeki i wynosiła około 40 m[14]. Podobne jazy zbudowane były w Bobowej i Kąclowej.

Wynalazki techniczne znajdowały zastosowanie w różnych dziedzinach życia gospodarczego, w tym również w tartakach (napęd parowy) i młynach (tzw. system amerykański). W najlepszych czasach młynarstwa galicyjskiego, gdy nieurodzaje na Węgrzech i wojna prusko-austriacka wywołały zwiększony popyt na mąkę powstało wiele młynów w okolicach Grybowa. Zakłady zaopatrywały się w znakomitej jakości kamienie młyńskie z Bartnego, a później również z Przegoniny i Bodaków w powiecie grybowskim. Od lat siedemdziesiątych, kiedy młynarstwo galicyjskie zaczęło ustępować konkurencji wydajniejszych i nowocześniejszych parowych młynów węgierskich, liczba zakładów młynarskich zaczęła powoli spadać, choć jeszcze w następnej dekadzie działało na terenie Galicji 3476 młynów, które zatrudniały ponad 6500 pracowników. W 1884 r. w powiecie grybowskim pracowały jeszcze 23 młyny (wobec 34 istniejących w 1874 r.), w tym dwa należące do Kopfela Rosenfelda w Bobowej i Grybowie, ulepszonej amerykańskiej konstrukcji. Wszystkie 23 młyny posiadały napęd wodny i posiadały łącznie 36 zestawów kamieni młyńskich lub walców. Ogółem w młynach w powiecie pracowało w latach osiemdziesiątych 40 osób[15].

W drugiej poł XIX w. właścicielem dawnego młyna miejskiego w Grybowie został Żyd Kopel Rosenfeld. Zakład przekształcony został w nowoczesny młyn typu amerykańskiego, pracował przy nim również tartak. Były to największe zakłady w powiecie grybowskim, opłata od nich wynosiła 42 zł. Ten sam właściciel posiadał młyn amerykański z tartakiem w pobliskiej Bobowej, ale były to zakłady o nieco mniejszych możliwościach produkcyjnych, podatek wynosił 31 zł 50 centów[16]. Sytuacja własnościowa młyna grybowskiego z tartakiem nie ulegała zmianie przez kolejne dziesięciolecia. *Z Księgi adresowej przemysłu galicyjskiego z 1901 roku* wynika, że w dalszym ciągu zakładami zarządza K. Rosenfeld, a młyn produkuje wszystkie rodzaje mąki i otręby[17]. W ciągu kilku kolejnych lat zaszły znacz-

14 S. Osika, *Sentymentalny spacer po międzywojennym Grybowie*, Komorów 2008, s. 29.

15 „Rocznik statystyki przemysłu i handlu krajowego", Lwów 1886: „Młynarstwo, Przemysł młynarski, spis młynów", s. 131.

16 Tamże, s. 34.

17 *Księga adresowa przemysłu galicyjskiego. I Zjazdu Przemysłowego*, Kraków 1901, s. 48

ne zmiany w napędzie zakładów. Oprócz napędu wodnego wyposażono je w alternatywny napęd maszyną parową[18]. Ze *Skorowidza przemysłowo-handlowego z roku 1912* wynika, że właścicielem młyna parowego z tartakiem wodnym w dalszym ciągu był Kopel Rosenfeld i zlokalizowane były one przy ulicy Nowy Świat[19].

Kolejnym właścicielem młyna z tartakiem był Józef Kant. Z dokumentów z 1922 r. wynika, że zakłady były zarządzane przez spadkobierców Józefa Kanta. Tartak wodny i młyn wodny zatrudniały po jednym pracowniku, moc wynosiła odpowiednio 15 KM i 5 KM[20]. W dokumentach z lat 1926–1927 występują jako właściciele jeszcze spadkobiercy Józefa Kanta[21], a rok później rozdzielono zakłady pomiędzy braci. Właścicielem młyna wodnego został M. Kant, a tartaku Gerszon Kant[22].

W okresie międzywojennym w Grybowie na Równiach pracował tartak o napędzie parowym. W *Księdze adresowej z 1926/1927 r.* oraz z 1928 r. jako właściciel figuruje Salomon Götz[23]. Współwłaścicielami tartaku byli Samuel Neugröschel oraz Emil Kohn przewodniczący kahału, tzn. gminy wyznaniowej[24]. Utworzyli oni Spółkę z o.o. „Standard" z siedzibą w Grybowie. Tartak wyposażony był w dwa traki[25]. W marcu 1934 r. do władz spółki wszedł Szymon Baldinger, a w skład zakładu wchodziły: tartak parowy, heblarnia i wytwórnia skrzyń[26]. W czasie II wojny światowej tartak na Równiach został przejęty przez władze okupacyjne. Przekazany został niemieckiemu koncernowi Hobag. Zakład rozbudowano, przecierał duże ilości drewna, które pozyskiwano prowadząc rabunkową gospodarkę w okolicznych lasach. W czasie okupacji w tartaku pracowało wielu grybowian, był też miejscem pracy przymusowej dla grupy Żydów. W styczniu 1945 r. został spalony przez wycofujących się Niemców.

Ogromna powódź w lipcu 1934 r. zniszczyła jaz w Grybowie, który nie został odbudowany. Dawny młyn i tartak wodny, którego początki sięgają

18 *Skorowidz przemysłowo-handlowy Królestwa Galicji*, Lwów 1906, s. 289.
19 *Skorowidz przemysłowo-handlowy Królestwa Galicji*, Lwów 1912, s. 676.
20 *Księga adresowa przemysłu handlu i finansów*, Warszawa 1922, poz. 13200 i poz. 8216.
21 *Księga adresowa Polski wraz z W. M. Gdańskiem dla handlu, przemysłu, rzemiosła i rolnictwa*, Warszawa 1926/27, s. 121.
22 *Księga adresowa Polski wraz z W. M. Gdańskiem dla handlu, przemysłu, rzemiosła i rolnictwa*, Warszawa 1928, s. 367.
23 *Księga adresowa Polski...* 1926/27, s. 121; *Księga adresowa Polski...*, 1928, s. 367.
24 S. Osika, dz. cyt., s. 69 i 73.
25 Tamże, s. 73.
26 „Gazeta Lwowska", nr 177, 27 VII 1934.

czasów lokacji miasta, nie były już napędzane siłą wody. Od tego czasu do poruszania urządzeń młyńskich i tartacznych wykorzystywano wyłącznie silniki parowe.

W okresie międzywojennym ojciec Józefa Galeja, murarz z zawodu, zbudował tamę na potoku Wikle, która piętrzyła wodę. Potem zbudował niewielki młyn do celów gospodarczych, który mógł pracować wyłącznie podczas większych opadów deszczu. W pozostałych okresach zapora gromadziła zbyt mało wody i nie wystarczało jej do napędu kamieni młyńskich[27].

Źródła na temat dziejów grybowskiego młyna po II wojnie światowej milczą. Brak informacji o nim w dokumentach Archiwum Narodowego w Krakowie Oddział w Nowym Sączu. Nie występuje w ewidencji młynów upaństwowionych, czy też otrzymujących przydziały do przymusowego przemiału zboża. Nie zachowały się też żadne dokumenty związane z jego działalnością w Urzędzie Miasta Grybowa. W miejscu dawnego młyna powstał jeden z bloków mieszkalnych Osiedla 600-lecia, wybudowanego na początku lat sześćdziesiątych XX w. Niewiele osób potrafi wskazać miejsce obok bloku nr V, gdzie przez wiele lat mełł mąkę dla mieszkańców miasta i regionu.

Folusz w Białej Niżnej – zapomniane tradycje sukiennictwa wiejskiego

W akcie lokacyjnym Grybowa znajduje się niezwykle istotny zapis mówiący o tym, że nowy gród miał być założony w rejonie trzech wsi: Siołkowej, Białej Niżnej i Białej Wyżnej, w obrębie których pracował już folusz. Z późniejszych dokumentów historycznych wynika jednoznacznie, że młyn foluszniczy znajdował się na terenie Białej Niżnej. Tak więc tradycje sukiennictwa w tej wsi sięgają bardzo odległych czasów. Fakt ten może mieć związek z rzeką Białą oraz miejscowościami Biała Niżna i Wyżna. Nazwa „Biała" może wywodzić się od bielącego się w słońcu płótna rozłożonego nad brzegami rzeki.

W średniowieczu Małopolska słynęła z wyrobów płócien. Obróbka lnu łącznie z tkaniem tkanin na domowych warsztatach tkackich rozwijała się w wielu miastach i wsiach małopolski. Głównym centrum produkcji płótna w XVI w. był Kraków z Kleparzem i Kazimierzem. Dużymi ośrodkami były Biecz i Nowy Sącz, lokalnym Grybów z Białą Niżną.

27 S. Osika, dz. cyt., s. 88.

Wytwarzanie płótna z lnu

Nasiona lnu najczęściej wysiewano końcem kwietnia lub początkiem maja. Można wysiewać je wczesną wiosną, ponieważ roślina jest odporna na przymrozki. Po wzejściu roślin należy pole oczyszczać z chwastów. Po około 100 dniach powinien zakwitnąć, najczęściej na niebiesko. Dwa, trzy tygodnie po przekwitnięciu nie koszono go, ale wyrywano, aby uzyskać jak najdłuższe włókna. Len suszono na dwa sposoby: wiązano w małe snopki (pęczki) lub ustawiano niepowiązany w daszki, wykorzystując cienkie długie tyczki. Potem należało go wymłócić, czyli oddzielić nasiona od łodyg.

Kolejny etap obróbki lnu to roszenie (moczenie). Len kładziono w wodzie (w stawach albo w zakolach lub polderach zalewowych rzeki) i obciążano żerdziami i kamieniami tak, aby był całkowicie zanurzony i nie został porwany przez strumień wody. Jeśli w pobliżu nie było zbiorników wodnych, len rozkładano na ścierniskach i łąkach. Najlepszy czas na roszenie przypadał od połowy sierpnia do połowy września. W sprzyjających warunkach, przy dostatecznej ciepłocie i wilgotności, roszenie trwało ok. 3 tygodnie. Zmiana koloru słomy z żółtego na szary była znakiem, że proces ten został zakończony.

Po wysuszeniu, najczęściej w październiku, przystępowano do międlenia lnu w celu pokruszenia i usunięcia osłonek łodyg, aby uzyskać czyste, długie włókno. Służyła do tego międlica, deska z wyciętą szczeliną, w którą wchodziła druga deska. Pracowały jak duże nożyce, łamiąc łodygi lnu. Do usuwania połamanych łodyg (zwanych paździerzami) używano cierlice. Cierlica tym różniła się od międlicy, że miała dwie szczeliny. Następnie włókno wyczesywano specjalną szczotką, aby usunąć resztki paździerzy i oddzielić pakuły od włókna długiego. Szczotka do czesania lnu była zrobiona z kawałka deski, w którą powbijano ostre gwoździe. Zamontowana była nieruchomo, a pasma lnu przeciągano pomiędzy ostrymi zębami szczotki.

Kiedy nadeszła zima, kobiety przędły nici (przędzę) używając wrzecion i kądzieli lub kołowrotków. Kiedy szpula na wrzecionie kołowrotka była już wypełniona, przy pomocy motowidła nici zwijano w motki. Po wytworzeniu nici przystępowano do tkania na warsztatach tkackich. Wyprodukowane płótno lniane było szare i sztywne. Ostatnim etapem przygotowania tkaniny było jej bielenie. Późną wiosną, przy bardzo słonecznej pogodzie,

rozkładano je na łąkach, aby leżąc na słońcu wybieliły się i zmiękły. Od czasu do czasu, bielone tkaniny polewano wodą oraz posypywano ługiem. Wykorzystywano do tego łąki położone na zboczach nachylonych w kierunku południowym. Proces ten powtarzano tak długo, aż płótno osiągnęło biały kolor.

Produkcja sukna

Sukno produkowano z wełny owczej. Owce strzyżono najczęściej dwa razy do roku, wczesną wiosną oraz na jesień. Pierwsza strzyża dostarczała wełny zimowej, gorszej jakości; druga letniej, która była czystsza i mocniejsza. Do wstępnej obróbki wełny należało też pranie w letniej wodzie z dodatkiem sody, a następnie kilkakrotne płukanie. Następny etap produkcji to wyczyszczenie jej z zanieczyszczeń oraz gręplowanie, które polegało na rozczesaniu wełny specjalnym grzebieniem.

Potem wełnę trzeba było uprząść na kołowrotku, aby powstały nici. Te wykorzystywało się w warsztatach tkackich (krosnach) do produkcji sukna. W celu uszlachetnienia (spilśnienia) utkanego materiału, poddawano go obróbce w wałkownicach (foluszach). Każda tkanina wełniana wyprodukowana w warsztacie posiada nitki wątka i osnowy jeszcze odosobnione i niepokryte powłoką pilśniową (kutnerem). Dopiero w procesie folowania wytwarzane są włókna pilśniowe i zwiększana jest zawartości tkaniny. Młyny folusznicze, podobnie jak tradycyjne, napędzane były kołem wodnym. Wyposażone były w drewniane młoty, zwane stęporami, które uderzały w sukno leżące w stępie (wydrążonej kłodzie), które dodatkowo polewane było gorącą wodą z roztworem mydła i ługu. Płótno ułożone było w „harmonijkę" i po każdym uderzeniu młota przesuwane było o jedną zakładkę tak, aby było równo spilśnione. Młoty były tak wyprofilowane, że po uderzeniu podpychały materiał nieco do góry przekładając go o ustaloną zakładkę. Materiał w czasie folowania kurczył się prawie o 35%; na długość z 10 m zmniejszał się do ok. 6,5 m, kurczył się też na szerokość. Poprzez proces folowania, który trwał ok. 24 godziny, materiał zwiększał znacznie swoją gęstość.

Miejsca, gdzie suszono płótno na słońcu początkowo nazywano blichem lub blechem, czynność blichowaniem, a wykonującą ją osobę blicharzem. Później blichem nazywano miejsce, gdzie znajdowały się blichownie (bie-

lenie płótna) oraz folusze, pralnie, ługownie czy farbiarnie. Folusze wymagały znacznej ilości wody i energii wodnej, dlatego budowano je w pobliżu rzek, często w obrębie młynów, gdzie napędzane były oddzielnym kołem wodnym.

Tradycje sukiennicze w Białej Niżnej

Druga część dawnego starostwa grybowskiego również została wystawiona na publiczną sprzedaż. W 1812 r. „Gazecie Lwowskiej" ukazało się ogłoszenie o publicznej licytacji dóbr Gródka i Białej Niżnej.

Obwieszczenie. Od Cesarsko Królewskiej Galicyjskiej do sprzedaży Dóbr Skarbowych ustanowionej komisji niniejszym ogłasza się, iż w dniu 4 czerwca 1812 roku o godzinie 10 z rana w C.K. Domu Gubernialnym we Lwowie, względem sprzedaży drugiego oddziału Starostwa Grybowskiego w Cyrkule Sądeckim położonego odbędzie się publiczna licytacja.

Oddział dóbr składa się z wsi Białej Niżnej i Gródka.

Oprócz prawa propinacji, pożytku z cegielni, młynów i łowów, znajduje się tamże blech na płótno, który do 573 zł ryńskich 30 krajcarów rocznie czystego dochodu czyni.

Dworskie grunta składają się:

12 morgi	514 sążni kwadratowych	ogrodów
289 –»–	1080 –»– –»–	pól ornych
58 –»–	1204 –»– –»–	łąk
35 –»–	890 –»– –»–	pastwisk
675 –»–	1073 –»– –»–	lasu

W budowlach dworskich znajduje się:

We wsi Białej Niżnej: 1 pomieszkanie dla Urzędnika, 1 pomieszkanie dla blicharza, 1 spichlerz, 4 stodoły w czworokąt budowane, nowe rusztowanie na stodole, 1 stajnia na konie i bydło rogate, 1 gorzelnia, wałkownia na płótno (folusz), 1 magiel na płótno, 1 murowany sklep płócienny, 1 cegielnia czyli szopa na cegły, 1 piec do wypalania cegieł, 1 dom zajezdny ze stajnią, 1 dom szynkowy, kogutówka zwany.

We wsi Gródek: 1 pomieszkanie dla urzędnika, 1 szopa wraz ze stodołą, 1 stodoła, 1 gorzelnia,1 karmik, 1 pomieszkanie, 1 piwnica murowana, 1 karczma ze stajnią[28].

[28] „Gazeta Lwowska", nr 84, 12 IV 1812, dodatek „Dziennik Urzędowy", nr 35.

Z ogłoszenia wynika, że wśród dochodów z tych wsi były wpływy z młynów, niestety nie podano ich liczby oraz lokalizacji. W Białej Niżnej znajdował się budynek mieszkalny dla blicharza, wałkownia na płótno, czyli folusz, magiel i murowany sklep, w którym sprzedawano płótno i sukno. Działający we wsi blech do płótna przynosił bardzo wysokie dochody roczne – 573 złr. 30 kr. Ta licytacja również nie wyłoniła nowych właścicieli, ale dobra zostały sprzedane na licytacji 5 czerwca 1822 r. Wieś Białą Niżną z przyległościami i Gródek kupił baron Piotr Przychocki za 29.577 złr. Kolejnymi właścicielami byli Aleksandra i Piotr Zielińscy, a następnie ich córka Konstancja i Eustachy Stadniccy. Konstancja załącznikiem do testamentu z grudnia 1873 r. przekazała swoje dobra na rzecz sióstr Dominikanek z Wielowsi. Objęcie dworu przez siostry i przekształcenie go na klasztor miało nastąpić po śmierci Konstancji oraz Olimpii z Barańskich hrabiny Stadnickiej. Ta ostatnia zmarła 11 maja 1895 r. i siostry zakonne objęły w posiadanie dobra Białej Niżnej i Gródka.

Lokalny ośrodek produkcji płótna i sukna działał przez wiele lat w Białej Niżnej. Na prawym brzegu rzeki Białej pracował napędzany kołem wodnym folusz, w którym folowano sukno nadając mu większą gęstość. We wsi znajdował się magiel do płótna oraz samodzielny budynek dla blicharza. Okoliczne łąki i wzgórza wykorzystywane były do bielenia płótna, które wystawione na promienie wiosennego słońca nabierało białego koloru. Wyprodukowane płótno i sukno sprzedawano w specjalnie wybudowanym murowanym sklepie płóciennym, który zapewne zlokalizowany był przy drodze z Grybowa do Stróż.

Z analizy mapy Miega wynika, że zakład napędzany kołem wodnym znajdował się na obszarze dworskim, na prawym brzegu Białej, gdzieś w okolicach dzisiejszego cmentarza, po jego stronie południowo-zachodniej. Ponieważ mapa Miega nie jest dokładnym planem, niemożliwe jest ustalenie czy folusz pracował samodzielnie, czy też działał przy młynie. Ze względów technicznych i ekonomicznych folusze na ogół pracowały przy młynach, ale niestety, dostępny materiał źródłowy nie pozwala ustalić ilości kół wodnych. Zapewne jednak każdy zestaw kamieni młyńskich, urządzeń tartaku czy też folusza posiadały odrębne koło wodne.

Ostatnia informacja o funkcjonowaniu folusza pochodzi z 1822 r. Na bardzo dokładnej mapie katastralnej powstałej w 1846r. nie ma już w tym rejonie zakładu napędzanego kołem wodnym. Tak więc można wy-

snuć tezę, że prawdopodobnie folusz w Białej Niżnej zakończył swoją pracę w tym okresie. Z map późniejszych wynika, że w tym miejscu nie zbudowano już żadnego innego zakładu wodnego. Około 1863 r. młyn i tartak wybudowane zostały kilkaset metrów na północ, w miejscu w którym znajdują się do dzisiaj.

Młyn i tartak w Białej Niżnej

Dokumenty historyczne nie zawierają niestety wielu danych o dawnym młynie i młynarzach w Białej Niżnej. Lustracja z lat 1659–1664 wymienia pod wsią Biała Niżna młyn o jednym kole korzecznym. Zakład wyposażony był dawniej w drugie koło, ale uległo ono zniszczeniu. Młynarz zobowiązany był oddawać do dworu dwie miary, a trzecią mógł zostawić dla siebie[29]. Nieco więcej szczegółów zawierają zapisy z lat siedemdziesiątych XVII w., które podają, że młynarzem w tej wsi był Wojciech Stawiarczyk. Młynarz zrezygnował z prowadzenia zakładu w Białej Niżnej i został gospodarzem znajdującego się w złym stanie technicznym młyna miejskiego w Grybowie, który wyremontował i udoskonalił pracujący przy nim tracz[30].

Rejestr poborowy z 1712 r., który ewidencją objął nie tylko Grybów, ale i okoliczne wsie: Siołkową, Kąclową, Gródek oraz obydwie Białe, podaje łączne pobrane opłaty bez podziału na poszczególne miejscowości. Lustratorzy odnotowali opłatę od 2 kół zakupnych[31], która wynosiła 1 złoty reński i 18 krajcarów oraz od jednej piły trackiej – 15 krajcarów[32].

Przed rokiem 1863 młyn z tartakiem w Białej Niżnej zostały przeniesione kilkaset metrów na północ. Zlokalizowane były na wschodnim brzegu rzeki Białej. Początkowo posiadały napęd wodny. Młynówka górna pobierała wodę z rzeki Białej w okolicach obecnego mostu drogowego, płynęła kanałem ziemnym i napędzała jedno lub dwa koła wodne nasiębierne umieszczone po zachodniej stronie budynku. Woda robocza po przejściu przez koła wodne wracała również kanałem ziemnym do rzeki Białej. W 1886 r. właścicielem młyna z tartakiem był Wojciech Nienasik, opłata

[29] A. Falniowska-Gradowska, dz. cyt., s. 670.

[30] G. Chomicki, dz. cyt., s. 115.

[31] Koło zakupne – młyn odkupiony od wcześniejszych właścicieli dziedzicznych, najczęściej sołtysów-zasadźców lub ich potomków.

[32] Archiwum Narodowe w Krakowie, *Regestrum contributionum pobor et podymne dictarum palatinatus Cracoviensis 1712 r.*, s. 274-275. JPG.

wynosiła 5 zł 25 centów[33]. Wodę do młynówki piętrzył jaz z drewna i chrustu. W 1890 r. młyn wyposażony był w 3 kamienie, a tartak w 2 piły[34]. Źródła z 1888 r. odnotowują pracę drugiego tartaku w Białej Niżnej. Należał do Henryka Kattnera i spółki, zaliczał się do najnowocześniejszych tartaków parowych w powiecie grybowskim[35].

Młyn parowy i tartak konwentu SS. Dominikanek – Biała Niżna 17

W drugiej połowie XIX w. Biała Niżna, łącznie z sąsiednią wioską Gródek, stanowiła własność dziedziczną Konstancji z Zielińskich hrabiny Stadnickiej. W 1873 r. całą tę posiadłość ziemską, łącznie z dworem, młynem i traczem, Konstancja Stadnicka zapisała, testamentem Zgromadzeniu Sióstr Dominikanek III Zakonu w Wielowsi, którego przełożoną generalną była założycielka zgromadzenia – Maria Kolumba Białecka. Zgodnie z testamentem objęcie dworu przez siostry oraz przekształcenie go na klasztor miało nastąpić po śmierci ostatniej z rodu Stadnickich, którą była Olimpia z Barańskich hrabina Stadnicka zmarła 11 maja 1895 r. W maju 1895 r. siostry objęły w posiadanie cały majątek. Z kroniki klasztornej wynika, że dwór z zabudowaniami gospodarczymi, młynem i tartakiem, w chwili przyjazdu sióstr wyglądał „jak po napadzie Tatarów". Wszystko było zaniedbane oraz zniszczone, a inwentarz żywy i martwy nieliczny[36].

Nowe właścicielki zapewne wyremontowały i uruchomiły młyn oraz tartak. Potwierdzenie działalności obydwóch zakładów posiadamy w 1906 i 1912 r.[37] Obydwa zakłady pracowały systematycznie przez cały okres międzywojenny. W 1922 r. tartak zatrudniał jednego pracownika, oprócz napędu wodnego posiadał alternatywny napęd parowy 16 KM[38]. Informacje z lat 1926–1930 są bardzo skromne, widomo tylko tyle, że były czynne i należały do Zgromadzenia Dominikanek[39]. Z informacji otrzymanych od obecnego właściciela – pana Dariusza Kmaka – wynika, że około 1920 r. stary drew-

33 „Rocznik statystyki przemysłu i handlu krajowego", Lwów 1886: „Młynarstwo...", s. 131.

34 Biblioteka Jagiellońska, *Alegata do Sprawozdań Stenograficznych z Drugiej Sesyi Szóstego Peryodu Sejmu Krajowego Królestwa Galicyi i Lodomeryi wraz z Wielkiem Księstwem Krakowskiem z roku 1890*, Lwów 1890, identyfikator dokumentu cyfrowego: DIGCZAS002004, s. 17.

35 „Rocznik statystyki przemysłu i handlu krajowego", Lwów 1888: „Przemysł drzewny, Spis tartaków", s. 9.

36 http://www.sp.bialanizna.pl/pliki_html/klasztor.html, (dostęp: 10 IV 2017).

37 *Skorowidz...*, 1906, s. 192; *Skorowidz...*, 1912, s. 673.

38 *Księga adresowa..., 1922*, poz. 13207.

39 *Księga adresowa ... 1926/27*, s. 97; *Księga adresowa..., 1928*, s. 342; *Księga adresowa..., 1930*, s. 330.

niany młyn został zastąpiony nowoczesnym młynem typu amerykańskiego. Murowany budynek zachował się w dobrym stanie do dnia dzisiejszego. Modernizacji poddany został również tartak, wybudowano nową większą wiatę, zmodernizowano trak do cięcia drewna.

Budynek młyna parterowy, murowany, z cegły z kamienną podmurówką, z dachem krytym blachą. Wiata tartaczna drewniana. W okresie międzywojennym funkcjonował napęd parowy. W zakładach zamontowano lokomobilę systemu parowego firmy Brand & Lhunillier Brno o pow. ogrzewania 23,5 m^2 i ciśnieniu 12 atm. W kotłowni wybudowano komin o wysokości 19 m.

W okresie międzywojennym, przynajmniej pewien czas, pracował w Białej Niżnej młyn i tartak parowy Spółki „Industrja". Zarejestrowany został w latach 1926–1927[40]. W ewidencjach opracowanych w późniejszych latach spółka ta nie występuje.

Młyn klasztorny w 1940 r. został zmodernizowany, piętro nadbudowano z poddaszem, unowocześniono urządzenia wewnętrzne[41]. Z polecenia władz okupacyjnych młyn był intensywnie eksploatowany, przez wiele dni mełł praktycznie przez całą dobę. W 1944 r. wyprodukował 675 t. mąki żytniej i pszennej oraz pęcaku. Moc maszyny parowej wynosił 35 KM, zdolność przemiałowa ok. 4,5 t. na dobę. Zatrudniał 5 pracowników fizycznych i 2 umysłowych (siostry zakonne). Oficjalnie pieczę nad zakładem sprawowała s. Maria Kolumba, prokuratorka generalna sióstr Dominikanek w Białej Niżnej.

20 stycznia 1945 r. młyn został zajęty przez wojsko sowieckie, które zarządzało zakładem do kwietnia. W maju siqstry uruchomiły również tartak, ale ze względu na brak węgla do napędu lokomobili zakłady pracowały sporadycznie. W październiku zgłoszono zmianę typu młyna z handlowego na gospodarczy w celu uniknięcia upaństwowienia i płacenia wysokich podatków. Szybko okazało się, że maszyna parowa była całkowicie wyeksploatowana w związku z intensywna pracą w czasie okupacji. Podjęto decyzję o zakupie nowej, mocniejszej lokomobili. Sprowadzono ją samochodem ciężarowym z Bochni. Podczas montażu okazało się, że niezbędne było podwyższenie dachu nad kotłownią oraz komina. Wysiedlony z terenów

[40] *Księga adresowa..., 1926/27*, s. 97.

[41] Archiwum Narodowe w Krakowie Oddział w Nowym Sączu (dalej ANKONS), sygn. 31/187/0/6/7, Kwestionariusze Wydziału Aprowizacji i Handlu dotyczące młynów w powiecie nowosądeckim, Ankiety 1945.

wschodnich Piotr Łazarewicz, skierowany został przez siostry na kurs młynarski, aby uzyskać niezbędny dyplom wymagany przez władze dla właścicieli młynów prywatnych. W 1946 r. uszkodzoną ramę trakową wymieniono na nową, zamontowano też w tartaku łożyska kulkowe oraz ze względu na brak węgla przerobiono kocioł na opalanie drewnem i trocinami[42].

W młynie zatrudnionych było trzech pracowników: młynarz, robotnik oraz pracownik umysłowy (siostra zakonna). Zakład mełł głównie pszenicę, żyto i jęczmień na mąkę, kaszę i otręby. Grunty rolne, ok. 96 ha odebrano i utworzono Państwowe Gospodarstwo Rolne. W myśl zgłoszenia z 18 października 1949 r. do Referatu Przemysłu i Handlu Starostwa Powiatowego w Nowym Sączu w obydwu zakładach zatrudnionych było 11 osób łącznie z kierownikiem Piotrem Łazarewiczem. Roczny obrót młyna wynosił 406.179,70 zł a tartaku 546.662,53 zł.

W 1949 r. młyn poddany został gruntownym pracom remontowym, głównie urządzenia wewnętrzne, co pozwoliło zwiększyć możliwości przemiałowe. Młyn gospodarczy wyposażony był w jedną parę podwójnych walców o długości 80 cm typu „MIAG" firmy Józefa John z Łodzi oraz zlokalizowany w przyziemiu kasper do czyszczenia zboża i produkcji pęcaku. Na początku 1950 r. obydwa zakłady upaństwowiono i od 26 marca 1950 r. zostały przejęte przez PGR Okręg Krakowski Zespół Nowy Sącz, Zespół nr 6 w Aleksandrówce[43]. PGR w Białej Niżnej od 1982 r. kierował pan Kazimierz Wiktor. Nowy dyrektor podjął decyzję o remoncie obydwóch zakładów. W młynie walce poddano ryflowaniu (rowkowaniu) w specjalistycznym zakładzie w Tarnowie. W tartaku przestarzały wolnobieżny trak wymieniono na nowocześniejszy i bezpieczniejszy – szybkobieżny. W zlikwidowanym traku piły były naciągane przy pomocy klinów, które wbijano mechanicznie, natomiast w nowym za pomocą śrubowego mechanizmu naprężającego.

W 1995 r. PGR zostało zlikwidowane, cały majątek przejęła Agencja Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa w Rzeszowie. Około 1997 r. ogłoszono przetarg, który wygrał Wacław Szkaradek z Zabełcza, zostając dzierżawcą obydwu zakładów. Stan urządzeń młyńskich był zły, walce były prawie całkowicie wyeksploatowane i wymagały wymiany. Praktycznie od

42 Archiwum Diecezjalne w Tarnowie, sygn. ZŻ/7, Dominikanki – Zgromadzenie Sióstr św. Dominika, t. 1, lata 1919–1960.

43 ANKONS, Prezydium Powiatowej Rady w Nowym Sączu, sygn. 975, Młyn i tartak parowy, Biała Niżna – Gmina Grybów, poczta Stróże.

kilku lat używane były wyłącznie do śrutowania zboża na paszę. Do wytwarzania mąki już się nie nadawały. Nowy właściciel próbował zmodernizować młyn na tzw. „własny przemiał", ale eksperci od młynarstwa wydali negatywne opinie. Konstrukcja młyna była przestarzała a sposób przemiału przestarzały i nieekonomiczny. Proces mielenia zorganizowany był tak, że zboże było wielokrotnie mielone przez walce młyńskie, aż do uzyskania mąki o określonej jakości. Ponieważ w zakładzie był zamontowany stół walcowy podwójny (dwie pary walców), proces mielenia odbywał się niezależnie w każdym pasażu (parze walców młyńskich). Pan Szkaradek zaniechał działań w tym zakresie i młyn zaprzestał działalności. Uruchomił natomiast tartak, który cały czas pracował i świadczył usługi dla okolicznej ludności. Dzierżawa trwała do około 2002 r., ponieważ Konwent Dominikanek w Białej Niżnej odzyskał zabrany im majątek: grunty orne oraz obydwa zakłady. Prawdopodobnie w 2003 r. budynek dawnego młyna i tartak kupił Dariusz Kmak z Nowego Sącza[44]. Młyn od 1997 r. nie mełł mąki, a tartak pracował coraz rzadziej, później sporadycznie. Wyposażony był w gater na 12 pił, przecierał niewielkie ilości drewna dla okolicznej ludności. W międzyczasie wymieniony został z powodu awarii silnik elektryczny o dużej mocy. Ostatni raz był uruchamiany w 2013 r., ale jak twierdzi obecny właściciel jest sprawny technicznie[45].

Od 1958 r. rozpoczął na stałe pracę we młynie i tartaku sióstr Dominikanek Antoni Hala z Białej Niżnej. Wcześniej zastępował podczas choroby ojca Andrzeja, którego zadaniem było rozpalenie w kotle i wyczyszczenie rurek w lokomobili. Ze względów oszczędnościowych w kotle maszyny parowej palono drewnem pochodzącym z rozbiórki starych domów. Pozyskiwano je z rozbieranych budynków drewnianych, często z opuszczonych gospodarstw połemkowskich. We własnym tartaku belki cięto na klocki o odpowiedniej wielkości i spalano w kotłowni. Stosując wyłącznie paliwo drewniane, bardzo trudno było osiągnąć robocze ciśnienie pary wodnej wynoszące wtedy ok. 10 atm. Przy zastosowaniu klasycznego paliwa – węgla kamiennego – bez żadnych problemów osiągano niezbędne parametry pracy kotła. Do obowiązków pana Antoniego należało również systematyczne czyszczenie 72 metalowych rurek nagrzewnicy z kamienia i nagaru. W połowie lat sześćdziesiątych doprowadzono prąd elektryczny do bu-

[44] Relacja p. Kazimierza Wiktora, byłego dyrektora PGR w Białej Niżnej.
[45] Relacja p. Dariusza Kmaka, obecnego właściciela byłego młyna i tartaku w Białej Niżnej.

dynków mieszkalnych w centrum Białej Niżnej. Elektryfikacją nie objęto stojącego na uboczu nad Białą młyna i tartaku. Obydwa zakłady posiadały oświetlenie elektryczne z własnej prądnicy. Lokomobila parowa działała do początku lat siedemdziesiątych XX w., ze względu na wyeksploatowanie i zły stan techniczny została wyłączona i pocięta na złom. Napęd parowy zastąpiono elektrycznym[46].

Stan zachowania. Budynek młyna murowany z wyposażeniem w urządzenia młynarskie: walce i łuszczarkę typu kasper 7017, odsiewacze płaskie ATD nr 896, elewatory do transportu zboża i mąki (dwa podwójne, jeden pojedynczy), winda o nośności 100 kg, wały i pasy transmisyjne. Tartak: nowa wiata tartaczna, gater metalowy na 12 pił z pełnym wyposażeniem, torowisko z wózkami do podawania drewna do traka. Śladów dawnej młynówki brak.

Z końcem lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku, przy głównej drodze, na terenie firmy produkującej domy drewniane z bali, ustawione zostało duże drewniane, ruchome koło wodne. Z informacji otrzymanych od pracowników wynika, że zostało ono wykonane na zlecenie w celach reklamowych. Niestety, transakcja nie doszła do skutku i właściciel zadecydował o ustawieniu go w celach promocyjnych na terenie własnego zakładu. Tak więc trochę przez przypadek, eksponowane w centralnym miejscu wsi wodne koło nawiązuje do tradycji folusznicznych i młyńskich Białej Niżnej, które sięgają odległych przedlokacyjnych czasów, dzisiaj już nie pamiętanych.

[46] Relacja p. Antoniego Hali, wieloletniego pracownika młyna w Białej Niżnej.

Jan Wnęk

WSPOMNIENIA KAZIMIERZA CHŁĘDOWSKIEGO Z CZASÓW EDUKACJI W NOWYM SĄCZU

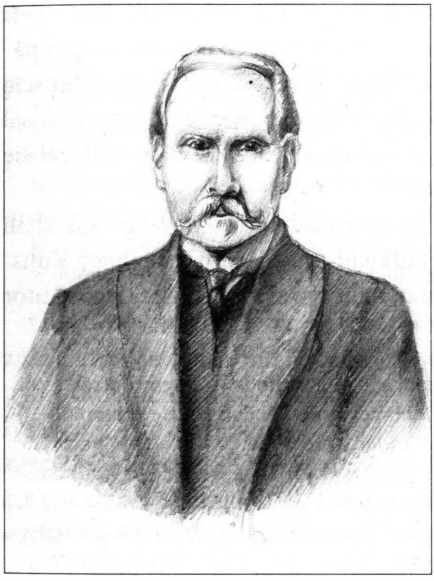

Kazimierz Chłędowski
Rys. M. Załuski na podstawie portretu

Wiek XIX był okresem, kiedy to do Nowego Sącza zaczęło przybywać coraz więcej młodzieży pragnącej kształcić się na poziomie średnim. Jedną z postaci, która w tym stuleciu edukowała się w nowosądeckim gimnazjum był Kazimierz Chłędowski (1843–1920) – przyszły literat i dziennikarz, historyk kultury, austriacki minister dla Galicji.

Na świat przyszedł w Lubatówce (pow. krośnieński), w rodzinie drobnoszlacheckiej. W młodości odebrał solidne wykształcenie, zakończone doktoratem praw w Uniwersytecie Jagiellońskim. Podjął pracę w namiestnictwie galicyjskim we Lwowie, a następnie w rządzie austriackim, gdzie w 1899 r. został ministrem. Chłędowski pozostawił po sobie znaczną spuściznę literacką. Spod jego pióra wyszły powieści, nowele,

krytyki literackie i teatralne, utwory satyryczne i publicystyczne. Rozgłos zyskał dzięki dziełom poświęconym kulturze włoskiego Odrodzenia.

Istotną wartość źródłową posiadają dwutomowe *Pamiętniki* Chłędowskiego. Pewne ich fragmenty dotyczą okresu, kiedy to Chłędowski kształcił się w Gimnazjum w Nowym Sączu (lata pięćdziesiąte XIX stulecia). Dowiadujemy się z nich, iż po roku edukacji w Tarnowie ojciec Chłędowskiego zdecydował, iż syn będzie kontynuował naukę w gimnazjum nowosądeckim. Zamieszkał na stancji u dyrektora gimnazjalnego Kaliksta Kruczkowskiego. Pamiętnikarz bardzo mile wspominał pobyt w tym domu. Kruczkowscy mieszkali w pojezuickim gmachu gimnazjalnym, wynajmowali pokoje kilku uczniom. Z *Pamiętników* wynika, iż w gimnazjum sądeckim najwięcej kształciło się młodzieży męskiej pochodzenia góralskiego. Była ona bardzo uboga. Żywiła się ziemniakami lub suchymi plackami owsianymi, które im rodzice przywozili raz na dwa tygodnie, przyjeżdżając na targ do Nowego Sącza. Chłędowski stwierdził, iż ojcowie góralskiej młodzieży byli stosunkowo dobrze wykształceni. Kończyli bowiem czteroklasowe gimnazjum w Podolińcu na Spiszu. Również ich synowie odznaczali się pilnością w nauce. W wolnych chwilach od zajęć lekcyjnych „szli oni do pustych sal szkolnych, bębnili tam na głos grekę i łacinę, a pusty korytarz rozlegał się od słów niby to klasycznej przeszłości".

Chłędowski wspomina w swym dziele nauczycieli, którzy go kształcili w nowosądeckiej szkole. Najbardziej utkwili mu w pamięci: Ignacy Kulisseki, profesor matematyki, i Jan Sternat, nauczyciel języka greckiego. Autor zapisał, iż Kulisseki:

> [...] był pijakiem... walał się po rynsztokach i przychodził czasem do szkoły w zabłoconym surducie. Uczył jednak dobrze, jasno i obchodził się z nami poczciwie, po ojcowsku. Sternat, z Krainy rodem, nie umiał ani słowa po polsku i zdawało mu się, że jest przynajmniej ciotecznym bratem Peryklesa. Z nikim się nie wdawał, studiował tylko swą greczyznę i nie wiem już, czy z szczerego przywiązania do helleńskiej kultury, czy też chcąc sobie oszczędzić kąpieli, wziął rozbrat z wodą i smarował codziennie ciało swe oliwą, ponieważ tak czynili starożytni atleci... mnie bardzo nie lubił... zraził mnie tak do greckiego języka, że przeszedłem całe gimnazjum, złożyłem egzamin dojrzałości, nie napisawszy nigdy z własnej głowy greckiego zadania.

Chłędowski dobrze wspominał Edwarda Hamerskiego, profesora języka niemieckiego i literatury. Pożyczał mu on dzieła wybitnego pisarza

– J.F. Goethego. Wśród uczniów sądeckiego gimnazjum sympatią cieszył się profesor nauk przyrodniczych, Czech Wacław Zavadil. Z nim młodzież chodziła na wiosnę na wycieczki botaniczne. Języka polskiego i literatury uczył ówcześnie prof. Julian Żurowski. Uczniowie – jak wspominał po latach Chłędowski – czuli w nim „opozycję przeciw systemowi germanizacyjnemu i staropolską szkolną tradycję, która… milszą była od nauk niemieckich «Kulturträgerów»".

Twórca *Pamiętników* podał, iż podczas nauki w gimnazjum w Nowym Sączu uzyskiwał dobre stopnie. Najlepsze oceny miewał z literatury polskiej i niemieckiej, z historii i nauk przyrodniczych, najgorsze z języka greckiego, a średnie z matematyki. W okresie, kiedy Chłędowski chodził do gimnazjum, zaczęto zmieniać dawny system kształcenie, bardziej praktyczny, na nowy, ściśle filologiczny.

Autor oceniając z perspektywy czasu te zmiany, stwierdził, iż były one chybione:

> Była to – pisał – w najwyższym stopniu zabijająca umysł bezpłodna nauka, coś podobnego jak średniowieczna scholastyka. Uczeń miał w gimnazjum przeczytać: Wergiliusza, Salustiusza, Tacyta, Homera, Eschylosa, Sofoklesa, a właściwie przeczytał po kilka lub kilkanaście kartek z każdego z tych autorów, nie miał wyobrażenia o piękności ich dzieł, owszem, zraził się do starożytnej literatury drobnostkowymi, filologicznymi rozbiorami. Zdarzali się wprawdzie uczniowie, którzy w ciągu nauk przeczytali kilku klasyków łacińskich, ale przeczytali ich w domu, zamierzając poświęcić się filologicznym studiom…

Chłędowski ów filologiczny system nauki określał jako jedną z największych „klęsk narodów mieszkających w środkowej Europie". Zarzucał mu „ogłupianie" młodzieży, wzbudzanie wstrętu do szkoły i nauki. Twierdził, iż nauka greki i łaciny nie była mu przydatna w życiu: „jakie to by było szczęście, gdyby mnie było nauczono dobrze po angielsku lub po włosku, zamiast zmuszać mnie do marnowania najpiękniejszych chwil młodości na bezpłodną, bezrozumną filologię…"

Charakterystyczne we wspomnieniach Chłędowskiego jest to, iż zarzucał w nich konserwatyzm nauczycielom szkół ludowych i średnich. Ceniąc nauczycieli akademickich, takimi słowami piętnował pedagogów kształcących młodzież na niższych stopniach nauczania:

> Zwykły nauczyciel wszakże to najnieprzystępniejsze stworzenie dla wszelkiego postępu. Powtarzając na głos przez lat kilkanaście lub kilkadziesiąt te same fakty

> i teorie, wierzy w nie święcie i zdaje mu się, że nie ma na świecie prawdy poza wygłaszanymi przez niego teoriami. W nauczycielu rozwija się z czasem bezmierna zarozumiałość, oczy zachodzą mu szkolnym bielmem, przez które nie widzi nic, co się naokoło dzieje. Ile to każdy z nas nasłuchał się i na pamięć wybębnił fałszów, które później jak niepotrzebną plewę musiał z głowy wyrzucać.

Autor oceniał, iż gimnazjum nowosądeckie, jako prowincjonalne i dalekie od „prądów filologicznej gorączki", lepsze było od innych tego rodzaju szkół, a nauczyciele pracujący w nim starali się kształcić zgodnie z duchem postępu.

W roku 1858 ojciec Chłędowskiego postanowił przenieść swego syna z nowosądeckiego gimnazjum do Krakowa. Po czterech latach nauki Chłędowski senior chciał, aby syn Kazimierz kształcił się w szkole o wyższym poziomie nauczania. Rodzicom Chłędowskiego zależało, żeby syn uczył się języka francuskiego i tańca, do czego nie było sposobności w Nowym Sączu.

Dzięki wspomnieniom Chłędowskiego możemy mieć lepsze wyobrażenie o dziewiętnastowiecznym szkolnictwie sądeckim. W wielu aspektach było ono niedoskonałe. Nie ulega jednak wątpliwości, iż niektórzy nauczyciele potrafili zachęcić młodzież do wytrwałej pracy oraz przekazać jej wiedzę na odpowiednim poziomie, dzięki czemu absolwenci nowosądeckiego gimnazjum byli dobrze przygotowani do podjęcia nauki na wyższych stopniach kształcenia.

Piotr Wierzbicki

POCZĄTKI KRAJOWEGO ZWIĄZKU NAUCZYCIELSTWA LUDOWEGO GALICJI W POWIECIE NOWOSĄDECKIM

Początki ruchów nauczycielskich na ziemiach polskich sięgają końca pierwszej połowy XIX w. Wówczas to na obszarze trzech zaborów rosyjskiego, pruskiego (później niemieckiego) oraz austriackiego zaczęły powstawać organizacje skupiające nauczycieli różnych typów szkół, od wiejskich poprzez średnie do wyższych. Najstarsze stowarzyszenie utworzono w Wielkopolsce w 1848 r. Było to Towarzystwo Pedagogiczne Polskie w Poznaniu. Jednakże dopiero przełom XIX i XX w. przyniósł rzeczywisty rozkwit tego typu struktur[1]. Najbardziej sprzyjające warunki do ich działania powstały na terenie Galicji już w latach sześćdziesiątych XIX w., co zaowocowało powołaniem do życia Towarzystwa Pedagogicznego we Lwowie (1868) oraz Towarzystwa Nauczycieli Szkół Wyższych (1884). Jednakże organizacje te nie skupiały w swych szeregach szerokich grup nauczycieli pracujących w szkołach elementarnych, nazywanych też ludowymi typu wiejskiego i miejskiego, gdy tymczasem to oni stanowili

[1] Zagadnienie rozwoju organizacji nauczycielskich we wszystkich zaborach w XIX i początku XX w. zob. *Szkice z dziejów Związku Nauczycielstwa Polskiego*, Warszawa 1939; *100 lat ZNP. Ludzie, fakty, sprawy, wydarzenia*, red. B. Grześ, Warszawa 2005; B. Grześ, *Związek Nauczycielstwa Polskiego od korzeni do współczesności.* Warszawa 2000, s. 7-34; *Związek Nauczycielstwa Polskiego. Zarys dziejów 1905–1985*, pod red. B. Grzesia Warszawa 1986, s 9-72; S. Ośko, *Zawodowy ruch nauczycielski w walce o polską demokratyczną szkołę*, „Zeszyty Naukowe Ostrołęckiego Towarzystwa Naukowego", t. 14, R 2000, s. 118-121. Zob. też wystawa P. Wierzbicki, *Wystawa z okazji 110 rocznicy powstania Związku Nauczycielstwa Polskiego i 80 rocznicy śmierci założyciela i Prezesa ZNP Stanisław Nowaka* (2015) plansza nr 6.

podstawowy element systemu oświatowego, a jednocześnie byli najbardziej niedoceniani. Trzeba też pamiętać, że wytyczne władz austriackich sięgające jeszcze 1791 r. podporządkowywały szkołę interesom państwa, która do 1867 r. stanowiła narzędzie germanizacji[2]. Zmiany na lepsze nastąpiły w związku z ustawą wprowadzającą bezpłatne i obowiązkowe sześcioletnie nauczanie w języku polskim. Nauczyciel ludowy miał rozbudzać poczucie narodowe, ale jego status społeczny i materialny był niski. Stąd też pojawiła się potrzeba obrony interesów nauczycielstwa i szkolnictwa ludowego. Walka o stan ideowy i materialny nauczycieli została zapoczątkowana przez różne stowarzyszenia, do których zaliczyć można Stowarzyszenie Nauczycielek w Krakowie (1873), Towarzystwo Wzajemnej Pomocy Nauczycieli i Nauczycielek okręgu stanisławowskiego (1885), Towarzystwo Nauczycieli Szkół Ludowych Miasta Lwowa (1896)[3], a także Towarzystwo Nauczycieli Ludowych, które powstało w Nowy Sączu w 1896 r. Jego inicjatorami byli nauczyciele skupieni wokół czasopisma „Szkolnictwo Ludowe", wydawanego w Nowym Sączu w latach 1891–1913, czołowym działaczem Józef Gutowski. Pomimo wielu inicjatyw organizacja ta nie była w stanie objąć swym zasięgiem większego terenu. Było to związane z tym, że Nowy Sącz i okolice nie stanowiły na tyle silnego ośrodka, aby mogły oddziaływać na całą Galicję[4]. Rolę tę miał przejąć Krajowy Związek Nauczycielstwa Galicji Zachodniej (KZNL), który powstał w 1905 r. w Krakowie, a jego głównym założycielem był Stanisław Nowak (1859–1936), natomiast założenia ideowe opracował Stefan Zaleski. Impuls założycielski dało utworzone w 1903 r. Krakowskie Towarzystwa Nauczycieli i Nauczycielek Szkół Ludowych Pospolitych i Wydziałowych. Z tego środowiska wyszła 12 listopada 1905 r. odezwa do nauczycieli Galicji wzywająca do zjazdu założycielskiego ogólnogalicyjskiej organizacji nauczycielskiej[5], który odbył się 28 grudnia 1905 r. w Krakowie przy ulicy Franciszkańskiej 4

2 „Prawdziwy interes austriackiej monarchii polega na tym, aby naród ten powoli w ludność niemiecką przekształcić, jego obyczaje, sposób myślenia, uprzedzenia zmienić, jednym słowem, aby go wynarodowić. Tylko zaprowadzenie różnicy w obyczajach, zwyczajach, w mowie i wychowaniu między Galicją a Polską – będzie najpewniejszą rękojmią przeciw życzeniu powrotu do Rzeczypospolitej i przeciw niechęci szlacht ku austriackiej monarchii". Za B. Grześ, *Związek Nauczycielstwa*..., s. 16 i *Związek Nauczycielstwa*..., s. 36-37.

3 *Związek Nauczycielstwa*..., 59.

4 *Związek Nauczycielstwa*...., s. S. Ośko, *Zawodowy ruch nauczycielski*..., s.121-122; *Szkice z dziejów Związku Nauczycielstwa*..., s. 19.

5 Tekst odezwy zob. *Szkice z dziejów Związku Nauczycielstwa*..., s. 20-23

w lokalu Muzeum Przemysłowo-Technicznego[6]. W działaniach tych mieli swój udział sądeccy nauczyciele. Najbardziej znanym z nich był twórca ogniska KZNL-u w Nowym Sączu Antoni Ludwik Broszkiewicz (1872–1936), znany artysta malarz, działacz społeczny i dyrektor Domu Nauczyciela w Krynicy[7]. Należał do grupy założycieli organizacji, był członkiem zarządu i sygnatariuszem ankiety z grudnia 1905 r.

Emblemat KZNL, proj. autorstwa A. Broszkiewicza

Najbardziej interesujące, w zasadzie niepublikowane poza fragmentami materiały do początków Krajowego Związku Nauczycielstwa Ludowego Galicji, w tym także na terenie Sądecczyzny, zawierają dwie księgi znajdujące się w Archiwum Związku Nauczycielstwa Polskiego Zarządu Głównego Okręgu Małopolskiego w Krakowie. Pierwsza z nich to księga protokołów z posiedzeń Naczelnego Zarządu KZNL z lat 1905–1911, druga to spis ognisk KZNL-u wraz z kierownictwem w Galicji.

Księga protokołów z lat 1905–1913 zawiera 392 strony, okładka twarda, oprawa ciemnozielona, widoczne ślady zużycia. Długość księgi w oprawie 28,7 cm, szerokość 24,2 cm, kartki wewnątrz: 28 × 22,6 cm. Wnętrze oprawy wyklejone papierem białym, pożółkłym podobnie zresztą jak karty księgi. Na okładce przyklejona kartka biała z opisem o wymiarach 10,5 × 13,3 cm. Numeracja kart w prawym lub lewym górnym rogu ciągła, pierwotnie zapisywana do strony 105 różnymi kolorami i narzędziami pisarskimi: pióro, kredka niebieska, flamaster. Druga numeracja zapisana ołówkiem. Protokoły Zarządu Głównego ZNL spisane są w języ-

[6] Pełny zapis ankiety zob. Archiwum Zarządu Okręgu Małopolskiego ZNP Kraków Pt 15 (Arch. ZGM ZNP Kr), s. 1f-27. Zob. też *Szkice z dziejów Związku Nauczycielstwa...*, s. 24-28.

[7] Szerzej zob. *Dzieje miasta Nowego Sącza*, t. III pod red. F. Kiryka i Z. Ruty, Kraków 1996, s. 152-154 i 258-262; T. Jaroszuk, *Julian Aleksander Smulikowski 1880–1934*, Olsztyn 1996, s. 9 i tablica nr VI opis i zdjęcie u dołu tam Broszkiewicz w towarzystwie Stanisława Nowaka i Juliana Smulikowskiego prezesów KZNL, a później ZNP; *Czar ziemi sądeckiej w obrazach Broszkiewicza*, „Dziennik Polski" 1962, nr 146.

ku polskim, odręcznie, jedynie w odniesieniu do zagadnień budżetowych wklejono tekst drukowany[8]. Warto zaznaczyć, że protokoły te zostały tylko w nieznacznym stopniu wykorzystane; przede wszystkim ankieta z grudnia 1905 r., np. Andrzej Ujejeski i Piotr Wierzbicki[9]. Najbardziej szczegółowo materiał ten wyzyskała w swej pracy Eugenia Pogórska[10], a także Bogusław Majewski[11].

W protokołach odnajdujemy wątki związane z Sądecczyzną. Na stronie dziewiątej ankiety dowiadujemy się o zabraniu głosu przez Antoniego Broszkiewicza, który miał poinformować o uchwaleniu przez nauczycieli podziękowania posłom Stanisławowi Stapińskiemu i księdzu Bohaczewskiemu za obronę w sejmie w Wiedniu, za co nagrodzono go brawami[12]. Broszkiewicz został też powołany do komisji statutowej[13], natomiast do komisji organizacyjno-skarbowej powołano Józefa Bobera z Grybowa z tamtejszej szkoły męskiej[14]. Broszkiewicza odnajdujemy także przy pracach wydziału wykonawczego. 17 kwietnia 1906 r.[15] zabiera on głos w bardzo burzliwych obradach[16], które zakończyły się uchwaleniem wstępnych założeń funkcjonowania organizacji. Już na przykładzie tych kilku faktów można stwierdzić, że sądeczanie wnieśli swój istotny wkład w tworzenie struktur Krajowego Związku Nauczycielstwa Galicji Zachodniej. Sam fakt uchwały z podziękowaniami za obronę interesów dla posłów świadczy o istnieniu prężnej grupy nauczycieli w Nowym Sączu, która popierała powstanie organizacji obejmującej swym zasięgiem całą Galicji.

Spis ognisk obejmuje lata 1906–1910, zahaczając o rok 1911. Jest to księga licząca 298 stron. Zawiera spis ognisk oraz kół powiatowych z danymi statystycznymi. Księga ma twardą oprawę koloru ciemnozielonego, bez opisu. Brzeg księgi uszkodzony, w środku oprawa wyklejona papierem szarym. Wymiary oprawy: 32,8 × 21,5 cm, kart: 32,6 × 21 cm. Zapis w ję-

8 Księga posiada sygnaturę PT 15 tytuł Księga Protokołów z posiedzeń Naczelnego Zarządu Krajowego Związku Nauczycielstwa Ludowego lata 1905–1911.

9 A. Ujejski i P. Wierzbicki, *Źródła do historii ZNP*, Kraków 2015, s. 6-14.

10 E. Podgórska, *Krajowy Związek Nauczycielstwa Ludowego w Galicji 1905–1918*, Warszawa 1973.

11 *Walka Nauczycielstwa Ludowego Galicji o jednolitą i powszechną szkołę i pozycję społeczna nauczyciela w latach 1905-1918. Materiały z okazji 75-lecia istnienia i działalności zorganizowanego ruchu nauczycielskiego*, zebrał i opracował B. Majewski, Kraków 1980.

12 Arch. ZGM ZNP Kr, Pt 15 s. 9.

13 Jw., s. 24.

14 Jw., s. 25.

15 Jw., s. 36.

16 Jw., s. 39.

zyku polski, pismo jednej ręki piórem z wtrętami obcymi prawdopodobnie późniejszymi, atrament czarny, gdzieniegdzie kredka lub ołówek. Paginacja współczesna w lewym lub prawym rogu kartki u góry sporządzona ołówkiem. Archiwalium zawiera dokładny spis ognisk, ułożony alfabetycznie nie zawsze jednak konsekwentnie, z opisem ilości członków danego ogniska, nazwiska i imiona członków zarządu, a także kapitał i datę założenia wraz z numerem dokumentu lub reskryptu cesarsko-królewskiego pozwalającego na ukonstytuowanie się organizacji na terenie danej miejscowości[17]. Materiał nie był zasadzie wykorzystany w żadnej poważniejszej publikacji, prezentowany był jedynie na wystawie w 2016 r.[18]

Nowy Sącz jest wymieniany w dokumentach jako siedziba ogniska i siedziba koła powiatowego[19]. Można odnaleźć także Grybów będący kołem powiatowym[20], Łącko[21], Muszynę[22], Piwniczną[23], Podegrodzie[24], Stary Sącz[25], Tęgoborze[26] i Zbyszyce[27]. Jedynie do Tegoborza brak danych; widnieje tylko wpis, że ognisko istniało. Pozostałe miejscowości są w pełni opisane i wymienione w tabeli dołączonej do zasadniczego spisu[28]. Analizując pobieżnie liczbę członków (nauczycieli) zrzeszonych w poszczególnych miejscowościach na podstawie tabeli i spisu, można stwierdzić, że Nowy Sącz z liczbą 101 członków na rok 1910 plasuje się w czołówce. Wyprzedzają go jedynie takie miasta jak Kraków (250 członków), Lwów (138 członków), Wieliczka (118 członków) i Bochnia (104 członków)[29]. Za Nowym Sączem znajdują się takie ośrodki miejskie jak Tarnów (98 członków), Rzeszów (91 członków) oraz Tarnopol (96 członków)[30]. Oznacza to, że w latach 1906–1910 Nowy Sącz

17 Arch. ZGM ZNP Kr, DD 20, stron 298.

18 P. Wierzbicki, *Historia Związku Nauczycielstwa Polskiego i jego działalność w Akademii Górniczo-Hutniczej im. Stanisława Staszica w Krakowie*, 2016 plansza nr 1.

19 Arch. ZGM ZNP Kr, DD 15, s. 161.

20 Jw., s. 69

21 Jw., s. 133.

22 Jw., s. 147.

23 Jw., s. 186.

24 Jw., s. 179.

25 Jw., s. 215.

26 Jw., s. 244.

27 Jw., s. 283.

28 Arch. ZGM ZNP Kr, Tabela – Ogniska Krajowego Związku Nauczycielstwa Ludowego, s. 1-4 oraz Koła powiatowe, s. 5 i Nowo założone ogniska, s. 7.

29 Arch. ZGM ZNP Kr, DD 15, s. 9, 97, 121, 255. Zob. też Tabela – Ogniska Krajowego Związku Nauczycielstwa Ludowego , s. 1-4.

30 Arch. ZGM ZNP Kr, DD 15, s. 191, 236 i 241. Zob. też Tabela – Ogniska Krajowego Związku Nauczycielstwa Ludowego , s. 1-4.

i okolice były znaczącym ośrodkiem nowo powstałej organizacji nauczycielskiej, na czele z mającym w niej duże wpływy prezesem ogniska Antonim Ludwikiem Broszkiewiczem, zarazem członkiem zarządu KZNL.

Ogniska Krajowego Związku Nauczycielstwa Ludowego w powiecie sądeckim w 1910 r.[31]

Lp.	Miejscowość	Liczba członków	Zarząd	Rok założenia	Certyfikat[32]	Dochód	Rozchód	Źródło
1.	Łącko ad Nowy Sącz	13	Prezes: Kempa Antoni[33] Zastępca: Śliwa Wojciech[34] Sekretarz: Zbozień Franciszek[35]	7.10. 1906	Reskr. c.k. Naucz. z 26/3 1906 r.[36]	54,89 k.	23,06 k.	DD 15, s. 133 Spis Ognisk s. 2.
2.	Muszyna	10	Prezes: Witwicki Kwiryn[37] Zastępca: Pudło Jan Sekretarz: Pieracka Jadwiga	11.07. 1906	Reskr. c.k. Naucz. z ?[38]	42,91 k.	20,08 k.	DD 15, s. 147 Spis Ognisk s. 2.
3.	Nowy Sącz	101	Prezes: Broszkiewicz Antoni[39] Zastępca: Paweł Bochenek[40] Sekretarz: Bolesław Szurmiak[41]	27.05. 1906	Reskr. c.k. Naucz. z 7/6 1906 r. L:72198.	775,91 k.	642,52 k. Na budowę domu 1877 k i 90 .[42]	DD 15, s. 161 Spis Ognisk s. 2.

31 Na podstawie Archiwum ZNP Okręg Małopolski w Krakowie, DD 15 i Spis Ognisk Związku Nauczycielstwa Ludowego stron 8.

32 Certyfikat założenia – reskrypt cesarsko królewski nauczycielstwa.

33 W źródle informacja – Zabrzeż p. Łącko (via Stary Sącz)

34 W źródle informacja – Łącko.

35 W źródle informacja – Obidza p. Jazowsko

36 W źródle brak numeru reskryptu

37 W źródle informacja – kierownik szkoły w Muszynie.

38 W źródle brak numeru reskryptu i daty złożenia.

39 W źródle informacja – nauczyciel szkoły męskiej w Nowym Sączu.

40 W źródle informacja – kierownik szkoły 7-mio klasowej.

41 W źródle informacja – Nauczyciel szkolny.

42 Zapis w źródle ołówkiem – Chodzi o środki na budowę Domu Nauczyciela w Krynicy, którego kierownikiem został Broszkiewicz.

4.	Piwniczna	11	Prezes: Kinsner Franciszek[43] Zastępca: Zajączkowska Eugenia[44] Sekretarz: Milówka Franciszek[45]	27.05. 1909	Reskr. c.k. Naucz. z 7/5 1909 r. L:40759.	35,20 k.	13,70 k.	DD 15, s. 186 Spis Ognisk, s.2
5.	Podegrodzie	17	Prezes: Potoczek Jan[46] Zastępca: Aleksandrówna Maria[47] Sekretarz: Brandys Antoni[48]	30.06. 1906	Reskr. c.k. Naucz. z 13/7 1906 r. L:90159.	80,73 k.	90,07 k.	DD 15, s. 179 Spis Ognisk, s. 2
6.	Stary Sącz	31	Prezes: Japoł Franciszek[49] Zastępca: Ks Muller Stefan[50] Sekretarz: Benisz Stanisław[51]	23.06. 1906	Reskr. c.k. Naucz. z 26/3 1906 r. L:30623.	256,09 k.	98,75 k.	DD 15, s. 215 Spis Ognisk, s. 3.
7.	Tęgoborze	–	–	–	–	–	–	DD 15, s. 244 Spis Ognisk, brak zapisu[52].
8.	Zbyszyce Dane na 14/5 1911 r.	15[53]	Prezes: Bodziony Jakub Zastępca: Kosiaty Jan Sekretarz: Koza Bolesław	–	Reskr. c.k. Naucz.[54]	–	–	DD 15, s. 283 Spis Ognisk, s. 3.

43 W źródle informacja – Kierownik szkoły w Piwnicznej.
44 W źródle informacja – Nauczycielka szkoły w Piwnicznej.
45 W źródle informacja – Nauczyciel szkoły w Piwnicznej.
46 W źródle informacja – Gostwica p. Podegrodzie.
47 W źródle informacja – Olszanka p. Stary Sącz.
48 W źródle informacja – Podegrodzie.
49 W źródle informacja – kierownik szkoły męskiej Stary Sącz.
50 W źródle informacja – katecheta szkoły męskiej Stary Sącz.
51 W źródle informacja –nauczyciel szkoły męskiej Stary Sącz.
52 Brak danych w źródle niebieska kredką zaznaczone, że nie istnieje ognisko.
53 Brak danych o ilości członków w źródle głównym, natomiast podane została liczba w Tabela – Ogniska Krajowego Związku Nauczycielstwa Ludowego , s. 3.
54 Brak danych o reskrypcie.

	Powiat sądecki Koło powiatowe Nowy Sącz Całość – suma członków oraz dochodów i wydatków	198	Prezes: Broszkiewicz Antoni	1910	–	1245, 73 k.	888,18 k. oraz wydatki na dom naucz. 1877 k. i 90 h.	Brak
	Grybów Powiat Grybów	45	Prezes: Józefowicz Władysław[55] Zastępca: Koczeń Ignacy[56] Sekretarz: Wodzik Jan[57] Skarbnik: Kosiński Ryszard[58]	13.05. 1906	Reskr. c.k. Naucz. z 26/3 1906 r. L:30623.	353,10 k.	155,90 k.	DD 15, s. 69 Spis Ognisk, s. 1.

Z powyższych danych widać, że na tle całego regionu, dołączając Grybów, zdecydowaną przewagę ma Nowy Sącz, wyrastając na czołowy ośrodek regionalny ze 101 członkami. Pozostałe ośrodki w powiecie mają razem 97 członków, dopiero wraz z Grybowem liczącym 45 zrzeszonych nauczycieli mogą ze stolicą powiatu konkurować co do liczby osób zrzeszonych. Także przychody powyżej 775 koron, czyli ponad 50% całości dochodów związku, świadczą o dominacji Nowego Sącza w powiecie.

O pozycji Nowego Sącza świadczą nie tylko liczby, ale również zapisy w protokołach zarządu. Warto również zaznaczyć, że autorem pierwszej odznaki i godła związku był wspomniany Antoni Ludwik Broszkiewicz,

55 W źródle informacja – kierownik szkoły Kamionka Wielka.
56 W źródle informacja – kierownik szkoły w Kąclowej p. Grybów.
57 W źródle informacja – Nauczyciel.
58 W źródle informacja – kierownik szkoły Siołkowa p. Grybów.

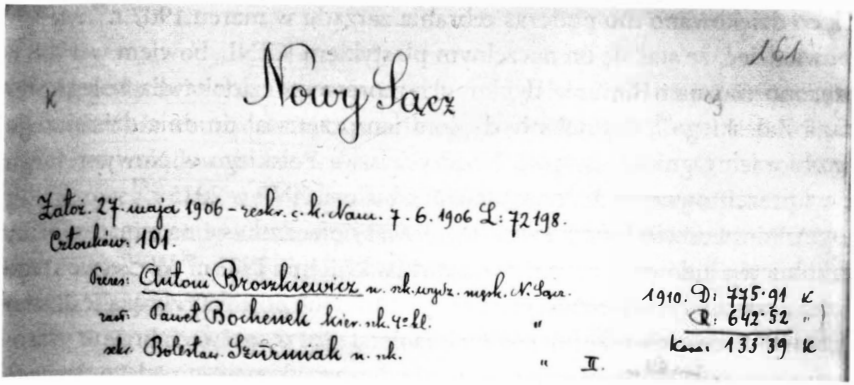

161

k

Nowy Sącz

Założ. 27. maja 1906 – reskr. c. k. Nam. 7. 6. 1906 L: 72198.
Członków: 101.

Prezes: Antoni Broszkiewicz n. szk. wydz. męsk. N. Sącz.
zast. Paweł Bochenek kier. szk. 4° kl. "
sekr. Bolesław Szurmiak n. szk. " II.

1910. D: 775·91 k
R: 642·52 "
Kasa: 133·39 k

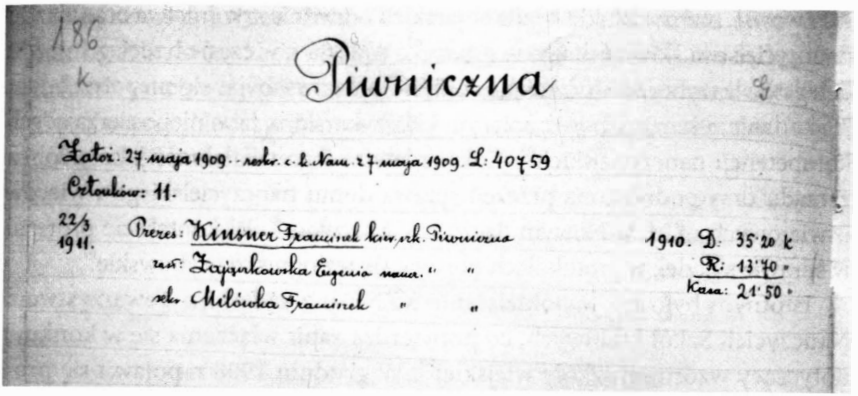

186

k

Piwniczna

Założ. 27 maja 1909. – reskr. c. k. Nam. z 7 maja 1909. L: 40759
Członków: 11.

22/3 1911. Prezes: Kinsner Franciszek kier. szk. Piwniczna
zast. Zajączkowska Eugenia nauc. " "
sekr. Milówka Franciszek " "

1910. D: 35·20 k
R: 13·70 "
Kasa: 21·50 "

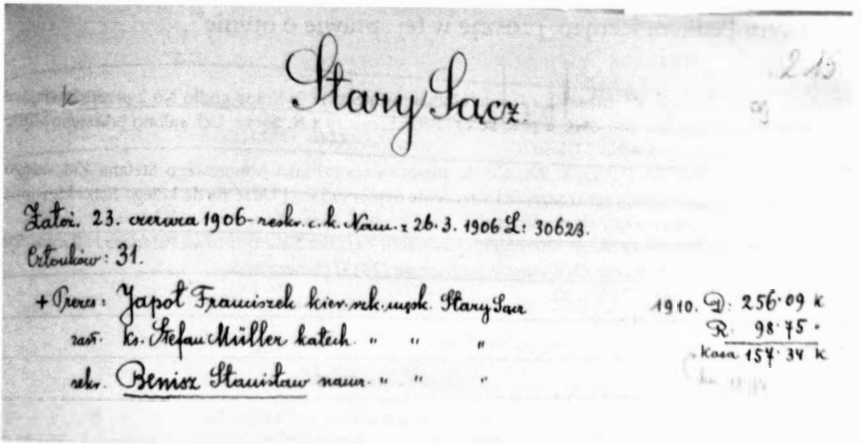

k

Stary Sącz

Założ. 23. czerwca 1906 – reskr. c. k. Nam. z 26. 3. 1906 L: 30623.
Członków: 31.

+ Prezes: Japoł Franciszek kier. szk. męsk. Stary Sącz
zast. ks. Stefan Müller katech. " " "
sekr. Benisz Stanisław nauc. " " "

1910. D: 256·09 k
R: 98·75 "
Kasa 157·34 k

za co dziękowano mu podczas zebrania zarządu w marcu 1907 r.[59] Można powiedzieć, że stał się on naczelnym plastykiem KZNL, bowiem w 1908 r. zlecono mu namalowanie dyplomu honorowego członka dla kolegi Stefana Zaleskiego[60]. Co ciekawe dyplom ten przetrwał do dnia dzisiejszego w zbiorach Ogniska Związku Nauczycielstwa Polskiego w Nowym Targu i był prezentowany m.in. na wystawie o historii ZNP w 2015 r.[61]

Antoni Ludwik Broszkiewicz angażował się w dyskusje na temat reformy szkolnictwa ludowego, np. podczas zjazdu w kwietniu 1908 r.[62] W czerwcu tego roku uczestniczył w zjeździe, na którym uchwalono postulaty związane działaniami dotyczącymi reformy szkolnej, zabierał głos w sprawach organu prasowego związku „Głosu Nauczycielstwa Ludowego", kongresu pedagogicznego we Lwowie, memoriału do władz cesarskich odnośnie szkolnictwa oraz zjazdu nauczycielstwa słowiańskiego w Pradze[63]. W 1909 r. w czasie trzeciego zjazdu delegatów i wyborów do zarządu KZNL[64] przeciwstawiał się niepotrzebnym jego zdaniem kursom powroźniczym i koszykarskim, jako nieposzerzających kompetencji nauczycielskich[65]. Kolejne lata to jego działalność jako członka zarządu oraz podnoszona przezeń sprawa domu nauczycielskiego i wieców oświatowych m.in. w Nowym Sączu czy Muszynie[66]. W kontekście protestu w sprawie składek w protokołach pojawia się też ognisko grybowskie[67].

Istotnym było też współdziałanie KZNL-u z sądeckim Towarzystwem Nauczycieli Szkół Ludowych, co potwierdza zapis włączenia się w konkurs dotyczący wzorowej szkoły wiejskiej[68]. W grudniu 1908 r. pojawił się problem z ogniskiem w Starym Sączu, które zamierzało połączyć się z Towarzystwem Pedagogicznym, prosząc w tej sprawie o opinię[69].

59 Arch. ZGM ZNP Kr, PT 15, s. 62, „ Co do odznak ostatecznie wybrano godło No 2 przedstawiające „zorzę z książką i literami ZNL" z prac kolegi Broszkiewicza z N. Sącza. Uchwalono podziękowanie autorowi i ogłoszenie w No 3 Głosu".

60 Arch. ZGM ZNP Kr, PT 15, s. 90, „Co do mianowania członka honorowego Stefana Zaleskiego uchwalono jednomyślnie sporządzenie i wręczenie dyplomu i [...] Udać się do kolego Broszkiewicza w N. Sączu o wymalowanie dyplomu tego".

61 P. Wierzbicki, *Wystawa z okazji 110 rocznicy powstania Związku Nauczycielstwa Polskiego i 80 rocznicy śmierci założyciela i Prezesa ZNP Stanisława Nowaka* (2015) plansza nr 6.

62 Arch. ZGM ZNP Kr, PT 15, s. 90.

63 Jw., s. 105 i 107, 113, 115.

64 Jw., s. 149.

65 Jw., s. 157.

66 Jw., s. 226, 244, 247, 276, 286,321, 333, 360 i 37 0.

67 Jw. s. 165 i 190.

68 Jw., s. 134.

69 Jw., s. 143.

*

Na podstawie charakteryzowanych archiwaliów można jednoznacznie stwierdzić, że centrum nauczycielskiego ruchu związkowego w powiecie sądeckim znajdowało się w Nowym Sączu, jako siedzibie ogniska i koła powiatowego. Ilość członków, kapitał oraz osoba Antoniego Broszkiewicza determinowały kierunek, w jakim zmierzał ruch oświatowy. W przeciwieństwie do innych organizacji nauczycielskich, które istniały na tym terenie Krajowy Związek Nauczycielstwa Zachodniej Galicji miał umocowanie w strukturach opartych o silne ośrodki miejskie i naukowe, takie jak Kraków i Lwów. Stwarzało to możliwość rozwoju ruchu w Nowym Sączu, gdzie odzew był bardzo duży. Tezę tę potwierdza fakt, iż lata 1905–1910 były okresem, który zaowocował rozwojem struktur KZNL na Sądecczyźnie, które przetrwały do czasów niepodległości w 1918 r., przekształcając się w Związek Nauczycielstwa Szkół Powszechnych, a następnie (1930) w Związek Nauczycielstwa Polskiego.

Leszek Migrała

PRZEWRÓT NIEPODLEGŁOŚCIOWY 1918 ROKU W NOWYM SĄCZU W ARTYKUŁACH I WSPOMNIENIACH

Po czterech latach trwania I wojny światowej zasoby ekonomiczne i możliwości mobilizacyjne państw biorących w niej udział uległy znacznemu nadwyrężeniu. Zmęczenie wojną, braki aprowizacyjne, głód i choroby, a co za tym idzie rosnące żniwo śmierci nie tylko na frontach, ale i wśród ludności cywilnej, powodowały powszechne niezadowolenie. Do państw szczególnie narażonych na wstrząsy wewnętrzne należała wielonarodowościowa monarchia austro-węgierska, której odporność i spoistość narażona była na działania niepodległościowe podjęte przez wchodzące w jej skład nacje, m.in. Polaków z Galicji. Przewidując przegraną Niemiec i upadek Austrii, Józef Piłsudski zerwał w 1917 r. więzy łączące go z państwami centralnymi, opierając działalność niepodległościową na utworzonej jeszcze jesienią 1914 r. w Warszawie konspiracyjnej Polskiej Organizacji Wojskowej.

Dr Jan Krupa, autor fundamentalnego artykułu na temat pracy niepodległościowej w Nowym Sączu, za „pierwszy zawiązek" POW w mieście nad Dunajcem i Kamienicą uznał utworzoną w sierpniu 1917 r. „straż obywatelską", w której skład wchodzili: Henryk Suchanek, Feliks Bulsiewicz, Franciszek Augustynowicz, Stanisław Bujas, Franciszek Bielat, Ryszard Mędlarski, Julian Obrzud, Władysław Filar, Stanisław Knispel, Marian Ptaszkowski; z kobiet natomiast: Stanisława Woszczyńska, Michalina Mędlarska, H. Misiewiczówna, Anda Konieczna, Zofia Suchankowa i Miernicka. Działalność propagandową na rzecz POW prowadzili dawni oficerowie legionowi, m.in. Bolesław Wieniawa-Długoszowski, ukrywający się w domu rodziny Filipo-

wiczów. Młodzież agitowali: Leon Tomaszkiewicz, Kazimierz Sichrawa, Adam Fiałkowski, Roman Śluzar, Marian Nawrocki, Edward Młynarski, Stefan Filipowicz, Eugeniusz Tryszczyło, Michał Wąsowicz, Tadeusz Kossowski, Stanisław Bień, Tadeusz Drozdowski, Franciszek Pasiut, Tadeusz Solecki[1].

Właściwa POW, podzielona na trzy sekcje: cywilną, wojskową i studencką, powstała w Nowym Sączu prawdopodobnie pod koniec 1917 r. Na jej czele stali: Narcyz Potoczek, Antoni Brudziana, hr. Adam Stadnicki, dr Jan Kornakiewicz, dr Eugeniusz Dzikiewicz, Bolesław Kobak, dr Stanisław Ćwikowski, dr Zygmunt Wroński, dr Jan Dębski, Józef Fiałkowski, Franciszek Wzorek i in. Plany działania pochodziły od Bronisława Pierackiego, komendanta obwodu nowosądeckiego, który ukrywał się w Muszynie u swego szwagra Franciszka Parylewicza. Skład broni znajdował się na strychu i w piwnicy Domu Robotniczego, tam też odbywały się zakonspirowane zebrania członków organizacji[2].

Działalność niepodległościowa w Nowym Sączu uzyskała nowy impuls wraz z przybyciem w kwietniu 1918 r. por. Stanisława Kawczaka z 20. pułku piechoty austriackiej, urlopowanego z frontu włoskiego. Stanisław Kawczak, zanim przyjechał do Nowego Sącza, przebywał początkowo w Krakowie, gdzie wspólnie z kpt. Józefem Kustroniem, Władysławem Wojakowskim, Marianem Wójtowiczem i innymi współtworzył podporządkowaną POW organizację „Wolność". Wkrótce – jak sam napisał:

> Otrzymałem polecenie przygotowania organizacji w Nowym Sączu, Zwróciłem się tam przedewszystkim do legionistów i oficerów rezerwowych, których przetrzymywał w stanie chorych komendant wojsk. szpitala mjr lek. [Bronisław] Sikorski. Był on z nami pośrednim w kontakcie. Z pośród tzw. aktywnych wyciągnęliśmy tylko pewne jednostki. [...] Z pośród legjonistów szczególnie czynną rolę odegrał por. leg. później sierżant austryjacki [Jan] Kicka oraz kapitan Grzybowski, również w mundurze sierżanta[3].

Działalność prowadzono z zachowaniem zasad konspiracji. W lipcu 1918 r. zebrania odbywały się w sali bocznej budynku Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół". Nieco później, w sierpniu, po włączeniu się w nurt działań młodzieży szkolnej i robotniczej, miejscem zebrań spiskowców (około

1 J. Krupa, *Zarys pracy niepodległościowej w Nowym Sączu*, „Rocznik Sądecki", t. I, 1939, s. 223-224.
2 Tamże, s. 226-227.
3 S. Kawczak, *Z dziejów Milicji Wojskowej w Nowym Sączu*, „Głos Podhala", nr 1, 3 I 1932.

120 osób) stał się strych Domu Robotniczego przy ul. Zygmuntowskiej 17. Intensywne przygotowania do przewrotu wojskowego uwidoczniły się w utworzeniu kompanii wojskowej złożonej z czterech plutonów po 30 ludzi każdy, wyposażonej w ciężkie karabiny maszynowe i inną broń pozyskaną z transportów austriackich.

Równolegle do przygotowań wojskowych prowadzono działania cywilne, koordynowane przez Komitet Obywatelski, który 14 lutego 1918 r. wydał odezwę oprotestowującą postanowienia traktatu brzeskiego (9 II 1918) zawartego pomiędzy Niemcami i Austro-Węgrami a Ukraińską Republiką Ludową, na mocy którego oddawano Ukraińcom w całości Chełmszczyznę. Duży udział w tej inicjatywie przejawili również kolejarze:

> W lutym zawezwano przedstawicieli Związku kolejarzy w osobach: Franciszka Bielata i Matkowskiego Jana do Krakowa na tajną i poufną konferencję, która odbyła się pod przewodnictwem Ignacego Daszyńskiego i na której postanowiono wywołać strajk na dzień 18 lutego jako znak protestu. Miejscowy Zarząd Kolejarzy przy poparciu inż. Suchanka wysłał 20 pracowników kolejowych na odcinki: Nowy Sącz – Zagórz, Nowy Sącz – Tarnów i Nowy Sącz – Żywiec, celem agitacji we wszystkich działach służby i na wszystkich zakątkach tych linji. Wysłani kolejarze otrzymali urlopy, nawet listy polecające do osób od osób zaufanych od inż. Suchanka. Kolejarze pod kierownictwem Kowalskiego Władysława i Popardowskiego Jana zniszczyli orły austryjackie na budynku Starostwa i w Dyrekcji skarbowej, a zawiesili Białego Orła, w sądzie znikają portrety Franciszka Józefa i Karola, na skrzynkach pocztowych zamalowano napisy, na dworcu kolejowym napis «Neu Sandez» zamieniono na Nowy Sącz. Znikają bączki z czapek kolejarzy, zapowiadanie pociągów, nadawanie telegramów odbywa się już w języku polskim, a na ulicy Bilińskiego zabito tablice ze zmienioną nazwą „ulicy Piłsudskiego"[4].

Odezwę Komitetu Obywatelskiego podpisali: Henryk Suchanek - nadradca kolejowy, Piotr Dobrowolski, Franciszek Bielat i Marian Ptaszkowski - podmajstrzy kolejowi, Narcyz Potoczek - rolnik z Rdziostowa, Antoni Brudziana - nadradca magistratu, hr Adam Stadnicki – właściciel ziemski, Julian Obrzut – maszynista kolejowy, dr Jan Kornakiewicz – radca sądu, Stanisław Knispel – magazynier kolejowy, Eugeniusz Dzikiewicz – adwokat, Stanisław Bujas – prezes Stowarzyszenia Konsumpcyjnego Kolejarzy „Samopomoc", Bolesław Kobak - radca wydziału powiatowego, dr Stanisław Ćwikowski – adwokat, dr Zygmunt Wroński – kandydat adwokacki,

4 H. Błaszczyk, *Ruch wyzwoleńczy wśród kolejarzy nowosądeckich (Rok 1911–1918 włącznie)*, „Głos Podhala", nr 17, 23 IV 1933.

Ryszard Mędlarski - majster kolejowy, dr Jan Dębski – sekretarz magistratu, Józef Fiałkowski – kupiec, Franciszek Wzorek – profesor gimnazjalny, Roman Lazarewicz – inż. kolejowy, dr Tadeusz Płochocki – lekarz.

Jan Krupa napisał:

> W pamiętny i niezapomniany w Nowym Sączu poniedziałek 18 lutego 1918 roku, w dzień protestu przeciw pokojowi brzeskiemu, zamarło w Nowym Sączu życie. Na rynku morze ludzkich głów; nie było – mówią świadkowie naoczni – wolnego miejsca w obrębie rynku, który nigdy jeszcze nie był tak szczelnie cały wypełniony ludźmi jak wówczas. Przerwały pracę wszystkie urzędy, zamknięto w mieście wszystkie sklepy, strajk kolejowy objął całą dyrekcję kolejową od Zwardonia i Zagórza po Kraków. [...].
>
> Na rynku przemawiają z mównicy do tłumów Bielat Franciszek z kolei i hr. Adam Stadnicki, wzywając zebranych do jednolitego działania. Na znak tej jednomyślności i zgody hr. Stadnicki po zejściu z trybuny ucałował publicznie przedstawiciela chłopów Narcyza Potoczka. Z potężnej i niezakłóconej manifestacji uczuć wszystkich obywateli widać nieodpartą wolę czynu, która nie waha się przed żadnymi ofiarami. Znać, że obywatele Nowego Sącza podejmują czynną walkę z wrogiem, dokładając ile tylko sił starzy i serca do „przewrotu"[5].

W relacji hr. Adama Stadnickiego, pisanej w połowie ubiegłego stulecia, protest na rynku przebiegał następująco:

> Na rynku, dokąd zdążały pochody ze wszystkich stron, reprezentujące wszystkie stronnictwa i wszystkie klasy społeczne, ustawiono cztery mównice, na czterech rogach rynku, z których przemawiali przedstawiciele różnych stronnictw, wyjaśniając zebranym tłumom sytuację i powód manifestacji, kończąc protestem przeciwko takiemu pokojowi rozćwiartowującemu Polskę, jeszcze bezsilną przed jej właściwym powstaniem. W końcu odczytaliśmy ślubowanie wierności Polsce. Odczytali je do stutysięcznego tłumu [!]: burmistrz Władysław Barbacki, robotnik kolejowy Bielat, chłop Narcyz Potoczek i ja, po czym odśpiewano *Rotę* Konopnickiej. Zszedłszy z trybuny padliśmy sobie z Narcyzem Potoczkiem w objęcia, co przyjęto owacyjnie[6].

*

Pod koniec października 1918 r. gmach monarchii austriackiej chwiał się w posadach. Według sprawozdania Związku Strzeleckiego wieczorem z 29 na 30 października Franciszek Gut zerwał portrety cesarza Franciszka

5 J. Krupa, dz. cyt., s. 228-229.

6 A. Stadnicki, *Wspomnienia*, wybór i oprac. J. Długosz, Biblioteka „Rocznika Sądeckiego", Nowy Sącz 2015, s. 85.

Józefa w restauracji na dworcu kolejowym, a następnie wywiesił białą szarfę nad drzwiami wejściowymi do westybulu z napisem: „Niech żyje Wolna Niepodległa Polska". W tym samym czasie Ignacy Fido pozrywał portrety cesarskie w poczekalni, w Urzędzie Ruchu, a następnie z pomocą Florentyny Stachowskiej wniósł na górę białego orła przyozdobionego dookoła zieloną girlandą[7]. Dr Jan Krupa stwierdził z kolei, że napisy niemieckie i godła zaborcze znikają we wrześniu i październiku („jeden z kolejarzy, Konieczny, zrywa w nocy austriackiego orła ze starostwa"); napis „Wolna Zjednoczona Niepodległa Polska" został wywieszony na stacji kolejowej 31 października[8].

30 października 1918 r. - jak relacjonował Stanisław Kawczak:

> Zaczęła się dezercja zrazu pojedynczych żołnierzy, niebawem zaroiły się okoliczne trakty. Zbiegali żołnierze gromadkami bez broni palnej w pełnym ekwipunku. Tu i ówdzie oficerów demonstracyjnie nie salutowano. Wyżsi oficerowie tracili głowę. Na ulice wypełzły jakieś szumowiny, baby z chustkami na głowach, z workami próżnymi w ręku, dzieci z pustymi koszami. Po mieście rozeszła się pogłoska, że rozpoczął się rabunek magazynów kolejowych. [...] Trzeba było się temu przeciwstawić. [...] Nasz oddział powstańczy przygotowany był do walki z austryjackim wojskiem. Okazało się jednak, że jakoś ochotników do obrony c. k. monarchji nie było. Oficerowie obcych narodowości z wyjątkiem Słowian ukrywali się, albo zgoła pouciekali[9].

W nocy z 30 na 31 października POW zajęła składy broni, amunicji i żywności. Następnego dnia (31 X) zdjęto orła austriackiego z gmachu Dyrekcji Skarbowej przy ul. Jagiellońskiej oraz zajęto bez rozlewu krwi obsadzone przez dwa bataliony piechoty, którymi dowodził płk Henryk Falle (Fally) koszary przy ul. Bilińskiego (obecnie 1. Pułku Strzelców Podhalańskich).

Stanisław Kawczak opisał te wydarzenia następująco:

> Na placu przed domem robotniczym jawna zbiórka naszej kompanii, wszyscy uzbrojeni. [...].
>
> Dźwięczą na bruku podkute buty równo w takt pieśni. Walimy do koszar. Wylękły wachmistrz – Niemiec kryje się... w wychodku. Wita nas za to radośnie zastępca oficera, Adamkiewicz. [...].

7 Archiwum Narodowe w Krakowie Oddział w Nowym Sączu, sygn. Sand. II 25, Działalność Związku Strzeleckiego od 1911 r. do wybuchu wojny światowej w 1914 r. i działalność jego członków od 1914 r. do odzyskania niepodległości w 1918 r., k. 49.

8 J. Krupa, dz. cyt., s. 238-239.

9 S. Kawczak, *Z dziejów Milicji Wojskowej w Nowym Sączu*, „Głos Podhala", nr 3, 18 I 1932.

Biegniemy do kasyna oficerskiego. Jest tam zebranie. Dowódca garnizonu płk Falle siedzi blady, jakby na sądzie. Obok wierny Austrii dowódca pułku, ppłk Januszewski. Część oficerów, tj. Niemcy, Węgrzy, Żydzi – pouciekali, albo kryją się na kwaterach.

Naprzeciw austriackich komendantów występuje por. Szczepański. Mówi twardo i krótko:

- Z Austrią koniec, kto nie z nami, ten przeciw nam, a kto przeciw nam, niech wystąpi!...

Cisza. Austriacy siedzą nieruchomo, tylko im drgają kąciki ust, tylko ich czoła perlą się od potu...

W sali obok muzyka dęta. Por. Polakowski uchylił drzwi i skinął na kapelmistrza.

- Zagrać „Jeszcze Polska nie zginęła"...

Mocno, jak nigdy o ściany austriackich koszar bije po raz pierwszy urzędowo hymn polski. Stanęliśmy wszyscy na baczność! Goręts śpiewają. A potem jakiś bezwolny nakaz, bo oto komendant, płk Falle odpina szablę, kładzie na stole i z chusteczką na oczach, chwiejąc się wychodzi, jak nieprzytomny. Por. Polakowski rzuca się w ramiona najbliższego sąsiada, całują się, to samo niemal wszyscy; oficer ściska żołnierza.

- Niech żyje Polska!

Ktoś intonuje: „Nie rzucim ziemi, skąd nasz ród"... muzyka grzmi, na dziedzińcu tłumy. Rzucają ku nam kwiaty, powiewają chusteczkami[10].

O zmroku kompania prowadzona przez ppor. Jana Kickę i Zygmunta Berlinga przemaszerowała z Domu Robotniczego do szkoły św. Jadwigi, gdzie rozbroiła batalion marszowy złożony z w większości z Ukraińców. Autor artykułu wspomnieniowego podpisujący się „MAR-JU" (zapewne Marian Jura) napisał:

Bagnety na karabinach błyszczą jak srebrne. Dudni miarowy żołnierski krok. W sercu radość. Dochodzimy do celu: wchodzimy do ogrodu miejskiego, gdzie rozsypujemy się w tyraliery. Głos gwizdka... Porywamy się i wpadamy do szkoły im. św. Jadwigi. Chwila szamotania się z wartownikiem. Przeskakujemy po kilka schodów dążąc na piętro gdzie wchodzimy do ciemnych sal i odbieramy broń. Ustawiamy warty przy każdych drzwiach. Podchodzę do okna od strony domu p. Zacharskiego (stał tam dawniej dom parterowy). Na dole stoi oddział karabinów maszynowych rozbrojonego 10-ego pułku, złożony z samych Polaków pomagających nam w tej eskapadzie. W tem słyszę brzęk szali od strony strychu i równocześnie widzę z moimi kolegami Peowiakami, jak schodzi ku nam jakiś „geroj", który schował się na strychu. Jest to kadet – aspirant, na czapce ma odznake U.S.S.R. niebiesko-żółtą kokardę. Rozbrajamy go niezwłocznie.

[10] S. Kawczak, *Milknące echa*, Warszawa 1991, s. 296-297.

Oficerowie tego pułku (10) złożeni z żydów i rusinów stworzyli bataljon złożony z samych Rusinów, który z całym materiałem i bronią miał odejść do ogłoszonej „Zachodniej Ukrainy". Marzenia te nie spełniły się. Poszli, lecz nieco później... pod konwojem do baraków w Zakliczynie. [...].

Podaję poniżej uczestników rozbrajania wojska austriacko-węg. w Nowym Sączu. Oficerowie: Berling Zygmunt, Filipowicz Stefan, Kicka, Krajewski St., Pieracki Bron. (obecny wiceminister Spraw Wewn.), Skąpski Antoni, Wąsowicz Michał i Wąsowicz Stanisław, Wencel i Wierski Zygm. Peowiacy: Jura Marjan, Szajkowski Władysław, Olpiński Franciszek, Solecki Tadeusz, Puchalski Michał, Leszczyk, Kropczyński Tadeusz, Woźniak Jan, Burdygan Jan, Terlecki Józef, Mrószczyk Aleksander, Czernek Władysław, Wysocki-Korwin Mieczysław, Sichrawa Kazimierz, Tomaszkiewicz Leopold, Korzeniowski Marjan, Młynarski Edward, Berling Henryk, Wiśniewski, Mielecki, Ciombor Tadeusz[11].

Wieczorem na dworcu kolejowym wywieszono spóźniony manifest Rady Regencyjnej w Warszawie ogłaszający wolność narodu i rozwiązanie Rady Stanu.

Działania cywilne ze szczególnym uwzględnieniem środowiska nowosądeckich kolejarzy opisywał inż. Henryk Błaszczyk, który napisał:

W dniu 31 października otrzymał Zarząd kolejowy szyfrowany telegram „już czas". Po krótkim posiedzeniu wybrano delegatów: Bartoniczka Ludwika i Bulsiewicza Feliksa, którzy spiesznie udają się do burmistrza miasta Dr. [Władysława] Barbackiego z radosną wiadomością wskrzeszenia Ojczyzny i żądaniem niezwłocznego zwołania rady celem wybrania komisji likwidacyjnej. Po wymianie słów między delegatami a burmistrzem miasta, wreszcie zwołano radę, przedstawiono jej dokładnie wytworzoną sytuację polityczną i przeprowadzono wybory. W tym dniu objęła władzę Komisja likwidacyjna [zastąpiła Komitet Obywatelski] pod przewodnictwem Inż., Suchanka z następującym podziałem funkcji: sprawy skarbowe Tarsiński, rolnictwo – Narcyz Potoczek, sąd – Dr. Ćwikowski, kolej i pocztę – Bulsiewicz, sprawy wojskowe i wewnętrzne – Bartoniczek Ludwik. Kierownictwo poczty oddano Dratwie i wprowadzono cenzurę powierzając nadzór pracownikom kolejowym: Romanowskiemu Józefowi, Szopińskiemu Stefanowi i Knispelowi St. Władzę nad wojskiem powierzono pułkownikowi kawalerji austryjackiej, który jednak nie zechciał podporządkować się rozporządzeniom komisji, a w następstwie czego Bartoniczek Ludwik interweniował w dniu 1 listopada w Krakowie u Daszyńskiego i na podstawie uzyskanego zezwolenia komendanta Roji powierzył władzę majorowi [Kazimierzowi] Trzcińskiemu.

11 *Przewrót w Nowym Sączu*, „Głos Podhala", nr 39, 3 XI 1929.

Starostwo powierzono znanemu już poprzednio z pracy konspiracyjnej Juljuszowi Marossany`emu. Porucznikowi Krawczykowi [powinno być Kawczakowi] oddano organizację milicji, która szybko opanowała sytuację wprowadzając porządek i przyczyniając się do zniesienia «zielonych brygad» grasujących w okolicy Nowego Sącza i sąsiednich powiatach. Kolejarze doczekali się marzeń śnionych przez tyle pokoleń i sądzonym im było nie tylko pozostać świadkami, lecz stać się kowalami, a nawet stróżami bezpieczeństwa pierwszej władzy Rzeczypospolitej Polskiej w powiecie nowosądeckim. Przechowywane dotychczas karabiny znajdują się już w twardych i spracowanych rękach kolejarzy, którzy obsadzają mosty i strzegą pilnie majątku państwowego. Kwaterowany w Nowym Sączu dziesiąty pułk piechoty austryjackiej, rekrutujący się przeważnie z Rusinów rzucił się na magazyny wojskowe, znajdujące się w barakach obok stacji kolejowej, w których były nagromadzone duże zapasy mundurów, bielizny i butów wojskowych. Za żołnierzami podąża nieświadoma ludność okoliczna. Kolejarze, dzięki inicjatywie Jana Matkowskiego, widząc to szybko opanowali sytuację, przywracając porządek a nawet ścigając uciekających z nagrabionymi rzeczami żołnierzy aż pod Bielowice i przyległe wioski. Rozbrajano przejeżdżające przez stacje oddziały wojskowe, a na wszelki wypadek ewentualnego oporu z ich strony komendant dworca porucznik Szczepański rozstawił na budynkach kolejowych dwa karabiny maszynowe[12].

Potrzeba chwili spowodowała, że utworzony przez Stanisława Kawczaka oddział przeobraził się na rozkaz z Krakowa w Milicję Wojskową, której głównym celem było utrzymanie porządku i bezpieczeństwa. Dowódca nowo powołanej formacji w artykule wspomnieniowym napisał:

Władzę zwierzchnią Milicji stanowiła Powiatowa Komisja Likwidacyjna z inż. Suchankiem na czele. Obywatel Bartoniczek miał powierzony sobie resort wojskowy. Im nakazałem oddawać honory wojskowe, o ile na piersiach mają zawieszoną odznakę komitetu, t.j. rozetę z orłem i biało-czerwonymi szarfami. Z pośród oficerów dobrałem do pomocy por. Michalika, por. Małysę i ppor. Świebockiego. Nazajutrz za zgodą P.K.L. wspólnie z dr. Kozaczką, inż. [Walentym] Cyłą i Bartoniczkiem, dla nadania pozoru formalności zaasenterowaliśmy [wcieliliśmy] 60 kolejarzy. Uzyskałem w ten sposób stan liczebny przeszło 180 ludzi. Z tej liczby wysortowaliśmy słabszy fizycznie element, ograniczając się do cyfry 150 ludzi. Komendę Milicji pomieściłem w dawnym lokalu policji miejskiej, zaś oddział w koszarach, skąd następnie z nadejściem kadry 20 pp. z Tarnowa przeniosłem wszystko do żeńskiej szkoły Długosza [powinno być

[12] H. Błaszczyk, *Ruch wyzwoleńczy wśród kolejarzy nowosądeckich (Rok 1911–1918 włącznie)*, „Głos Podhala", nr 19, 7 V 1933.

św. Jadwigi]. Z magazynów wojskowych, prowizorycznie zabezpieczonych, pobraliśmy mundury, ekwipunek, broń i tegoż dnia po południu oddział złożył przysięgę w ręce Pow. Kom. Likw. na wierność Rzeczyposp. Polskiej. Przemówił do nas bardzo wzruszony prezes Suchanek, nazywając nas gwardją narodową, podwaliną przyszłej armji polskiej. Była to bardzo podniosła chwila. Milicja wojskowa była dalszym etapem walki o niepodległość, realnym czynem Polskiej Organizacji Wojskowej[13].

14 listopada 1918 r. ukazało się ogłoszenie o utworzeniu Powiatowej Komisji Likwidacyjnej, która zastąpiła Tymczasową Powiatową Komisję Likwidacyjną. W jej skład weszli: Henryk Suchanek – prezes, Ryszard Mędlarski – I wiceprezes, Narcyz Potoczek – II wiceprezes, Antoni Jurczak – III wiceprezes, Walery Marszalik – I sekretarz, Feliks Bulsiewicz – II sekretarz, Ignacy Pażucha – III sekretarz, oraz wydziałowi – Ludwik Bartoniczek, Franciszek Bielat, Jakub Bodziony, dr Stanisław Ćwikowski, Józef Kubisz, Jan Kulpa, Michał Magiera, Jan Słaby, Adam Stadnicki, ks. Paweł Szczygieł, Kazimierz Tarsiński, Piotr Zieliński. Dwa tygodnie później poinformowano, że z dniem 28 listopada objął urzędowanie Franciszek Piątkowski, któremu „Powiatowa Komisya Likwidacyjna oddała urzędowanie".

13 S. Kawczak, *Z dziejów Milicji Wojskowej w Nowym Sączu*, „Głos Podhala", nr 4, 24 I 1932.

Bronisława Zimowska

CO TO JEST DOM RODZINNY I JAKI ON BYŁ DLA MNIE DROGI (cz. 2.)

Bronisława Zimowska (1922–2017), Podegrodzie

Zasłużona działaczka społeczna, zaangażowana w rozmaite poczynania kulturalne, szczególnie mające na celu zachowanie tradycyjnej kultury ludowej Lachów Sądeckich, wieloletnia aktywna członkini regionalnego zespołu „Podegrodzie".

Ale wszystko to skończyło się we wrześniu 1939 r. Wybuchła okropna wojna. Ludzie tak pogłupieli, przez naszą wieś zaczęły od południa iść całymi gromadami *chłopy i chłodoki takie zestrogone, bo ktosi puściuł wieść, zeby uciekać, bło łobce włojskło bedzie zabiyrać młodych chłopów i chłodoków, że bedą dziopy* gwałcić. Tata dość w to nie wierzył, *ale miałymy za sąsiadów płolicyją, no to przysed do Taty kumendont i godo:* „Jakubie, pakujcie wóz, zaprzęgajcie konia, zabierzcie *dziopo* i uciekajcie". *Jo miała wtedy 17 roków. Tacie to sie nijak nie widziała ta uciecka.* Tak gadał, gdzie mamy uciekać, ale już tak

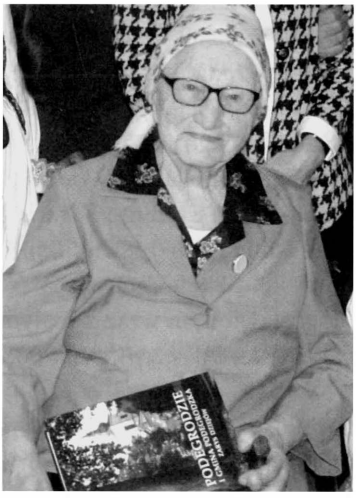

Bronisława Zimowska *Fot. J. Leśniak*

wieczorem, *kojsi o dziewiąty godzinie zaczoł pakuwać włóz w lytry. Prawie Moma napiekła chleba.* Tata załadował dziewięć chlebów, korzec owsa dla konia. Mama miała *chustke baranówko, to też zabroł*, bo była wartościowa na te czasy. *Nie wiom co Tatą zazinęło*, Tata był dość rozsądny człowiek, że tak się dał zgadać. *Jak my miały wyjyzdzać, to Tata powiedzioł do Mamy: „Nie trop sie, jo dalekło nie płojado. Płojado na Burdok, jak tu fala przejdzie, to sie wróco"*. Ten Burdok to taki las koło Limanowej. Ale jak my do Chełmca dojeżdżały, bo tam się skręcało w lewo, to tam już było polskie wojsko. Były zrobione zasieki, no i musiały my skręcić do Sącza, i tak się zaczął kierunek wschód. Tak nad ranem dojechały my do Zagórzan, tam był taki mały dworek. W tym dworku *my se chciały* odpocząć, bo i konia *trza było napaś* i też dać mu odpocząć. Tak raniutko wyszła do nas dziedziczka, podeszła do Taty i gada: „Gospodarzu, nie jedźcie nigdzie dalej. Ja zatrudnię u siebie wszystkich ludzi, bo *Niemce* do dwóch *tyźni* przejdą całą Polskę". Ale chłopy zaczęły *momrać*, że ta dziedziczka to jest pewnie agitatorka niemiecka, *„Jakubie, nie słuchejcie łone, zaprzągejcie kłonia i jadomy". No i my pojechały.* To było piekło na ziemi. *Jak my* dojeżdżały do Drohobycza, tam *Niemcy zaczeły* bombardowania. *Tam była jakosi fabryka, Polmis sie nazywała, tak w te fabryke prały, ino belki wylatuwały w powietrze i to sie w powietrzu poliło.* To była noc, a od tych płomieni to było tak jasno, że by był igłę znalazł. Co się wyrabiało, konie z wozami uciekały w pola. Po całej drodze to był tabor konny, *to ino* jeden furman co trzymał konie, nie uciekał, a tak kto jechał na wozie, to uciekał w pola. Gdzie kto mógł, to się krył. *Co się wyrobiało, to były some celuście piekła, jacy ino swychać boło płac i krzyk łod wielkiegło strachu. Jak sie te naloty uspokojuły*, to każdy wracał do swojego wozu, no i jechał dalej. Mój Tata *umyślał se,* żeby jechać w stronę Stanisławowa, *bo tak se pomyślał*, że za Stanisławowem są Zaleszczyki, no to i Rumunia. Tata w pierwszą wojnę służył w wojsku, no i wtedy jako żołnierz *był w Rumunji to i dobrze mowił pło rumujsku*. Jak teraz pomyślę, co ten Tata wtedy miał w głowie, zostawił Mamę i to w stanie błogosławionym wraz z małymi dziećmi i całym gospodarstwem i jechał coraz dalej od *chłopy,* czyli domu.

Szczęście od Boga, że *jak my dojyzdzały* do Stanisławowa, podjechał do nas polski oficer na koniu i pyta: „A gdzie wy gospodarzu jedziecie?". Tata mu gada, że do Rumunii, a on do Taty: „zawracajcie z powrotem, bo tu już wojsko nieprzyjacielskie idzie". *No i Tata musioł zawrócić i tak my w strone*

Ukrainy jechały. Tam my trafiły na duże gospodarstwo. Była tam młoda matka z czworgiem dzieci. Chłopa jej zabrali do wojska. To była Polka wśród tych ukraińskich ludzi. Miała dużo bydła, świń, konie, dużo zwierzyny, ale ona tak była ogłupiała, że się nimi nie zajmowała. Wszystko, począwszy od dzieci, było głodne. Dopiero Tata zorganizował nas wszystkich, *co my jechały na wozie. Nas dziop było trzy i chłodoków* czterech. No to zaraz *my sie wzieły, upiekłymy chleb, bo było z cego, a chłopy zabiły świnie, no to było co jeś. No i tak my wszystkie robiły. Chłopy wzieły sie za kłoponie zimnioków, a my dziopy zrobiały pło chołpie i głotuwały jeś. Do dziś ni moge se przemyśleć,* dlaczego ten Tata nie myślał *sie wracać do chołpy.* Dopiero *po tyźniu* przyszedł taki okropny Ukrainiec, wyglądał jakby był z piekła rodem, no i jeszcze dwóch razem z nim i zaczęli krzyczeć, że jak się do wieczora nie wyniesiemy, to nas wszystkich *„wyrezają"*. No to już nie było wyjścia, *trza było sie zabiyrać,* no i tak się zaczął powrót do *chołpy*. Kierowały my się w stronę Drohobycza, tak my dojechały. Droga była przez las, co tam się działo! Ukraińcy *grasowały*, nas, *dziopy, zwaliły z włozu, zaczęły wyrzucać, co my miały na wozie.* Nie wiem, *co kciały* z nami zrobić. Ale tak może ze dwieście metrów stało już wojsko niemieckie z *maszynkarabinom. Tata płoleciał do niyk, a ze umioł pło niomiecku, to sie jakłosi z niomi zgodoł.* Niemiec zagwizdał na gwizdku, *Ukraińce* już nas obstąpiły, a żołnierze *niemieckie doprowadziły* nas do oficera. Tam był chyba sztab niemiecki. Tam się zbierali wszyscy uciekinierzy, na furmankach, na rowerach, *w jakisi* parafii organizował wszystkich hrabia z Przemyśla. On się porozumiał z niemieckimi oficerami, tak że dali do ochrony, jak będzie ta kolumna pojazdów ruszać, na przodzie jeden motocykl z taką *kłolybą* i dwóch żołnierzy, w środku motor z *maszynkarabinem* i z tyłu tego pochodu znowu motor z żołnierzami. Tak nas doprowadziły do Przemyśla, bo przy drodze tyle stało Ukraińców, tak że to przed nimi *Niemce* dały nam tę ochronę. *W Przemyślu my sie przenocowały i zabrałymy sie do jazdy do chołpy. Ta cało uciecka trwała sześ tyźni, a miało być ino dwa, trzy dni, jak to Tata planowoł. Głupłota.*

Jak my dojechały do chołpy, domordowane, głodne, Tata taki zarośnięty, bo się cały czas nie golił, ja taka chora, bo w drodze dostałam świerzbu, cała klatka piersiowa to jeden strup, ból okropny, a tu Mama nielepsza od nas. Taka *domorduwono i utropiono*, bo przecież sama musiała się o wszystko trapić, bracia i siostry moje wiele nie pomogły, bo to były

jeszcze dzieci. Brat jeden dziesięć *roków*, drugi osiem, siostry: jedna *sześ* lat, druga *śtyry roki*. Jak to Tata wszystko *uwidzioł*, *to sie rozpłakoł, nie móg se tego darować*, że tak się na tę *uciekinierke* zgodził, a Mamę wraz ze wszystkim zostawił. Tata *se* do końca nie mógł tego darować. No ale stało się, *trza sie* było brać do roboty. Doprowadzić do jakiego porządku i w *chołpie*, i w polu. Mama tyle się *nauganiała*, bo wojsko niemieckie miało iść przez wieś i ludzie od Łącka, co gromadami szli, przeważnie *chłopy i chłodoki*, gadały, że Niemcy wszystko zabierają, świnie, krowy. To Mama kazała te świnie gnać na Mokrą Wieś, bo tam była nasza ciotka. Tak te małe *chłodoki*, jak Mama później opowiadała, dognały te trzy świnie do ciotki, no a potem te świnie przygnały do chałupy. *Wielo sie te jesce dzieci namorduwały*, żeby te świnie przygnać.

Potem po powrocie było najgorzej ze mną, z tym świerzbem. To tak bolało i swędziało, że ja się chciała ze skóry *łobedrzyć*. No ale do lekarza się nie poszło, bo nie było *piniędzy*, ale Mama miała w Starym Sączu znajomą aptekarkę i ona doradziła co robić. Dała taką maść, nazywaną *siwy kamioj*, kazała mnie wysmarować, napalić przedtem w chlebnym piecu, wystudzić tak, *zeby ino* było dobrze ciepło i do tego pieca wysmarowana tą maścią wlazłam cała, *jacy ino głowa złostała na nolepie*, *zeby się nie udusić*. Całam się zmieściła, bo chyba już wam pisałam, *piec chlebny my miały wielki*. Tak żem w tym piecu była już do wystygnięcia. *Jakzem wylazła z tego pieca, to sie wszystkie w chołpie przelokły, co sie ze mnom powyrobiało*. Zaczął taki pancerz jak u żółwia ze mnie schodzić, została potem delikatna skóra. To mi pomogło, tak się leczyło bez doktorów. *Rozmaite sposoby ludzie na wsi mieli na chłoroby*.

No ale jeszcze my się z jednej biedy nie otrząsły, to przyszła gorsza jak *uciekinierka* – okupacja.

Do naszej gminy Podegrodzie należało wiele wiosek. Do nas najechało się dużo niemieckiego wojska rozmaitych formacji. Nie wiem już, jak to się nazywało, wszystko to było związane z okopami. Wojsko było w rozmaitych kolorach mundurów. Ci co pilnowali ludzi przy okopach nazywali się *tociarze*, a do pilnowania całej roboty był starszy rangą SS-man, był bez jednej ręki i dlatego dali go do pilnowania roboty przy okopach. *Łokłopy* były w całej gminie, robiło przy nich *barz* dużo ludzi z całej gminy. Z tych dalszych wsi to ludzie nocowali po *chołpach* w Podegrodziu. Najwięcej okopów było w Podegrodziu. W naszym gospodarstwie były trzy bunkry, takie

z drzewa, w różnych polach, a do nich dochodziły okopy – rowy, *doś głobokie*. Do dziś dnia nie wiem, na co im było to potrzebne. U jednego z gospodarzy była kuchnia taka polowa, w tej kuchni *śtyry dziopy* gotowały jedzenie dla tych ludzi. To były barz dobre zupy z porządną wkładką mięsa. W południe ludzie przychodzili, ci od okopów, z naczyniami i dostawali porcje. Raz w tygodniu każdy co tam robił dostawał *marmulado, margaryno i pół litra włódki*. Tak to trwało całą okupację.

Ale znowu przyszedł strach. Co *jakisi cas* Niemcy urządzali łapankę. Ja żem się już nadawała na wywóz na roboty do Niemiec, ile ja się nauciekała z innymi *dziopami*. Najwięcej to my się kryły na *smontorzu*. To była taka kostnica, na górze było siano. Ojciec *jedny dziopy* był grabarzem, on tam miał siano. To jak już była łapanka, to my na cmentarz, ten grabarz dał nam drabinę, żeby my wyszły, a potem drabinę zabierał, żeby nikt nie pomyślał, że tam ktoś jest. I tak my tam spały, to *se* możecie pomyśleć, *wielo my strachu zjadły przy tych umrzykach*. Jak mi się nie udało dolecieć do cmentarza, to Tata leciał ze mną do wikliny nad Dunajec.Tak się to ciągło jakiś czas, aż jedna z tych *dziop*, co gotowały, zachorowała. Tata *jakosi* z tym Niemcem, co doglądał tej roboty przy okopach, bo Tata go woził końmi po terenie, się dogadał i przez tego Niemca wtedy wcisnął mnie do tej kuchni, do roboty. To już do końca okupacji miałam spokój.

No ale we wsi i w okolicy zaczęła się tworzyć wielka partyzantka – Bataliony Chłopskie. Na nich bym mogła dużo napisać, ale tego nie zrobię, bo bym może za dużo powiedziała. Była też AK i jeszcze inne, o tych nie wiem, to nie napiszę. *Tylo ino napiso, ze to błolało i do dziś błoli, jak se ło tom przypłomno, co ta partyzontka robiuła, jak to leciało az do wyzwolenia. Jak wojsko ruskie wkroczyło, tys nie było lepi, było rozmajcie.*

Ale po tym wszystkim *trza* się jakoś było odnaleźć, pozbierać i zacząć myśleć, co dalej. *Ja miała* to szczęście, że miałam jeszcze przed wojną świadectwo siedmioklasowe, to tak było jak po wojnie matura. Mój Tata, na te czasy to było wielkie wydarzenie, też miał świadectwo siedmioklasowe. W naszej szkole, żeby mieć świadectwo siedmioklasowe, to się chodziło do szóstej klasy dwa lata. Że *ja miała takie świadectwo*, to gmina wysłała mnie do Rabki na trzymiesięczny kurs przedszkolanek. Po tym kursie mogłam prowadzić po wsiach takie sezonowe przedszkola dwa miesiące. To była wielka pomoc dla rolników, bo lipiec i sierpień były to dwa miesiące roboty przy żniwach. Jak dzieci poszły do przedszkola, to matki mogły spokoj-

nie iść w pole. Pierwsze przedszkole prowadziłam w Podegrodziu w Szkole Podstawowej. Było nas dwie, ja i kucharka – Zosia Chełmecka. Dzieci było *barz* dużo, *ale my se jakosi dawały rade*. Może nie uwierzycie, ale na zakończenie przygotowały my dzieci do przedstawienia „*Wesele Płodegrodzkie*". Same pewnie nie dałybymy se rady, ale cała wieś włączyła się w te przygotowania, co kto mógł, to robił. Kobiety szyły odpowiednie stroje na to wesele dla dzieci, dla pary młodych, drużek, drużbów, starościn i starostów. Chłopy uczyły ich *hulać*, a że były też takie większe dzieci, 10 lat, to nawet *zahulały krzyzoka i suwano płolko*. Tego tańca uczył i pilnował mój Tata, a on był barz dokładny. Może nie uwierzycie, *wielo to piyknie wysło, wielo było radości,* nie ino dzieci się cieszyły, ale cała wieś była uradowana, że to tak pięknie wyszło.

W następnych sezonach prowadziłam przedszkola w Naszacowicach – dwa sezony i jeden sezon w Piorunce koło Krynicy. Na te przedszkola *nakładały* gminy, *dzieci miały barz dobre jedzonie*, no i słodycze. Ale muszę wam opowiedzieć, co to było dla dziecka dostać cukierków.

W osiemdziesiątym roku poszłam do krawca, żeby mi uszył płaszcz, ale on mi nie *barz* chciał to robić. Wykręcał się, że ma *barz* dużo roboty. Tej rozmowie przysłuchiwała się jego żona, no i tak mu gada: „*ty usyjes ton kabot ty poni*, bo tak wszystkie ludzie w tym przedszkolu do mnie gadały, choć ona wiedziała, skąd ja jest. *Usyjes i to zaroz, bło jak ta poni prowadziuła u nos w Naszacowicach przedszkole, a jo łodprowodzałam brata do przedszkłola, to tom mi zawse dała dwa cukierki. Tom tak Mamo prosiuła, zeby z bratom chłodzić.* To *se* wyobraźcie, czym w tych czasach był dla dziecka cukierek, jak ona tyle lat to pamiętała. Ale teraz nikt w to nie uwierzy, bo dzieci mają przesyt wszystkiego. Teraz jak się chce dziecku dać jakiś prezent, nie mówiąc o cukierkach, to ile się trzeba *łotropić* co kupić. No bo zaczęło się od zegarków, potem rowery, komórki, komputery, a za jakisi czas to chyba samochody, a może nawet samoloty. Do czego to się sprowadza, tego wszystkiego nie szanuje się, nie szanuje sie niczego, no i nikogo.

Wracom do po wojnie zaroz. Zaczęły gazdowie organizować zespół, który już był w 1937 r., przed II wojną światową. Wszyscy chętnie wstępowali do tego zespołu, tak że jak była organizowana *jakasi* wielka uroczystość na Psim Polu, to my już jako Zespół Podegrodzie pojechały z występem „Wesele podegrodzkie". Zespół ten zorganizował Józef Konstanty, przydomek

„Kasjer". Mój Tata i ja też należałymy do tego zespołu. Tata zawsze występował w roli ojca. Nawet ułożył taką piosenkę:

Kukała kukułka na wysoki górce,
Sprawiała momusia wesele swy córce,
Wesele sprawiała, dobrze wychłowała,
No i na łostatek dobre wiono dała.

To śpiewał po czepinach pani młodej, jak starszy drużba zapowiedział *a teros kazdy ze swojom*, to ta para podeszła do orkiestry i ojciec zaśpiewał. Wtedy wszyscy *hulali*, i starsi, i młodzi.

Całą tę imprezę obsługiwało wojsko. Po naszym występie przyleciał organizator tej imprezy, żeby koniecznie iść do władzy, a wtedy władzą był Bierut, no to mnie wydelegowały do tego Bieruta. No ale *z com* iść do niego, bo jako gospodarzowi *trza mu było cosik* zanieść. No to my miały taki *kołoc ze syrom*, upieczony, bo nam był potrzebny do wesela. To ten kołacz *trza* wziąć, no ale kto pójdzie. *Nikto* nie chciał, ale że ja byłam starszą drużką na weselu, to wszyscy okrzykli, że mnie z tym kołaczem poślą. Dostałam ochronę, *śtyrech takich buforów*, i tak mnie prowadzili do tego Bieruta. Powiem wam, że od strachu, to mi tak uszy zmarzły, choć w tym dniu było 25 stopni ciepła. No ale jak żem doszła do niego, on *barz piyknie* przyjął ten *kołoc*, pocałował go i życzył nam, żeby nam nigdy nie brakło chleba. Jak żem wracała, ale już mnie prowadziły żołnierze, jak mnie opadły fotoreportery, to nie mogłam się od nich ognać. Jeden przez drugiego pytały, z czego ten kołacz pieczony, w jakim piecu i takie rozmaite pytania. Jak teraz patrzę, co te *fotoreportery* robią, jak się chcą czego dowiedzieć, to se tak myślę, że mnie już w *pidziesiątym* roku potraktowano jak polityka. Muszę wam jeszcze powiedzieć, że na to Psie Pole jechały my pociągami bydlęcymi, nieraz to my piechotą mijały ten pociąg, ale *jakosik my dojechały.*

Jeszcze raz gmina wysłała mnie na kurs – reżyserów, do Krakowa do Starego Teatru. W tym czasie był taki *barz* sławny aktor, Solski. Wtedy była wystawiana sztuka „Balladyna", to było coś wspaniałego. Dwadzieścia lat potem byłam na tej sztuce, ale to już nie to, tak jakby to były dwa różne przedstawienia. Kurs trwał 3 miesiące, *barz duzo* skorzystałam na tym kursie. Wykładali wspaniali wykładowcy, w tym czasie to byli aktorzy z prawdziwego zdarzenia, nie tak jak teraz. Byle jaki *cudok* wyleci na scenę, założy

czarne okulary, no i jest wielką gwiazdą. No ale co tu dużo gadać, młodzieży to się podoba ta brzydota z Zachodu i to się chyba nie zatrzyma. Młodzi ludzie nie mają poczucia piękna i to jest *barz* bolesne. Pewnie, że my nie możemy cofać się do tyłu, musimy iść do przodu, ale to musi mieć umiarkowanie, co się robi.

Tak to jakosi czas leciał, no i trza było pomyśleć o sobie. Tak barz chciałam kupić se maszynę do szycia, no i ponaprawiać zęby, a tu w *chołpie* nie było za co. I w 1951 r., po wojnie, kolega załatwił mi robotę w kwiaciarni w Gliwicach, a że miałam tę siódmą klasę, to bez trudu dostałam się jako kierowniczka i miałam dwie dziopy do pomocy. A że *barz* lubiałam kwiaty, to ta robota *barz* mi odpowiadała. Sklep miał dobre utargi, tak se zyskałam u ludzi szacunek. W tym czasie *dałam se* powprawiać zęby, całe mostki, bo jak byłam w *chołpie, to jak ino* ząb zabolał, *to sie leciało* do takiego chłopa na Mokrą Wieś. *Chłopa nazywały Kuzokiem*, że wyrywał zęby; on niczego nie odkażał, nawet tego *lywarka*, bo tak się ten przyrząd do wyrywania zębów nazywał. Wyjął ten *lewarek z kieszonie, zawołoł kogo,* przytrzymał głowę, no i po wszystkim. No ale musiało się do niego iść, bo kto wtedy słyszał o dentyście. W tych Gliwicach pracowało mi się *barz* dobrze, kupujący chwaliły moje bukiety, wieńce i wszystko, co można było z tych kwiatków zrobić. Złościło mnie ino to, że *niektóre Ślązoki nazywały nos gorolomi*. Mnie złościło też, że nie nauczyłam się gadać po niemiecku, czego mi Tata nie mógł podarować, bo Tata znał 5 języków oprócz polskiego. Tak mi powiedział: *nigdym se nie płomyśloł, ześ ty taki turoń, ześ tyle roków tom była i nie naucyłaś sie*. W Gliwicach byłam do 1962 r., tam poznałam męża, a mąż już miał załatwioną pracę w Warszawie. Mąż był ogrodnikiem, kończył *Lwowską Szkołę Średnią*. Był instruktorem i dlatego dostał pracę w olbrzymich szklarniach kwiatowych. Ogród ten znajdował się *za wyścigami* w Warszawie. Tam byłymy do 1971 roku, ale ja tam się dusiła, choć szklarnie były na peryferiach miasta. Ja *barz* dużo z panią szefową wyjeżdżała, bo szefowa miała wejścia i zawsze mogła dostać bilety na wyjazd do Moskwy, do Leningradu, do Niemiec, Węgier, Czech. W tym czasie to było coś. W Leningradzie byłymy *na biołych nocach* i to wspaniałe zwiedzanie muzeów. Leningrad odebrałam jak miasto zachodnie w przeciwieństwie do Moskwy.Tam zjeżdżały się całe rzesze robotników z pegeerów. Tam, patrząc na tych ludzi, widziało się, jaką mają biedę. W Moskwie to tylko podobało mi się metro, każda stacja w innym kolorze marmuru, *no i ton Plac Cyrwony*

z mauzoleum Lenina, którego też mogłymy oglądać. Ale to wszystko mnie nie cieszyło, ciągle ino myślałam, jak w Podegrodziu jest cudownie, jak Zespół się rozbudowuje. No i mąż zdecydował, pewnego wieczora przysiadł koło mnie i mówi: „Broniu, dałem wymówienie z pracy i to od zaraz, bo nie mogę patrzeć, jak Ty tu usychasz z tęsknoty". No i stało się, pojechały my do niewykończonego domu, bo ja, jak pracowałam w Gliwicach, to tak pomału budowałam, bo chciałam mieć swój dom. Nie myślałam wychodzić za mąż, bo przeżyłam swoje nieszczęście w okupację, ale znalazłam wspólne słowo z przyszłym mężem, no i zdecydowałam się i nigdy tego nie żałowałam. Mąż był wartościowym człowiekiem.

Zaraz po przyjeździe zapisałam się do Zespołu i tak się zaczęło moje życie kulturalne od nowa. A że to mojemu mężowi *barz* się podobało, to *mogłam w to kulturo wejś całom sercom, no i chyba zmysłom artystycnom, który łodziedzicyłam pło mojom Tacie.* Tata był wspaniałym aktorem, jak był jeszcze nieżonaty, to grał w sztuce „Głupi Maciek". Tata był tym głupim Maćkiem, grali w Starym Sączu w Sokole. *Za łoddonie roli Tata dostoł łod rejonta ze Starego Sonca zygarek kiesonkowy.* Co to było za wyróżnienie, na ten czas. No i chyba mi się te geny, jak to teraz nazywają, dostały. To wszystko zawdzięczam Ojcu. Uczył nas i pilnował, żeby każdą robotę *barz* dokładnie wykonać. Zawsze mówił: *albo rob dobze, bło jak mos źle robić, to lepi się do te robłoty nie zabiyroj*. To mi utkwiło w głowie na całe życie i tak się starałam robić. Pomysły przychodziły same, mogłam układać wierszyki na każdą okazję. Toteż dzieci przychodziły, żeby im napisać wierszyk na imieniny, na inne okazje. Ja też gadała wierszyki, powitania, jak do Parafii przyjeżdżał Biskup, tom go witała. Zawsze gadałam z pamięci, nienawidziłam, jak kto gadał z kartki. Organizowałam na weselach w drugi dzień *kłorowody,* zbierało się tych ludzi, co byli na weselu. *Rozmajcie* się przebierali i *tak my jechały* do domu weselnego. Tam nas przyjmowały gospodarze wesela, no i orkiestra. Tak nas przyjmowali Ci, co się na tych *komedyjach* znali, a byli i tacy, co nas nie przyjęli. *Łony* się nie znały na tym, co to jest humor i zabawa. *Nasa wieś była tako płodzielona. Kłolonije i na Kątach,* no i górna wieś do Dudów, to z nimi można było wszystko zorganizować. A że to wszystko dobrze się układało, *tom se płomyślała, cosik jesce innego* w drugi dzień wesela zrobić. Ja się ubierała za doktora, choć miałam kłopoty ze strojem, ale jakosi zawsze się dogadałam, że miałam strój chirurga: fartuch i nakrycie głowy, słuchawki. Ale *zeby było śmiyśni to ubiyrałam spłodnie łod*

piżamy, no i pontofle na nogi. A że już na sali robiłam operację, to musiałam mieć sanitariusza, żeby mi pomógł. On też musiał być upodobniony do swojego fachu. Tak ta *komedyjo* się przyjęła, tak się podobała ludziom, że nas ludzie zapraszali na drugi dzień wesela, nawet tam, gdzie my na wesele nie były proszone. Nawet my jeździły do Brzeznej, do Podrzecza, no i na wiele innych wsi. Tak ludzie chcieli, żeby ich zabawiać, tak my się bawiły razem, ale zawsze musiały my robić operację. Mnie to tak cieszyło, że przy operacji wymyślałam com mogła śmiesznego.

W okresie świąt Bożego Narodzenia pomyślałam, żeby zrobić Mikołaja, no i jak pomyślałam, to zaraz dobrałam *dziopo* na anioła, no i na diabła drugą. Najgorzej to było z szatami dla Mikołaja, ale *jakosik* zagadałam z kościelnym i on mi zawsze pożyczał kapy z kościoła. Strój dla anioła i diabła to my se same uszyły. I tak najpierw to my chodziły do rodziny, ale wnet zaczęły nas zapraszać inne rodziny i tak *my chodziły*, gdzie kto chciał i nas zaprosił. Nawet my były w Marcinkowicach, tam to ksiądz proboszcz z nauczycielami zorganizowali takie spotkanie z Mikołajem. Było *barz* wesoło i przyjemnie, bo byli też rodzice wraz z dziećmi. I tak to leciało. Wnet po tym zaprosiła mnie do siebie pani Chrząstowska i zaproponowała mi, żebym przychodziła na próby przedstawień. *Barz* chętnie się zgodziłam. Te przedstawienia pani Chrząstowska organizowała na plebanii, na *wikarówce.* Były to sztuki religijne, jak „Męka Pańska", „Wieczerza wigilijna" i inne. Te przedstawienia były piękne, dawały dużo do myślenia o życiu człowieka. Tak mi się to podobało, tak to przeżywałam, że nie opuściłam żadnej próby. Zauważyła to pani Chrząstowska i jakoś tak w trakcie przerwy powiedziała mi „wiesz co Broniu, tak sobie pomyślałam, że Ty byłabyś dobrą suflerką". Z początku bałam się, że se nie poradzę, ale mi się to spodobało. No i *barz* mocno od tej pory uważałam na próbach, żeby nie przepuścić ani jednego słowa. I udało się. Najgorzej było mi na pierwszym przedstawieniu, tak że byłam *młokrutko* od strachu. Ale udało mi się, aktorzy byli *barz* zadowoleni, że dobrze im podpowiadam. Pani Chrząstowska stwierdziła, że mam dobrą dykcję. Ja tego słowa wtedy nie rozumiałam, teraz to już wiem, co to jest dykcja.

Tak ta praca mnie zmobilizowała, żeby cosi robić. Dom Kultury nic nie wystawiał, a scena tam była taka piękna. Pomyślałam, żeby cosik zrobić. Poszłam do pani dyrektor, żeby zrobić przedstawienie na tej scenie. Po wielu „za i przeciw" zgodziła się. No i stało się, a że miałam przygotowanie

reżyserskie, no to się zdecydowałam wystawić „Jasełka" Rydla w okresie świąt Bożego Narodzenia. Zabrałam się do tego z wielką ochotą, że pierwsze przedstawienie na tej scenie ja zorganizuję. Zaczęłam *zmowiać* aktorów, z tym nie miałam kłopotu, tyle było chętnych, że mogłam se powybierać, kto mi pasował do roli. Jak byłam na kursie w Krakowie, to wykładowca podkreślał, żeby role dopasować do aktora. A że w Podegrodziu prawie wszyscy żyją tą piękną kulturą, to nie ma kłopotu z doborem aktora. A że w tym czasie nie było w każdym domu telewizora, ale rzadko gdzie, no to ludzie przychodzili, tak że musieli my grać kilka razy. Kłopoty były z kostiumami, ale jakosi sobie z tym poradziłymy. W GOK pracowały dwie młode dziewczyny: Zosia Buczek i Terenia Kotas, cudownie się z nimi pracowało. *Łone dodawały mi siły, bło jak se z cym ni mogłam jus radzić, to mie potrafiuły do łes rozśmiysyć.* Jak już wspomniałam, największy kłopot był z kostiumami, dekoracją sceny, ale to wszystko robiły moje kochane dziewczyny. Tej pięknej współpracy nie zapominam do dzisiejszego dnia.

Terenia podsunęła mi myśl takich jasełek w wykonaniu dzieci. Napisałam scenariusz, kombinowałam, trochę z Rydla, trochę innych swoich tekstów. To było przepiękne przedstawienie. Do szopki przychodziły nie tylko pasterze, trzej królowie, ale też dzieci z darami, żołnierze z II wojny. To przedstawienie *barz* się widzom podobało i to mnie jeszcze bardziej zmobilizowało, że ludzie mają radość z oglądania widowisk. No i pomyślałam, żeby znowu wystawić coś dla ducha. W parafii miały my księdza wikariusza, który zaproponował mi scenariusz „Dzień gniewu" R. Brandstaettera. Po przeczytaniu scenariusza mocno się zastanawiałam, czy dam sobie z tym radę, no i zbiorę odpowiednie osoby do zagrania tej trudnej sztuki. Oglądając tę sztukę, trza się *barz* wczuć w to, co się dzieje na scenie. Potrzebne do niej są trzy odpowiednie osoby – główne role. Na przeora zgodził się pan Frączek z Juraszowej, esesmanem został mój brat Jakub Bodziony, kochankę Niemca zgodziła się grać Teresa Witowska. Potrzebni byli też braciszkowie, bo rzecz działa się w klasztorze. I znów los mi sprzyjał, bo w naszej parafii było czterech kleryków i oni zgodzili się zagrać. Zapomniałam o bardzo ważnej osobie, to była rola Pana Jezusa. Wspaniale tę rolę oddał Józef Pietruszka. Resztę aktorów się zebrało, wszyscy się wspaniale zaangażowały, tak że miałam wszelką pomoc, np. efekty dźwiekowe, zmiana świateł i wszystko co było potrzebne do wystawienia sztuki. Najgorzej jak zwykle z kostiumami, ale jakosi sobie poradzili my, znów mobilizacja i co

kto może, to zdobywa. Habity pożyczyły my od ojców dominikanów z Krakowa, kostium esesmana uszył krawiec, barz dobry, pan Klimczak. Wszystkie dodatki do munduru i czapki zdobyłam od pana, który miał książkę, w jakich mundurach chodzili żołnierze *niemieckie*. Próby trwały 3 miesiące, odbywały się dwa razy w *tyźniu*. Wbrew moim obawom przedstawienie wypadło *barz* dobrze, dzięki aktorom, którzy *barz* przyłożyli się do pracy. Tu muszę powiedzieć, że aktorzy wszyscy byli amatorami. Jednak zagrali tak, że mogliby się zmierzyć z aktorami zawodowymi. Ludzie przychodzili na tę sztukę nawet po dwa razy, płakali, jak Niemiec kazał ukoronować Pana Jezusa. Z tym przedstawieniem zapraszały nas inne wioski, co miały scenę, między innymi Łukowica, Nowy Sącz (sala koło kościoła Przemienienia Pańskiego). Tak to mnie zdziwiło, że ludzie naprawdę pragną kontaktu z kulturą, *i to tak se wtedy umyślałam, ze trza cosik dali robić.* Napisałam taki *łobrozek „Zmówiny"*. Kiedy to sie udało, napisałam jeszcze *„Wiązowiny"*, *„Wieczerzo wigilijno"*, *„Płowrót parobkow z jarmaku głodniego"*. Te scenariusze pisałam gwarą, no i w przedstawieniu aktorzy mówili gwarą. Tego jo *barz* pilnowała i ubiorów do tego przedstawienia. Robiłam też różne skecze. Starsza młodzież chętnie w nich brała udział. Szkoła Rolnicza uczestniczyła w konkursie międzyszkolnym z różnych dziedzin, ale barz im zależało na obrazku folklorystycznym. Zgodziłam się. Te spotkania odbywały się co roku w Sokole w Nowym Sączu. Obrazek ten trwał nie dłużej jak *dwajścia* minut. Zawsze się nam udawało, młodzież była *udono*, można się było z nimi dogadać. *Za kazdom razom łobrozek ton broł piyrse miejsce. I tu muso wom ło tym napisać.* Przygotowywałam jednego ucznia do zrobienia palmy i opowiedzenia o niej. Zrobił to cudownie, dostał pierwsze miejsce, no i różę. Po skończonych występach do pokoju, gdzie się wszyscy przebierali, wchodzi Wojtuś z różą w ręce, podchodzi do mnie i wręcza mi ten kwiatek. Ja się roześmiała i mówię: *„Wojtuś, przecio tyś se na to rózo zasłuzył"*. A on: *„ale Poni mie przygłotuwała, z cegło się barz cieso, bło ło tym bedo łopłowiadoł moim dzieciom"*.Wypowiedź ta mnie zatkała, bo czy może być coś piękniejszego i wartościowszego, jak wypowiedź tego młodego człowieka. Żadna inna nagroda nie byłaby tak cenna. *On to płowiy dzieciom.*

W Szkole tej robiłam też różne zwyczaje i obrzędy, w każdy rok cosi innego. Jak już pisałam: *świonconie palm, świonconie tymi palemkomi pol, Zielone Świątki, zmowiny, wiązowiny, Wiliją, kłoponie zimnioków, podłaz* i wiele innych. Ja to robiła z ochotą, społecznie, choć też dostałam jakąś

nagrodę pieniężną. Ale co jest cudowne, jak zmarł mi mój mąż, zostałam samotna, zawsze pan dyrektor dzwonił, czy mi w czymś nie trza pomóc, choć już w szkole nie pracowałam. Przysyłał chłopców, którzy mieli zajęcia, żeby mi porobili na grządkach, w jesieni węgiel zrzuciły do piwnicy. Do tej pory otrzymuję życzenia świąteczne i imieninowe, no i jestem zapraszana na wieczerzę wigilijną, którą organizuje Dyrekcja i Komitet Rodzicielski. To mnie wzrusza do łez, w obecnych czasach znieczulicy to jest cudowne.

Było u nas Koło Gospodyń, no to ja się też zapisała. Po jakimś czasie wybrały mnie na przewodniczącą, zgodziłam się, bo byłam sama, to sobie mogłam pozwolić. Miałam zajęcie, nie miałam czasu myśleć o samotności i starzeniu się. Koło liczyło *barz* dużo kobiet, no i mogły my se pozwolić na różne rzeczy. Była możliwość zamówienia kurczaków w zakładach drobiarskich, to były takie jednodniówki. Kobiety barz chętnie zamawiały, bo miały gotowe do chowu, ale mogły sobie zamówić tylko te kobiety, które były w kole, bo to była ograniczona ilość. Nasze koło miało szczęście i zawsze otrzymywały my taką ilość, jaka była zamówiona. Jak miały być dostarczone pisklęta, to kobiety, które zamówiły, schodziły się po odbiór. Jedna z członkiń pozwalała nam u siebie rozprowadzać te kurczaki, miała odpowiednie pomieszczenia, no i była barz chętna do pomocy. No i tak to koło zaczęło się rozkręcać, kupiły my po 100 sztuk naczyń. Jedna z członkiń zajęła się wypożyczaniem ich na wesela i inne imprezy. W tym czasie to było *barz* chodliwe, bo ludzie urządzali w domu wesela i imprezy i wypożyczali te naczynia. Z tego był niezły dochód. Miały my też magiel elektryczny, tym się zajmowała inna jeszcze członkini koła. I tak to leciało, nawet dobrze. Brały my też udział w różnych konkursach. Jak na naszym stoisku były: żurek prawdziwy, taki kwaśny, chleb, podpłomyki, kołacze z serem, to wszystko było do degustacji, no i trochę też my sprzedały. Najlepiej to wszystko szło w Krynicy, tam do naszego stoiska to była kolejka, no bo kuracjusze tak chcieli pokosztować tych naszych potraw. Wystawiały my te stoiska wszędzie tam, gdzie to było organizowane.

Była też możliwość zorganizowania konkursu, kto ma ładniejszy ogródek. Chodziła taka *komisyjo* ogrodników i oni oceniali. Za nagrody były dyplomy. To się babom spodobało, no i coraz więcej zakładały se ogródki. Bo przedtem to były takie prawdziwe ogródki *cheba ze styry we wsi*. Jak było

jakie wesele, to jak *chłodoki chciały zrobić warto* [bramę weselną], *to brały tako długą zyrtko, jedon trzymoł na jednom końcu, drugi na drugiom. Na środku były przybite gołozie z jodły przybrone wstązkomi z bibuły.* Ale jak było takie bogatsze wesele, to chciały zrobić *warto paradniejszą* i się skrzykiwali, szli do Heli na Kąty po prawdziwe kwiatki. Ona miała najpiękniejszy, no i wielki ogródek. Nie powiem, że gdzie indziej nie było ogrodków, były, ale tam ino rosły rośliny, które były potrzebne jak kto zachorował. Była tam *miota pieprzowo, ruta i rutyc.* No a u nas w *chołpie*, to Mama miała krzak cukrowej róży, bo z tych płatków kwiatowych robiła *tako marmuladko.* To było *barz* dobre do pączków, które Mama piekła na zapusty.

Brały my też udział w Skansenie na Falkowej. Ja tam często była zapraszana w stroju i reprezentowałam gospodynię. Tak *barz* byłam związana z tym Skansenem, że *barz* chętnie, jak byłam ino na co potrzebna, to tam jechałam. Nawet w tym Skansenie kręciły my filmik, *obrozek „Wiozowiny"*. Jak ten scenariusz napisałam, to *barz* się spodobało pani Królikowskiej z Krakowa [red. Barbara Peszat-Królikowska, długoletnia dziennikarka redakcji muzycznej Polskiego Radia], która brała udział w *komisyjach łoceniajoncych zwycaje i łobrzondy.* W tym obrazku brał udział nasz Zespół, a ja pilnowałam, żeby to wszystko dobrze wypadło. Obrazek ten pokazywał *powstowonie tradycyjne kukiołki, od zamiysonio ciasta, polenio w piecu chlebnym, no i piecenie tej kukiołki.* Ta kukiełka już była upieczona, ale trza ją było w odpowiedniej chwili wsadzić do pieca, żeby to dało obraz pieczenia tej kukiełki; piec napalony, *trza* ogień wygarnywać, a operator krzyczy *„wsodzejcie tą kukiełko"*. Jo odpowiadam *„jesce nio"*, a operator wrzeszczy *„wsodzejcie"*. Ja się tak wściekła, że powiedziałam mu *barz nieconzuralne słowo* i uciekłam. On chciał być mądrzejszy, a przecie się na tym nie znał. Po *jakimsi casie* mnie odnalazły, przeprosiły, no i ogień był prawie do wygarniania. No i tak my ten obrazek dokończyły, ale *jak se przypomno com tomu łoperatorowi powiedziała, to dosiela sie tego wstydzo.*

Koło Gospodyń coraz bardziej się rozwijało, tak pięknie się razem pracowało, tak my się schodziły w Domu Kultury, takie te spotkania były *barz* przyjemne, no i pożyteczne. *Pośmiały my się, pośpiywały, herbatko my wypiuły, no i zadowolone wracały do chołpy.* Parę razy *urządziłymy* Opłatek. Na ten Opłatek każda z członkiń mogła se zaprosić kogoś z rodziny, za niewielką odpłatnością. Tyle było chętnych, że musiały my odmawiać, bo *my go robiły* we własnym zakresie dla siebie. Tak my uzgodniły, że każda co przyniesie, jedne

ciasto, inne sałatkę jarzynową albo inne, co która mogła to przyniesła. W tym czasie to wszystko było dobre, nie tak jak teraz. Wtedy ludzie się przyjaźniły, umiały się dobrze bawić i radować, choć my tam tych wyskokowych napojów nie podawały. No ale to, to już panowie zadbały, każdy *cosik* przyniósł i bawili się tak jak w Kanie Galilejskiej do białego rana. Tak był każdy zadowolony, jeszcze nieraz, jak my się spotkały, to wspominały my te czasy.

Zostałam zaproszona do Gniezna na zjazd przewodniczących Kół Gospodyń Wiejskich. No i tam mnie odznaczono medalem za zasługi w kole. Było to dla mnie wielkie wyróżnienie, choć na sukcesy w kole wszystkie członkinie pracowały. No i tak się to z tymi odznaczeniami zaczęło. *Mom jych pioć, ze Złotom Krzyzom na czele*. Ten Krzyż został mi przyznany za „całokształt pracy kulturalnej", no a samych dyplomów za udział w różnych imprezach, to nie zliczę.

Zorganizowałam kobiety, zrobiły my *wioniec dożynkowy na Matko Boską do kłościoła, na płodziokuwonie za plony.* Zebrałam młodzież, wieniec nieśli chłopcy w kaftanach, gospodyni i gospodarz *niesły chlyb* jako dar plonów, kogo mogłam, to namówiłam, żeby się ubrał w strój. I tak to się ciągnęło, zeszło się nas parę osób wieczorem i ten wieniec żeśmy zrobiły za jeden wieczór. Pomysły na wykonanie każda miała, każda cosi dodała, jaki kształt, no i jak przybrać. W każdy rok wieniec był inny, no tak to trwało przez parę lat. *Barz* dużo w tym pomagała Lorczykowa Jasia ze Zasłonia. Ona prawie sama zbierała kłosy różnych zbóż, no i pomagała, aż pewnego razu powiedziała, że ma tak daleko chodzić ze Zasłonia. *Jo bedo soma robiuła u siebie ton wioniec*, no i tak do dziś robi te wieńce sama. Pomaga jej rodzina, a że ona ma pomysły artystyczne, to te wieńce są co rok inne i coraz to ładniejsze. Sama też piecze na tę okazję chleb i organizuje oprawę do tego wieńca.

W roku 1999 zostałam wytypowana na „Sądeczanina Roku". Byłam mile zaskoczona tym wyróżnieniem. Ochotnicza Straż Pożarna w Podegrodziu zaprosiła mnie i dwóch gospodarzy Kasprzyka i Konstantego na rodziców chrzestnych dla sztandaru. To też było dla mnie wielkim wyróżnieniem i przeżyciem. Sztandar był poświęcony w Kościele Parafialnym w Podegrodziu. Poświęcał go śp. ks. Alberski. Cała nasza trójka była w strojach.

Podegrodzie brało udział w turnieju gmin zorganizowanym przez telewizję: Podegrodzie – Jodłownik. Pan Wójt zaprosił mnie na rozmowę i pytał, czy mogłabym coś zorganizować na tę imprezę. Zgodziłam się, no

i trza było myśleć, co tu zrobić, żeby Podegrodzie wygrało. No i wymyśliłam taki *Kłorowod, barz urozmaicony. Prowadziuł gło płanetnik i zazegnywoł, zeby się nic złegło nie stało, krowy ciagły kłoryto z Telimeną, łorkiestro wiozły na tockach parobki, kazdego muzykonta łosobno.* Do dziś nie mogę se wymyślić, jak to się stało, że jak orkiestra zagrała „Serdeczna Matko", to obie krowy padły na przednie nogi. Króliki, kury, gęsi prowadziły na sznurkach *dziywki. Stare baby jechały na włozach w osłonach, no i w lytrach.* Wszystko było *barz* cudacznie poprzebierane. Jo jechała *barz* paradną bryczką, parą pięknych koni, bo tam w korowodzie ja robiła *łoperacyją*, a pomagali mi sanitariusze. No i tak się zaczęła moja praca jako lekarza. Po rozmowie z Wójtem, tydzień później, przyszedł wójt z reżyserem, który był odpowiedzialny za tę imprezę. Reżyser zażądał ode mnie scenariusza. Powiedziałam mu, że scenariusz to ja mam w głowie. Pan Wójt mu gadał, żeby się nie martwił, że na pewno wszystko się uda. Reżyser się zgodził, ale dodał, że on za to już nie odpowiada. A jeszcze nie powiedziałam, że korowód prowadził przebrany za policjanta taki fajny *kłomedyjont.* Impreza się udała, wszyscy zdali na 100 procent. Po imprezie podszedł do mnie operator i tak mi powiedział, że on dużo jeździ i filmuje, ale jeszcze nigdy *ni mioł mokrych majtek,* a tu mu się to zdarzyło. Dla mnie to była radość, że się tak podobało, no i ten korowód trwa do dziś dnia. Organizuje go Dom Kultury, jest coraz bardziej rozbudowany, bo coraz to coś nowego dodają, przeróżne pojazdy i postaci. Ja brała udział zawsze jako lekarz, ale w 1987 r. rozchorowałam się. Miałam *barz* ostry zawał, cudem mnie lekarze uratowały, no i od tej pory już nie biorę w niczym udziału. Dla mnie to *barz* smutne, ale zawsze jestem na każdej imprezie, co jest związana z naszą kulturą. No i z Zespołu też odeszłam.

Zapraszano mnie do radia, przeważnie w okresie świąt Bożego Narodzenia, aby opowiadać o przygotowaniu i obrzędach, jak to dawniej bywało. *Barz* mnie to cieszyło, bo tak *se* pomyślałam, że dzięki radiu cała Polska usłyszy o tej naszej pięknej kulturze, przeróżnych zwyczajach związanych z tą kulturą. Zapraszały mnie też szkoły podstawowe. Muszę wam powiedzieć, że to były *barz* interesujące spotkania. Ja się od tych dzieci dużo dowiedziała, bo dzieci, ale już starsze, opowiadały, że im Babcia mówiła o zwyczajach w ich domach. To były *barz* ciekawe wypowiedzi, bo z opowiadań dzieci wynikało, że w każdym domu jest odrobinę inny zwyczaj. Niby taki sam, ale trochę inny. Zapraszały mnie też szkoły z innych wiosek, jak Brzezna, Gostwica, Mokra Wieś. *Barz* te spotkania lubiłam, *barz* chętnie korzystałam z zaproszeń. *Barz*

dużo młodzieży akademickiej z Krakowa przychodziło do mnie na wywiady. W pierwszych latach to te wywiady trwały parę godzin, bo zapisywali se informacje. Później, jak już można było nagrywać, to szło szybciej. Trzy panie z tytułem magistra przyszły mi podziękować z kwiatami, bo one pisały prace na temat folkloru, nie tylko podegrodzkiego, ale z różnych regionów Polski. Byłam *barz* zadowolona, że te prace tak pięknie obroniły, zadowolenie było obopólne. No ale mnie przybywało latek, a przecież do każdego takiego spotkania musiałam się przygotować.

Pani dyrektor przedszkola „Jaś i Małgosia" w Nowym Sączu zapraszała mnie, żeby wraz z dziećmi pośpiewać. To było cudowne, bawić się z tymi dziećmi, które nazywały mnie babcią i każde chciało mi coś opowiedzieć. Serce się radowało, bo choć mnie nie dane było mieć dzieci, ale tak bardzo kocham i dzieci, i młodzież, bo dzieci nie kłamią, mówią to, co myślą. Do tej pory z panią Dyrektor przyjaźnimy się. Zapraszały mnie różne zespoły: Zespół Lachy, Sądeczoki. Prosiły o pomoc w organizowaniu szopki bożonarodzeniowej, bo tam były postacie w strojach podegrodzkich. To było ważne i potrzebne, żeby każdą postać ubrać w odpowiedni strój. Szopka ta była przed ratuszem w Nowym Sączu. *Barz* dużo w tym pomagał ksiądz z Przemienienia Pańskiego [parafia św. Małgorzaty], który też prowadził zespół młodzieżowy. Ze wszystkimi tymi osobami mam kontakt, to podnosi radość życia, z kilkoma osobami z zagranicy, gdzie byłam z zespołem do dziś utrzymuję kontakty listowne. Tylko że mam kłopoty z językiem, muszę prosić osobę co zna niemiecki czy angielski, żeby mi te listy tłumaczyła. Ja piszę *pło nasemu*, a oni niech się tym trapią, żeby im kto odczytał.

Miałam koleżankę Helę Ciągłówną z Kątów, która dawno zmarła, ale jej najmłodsza córka Basia z domu Kwokówna, często mnie odwiedza i zawsze mi przynosi kwiatki, jakie o tej porze roku kwitną: żabie oczka, kaczeńce, jesienne wrzosy. Na święta Bożego Narodzenia stroik z jodły, na Matkę Boską Zielną piękny bukiet z ziół. Mam łzy w oczach.

Po tej chorobie pomyślałam, że trza zrezygnować z przewodniczącej Koła Gospodyń. A że w Kole był zastępca, to zwołałam zebranie i powiedziałam, o co chodzi, i zrzekłam się tego przewodnictwa. Myślałam, że w Kole jest dużo młodych, to poprowadzą to lepiej ode mnie. *Barz* się pomyliłam, w przeciągu dwóch lat koło się rozleciało, tak jak śprychy u koła starego wozu. To tak boli. To takie Stadła, które nigdy nic nie robiły, były taką zakamuflowaną wsią, może dlatego, że w połowie wsi to byli Niemcy,

teraz tak pięknie się zorganizowały. Mają koło Gospodyń Wiejskich cudownie pracujące, stroje sobie *posprawiały*, organizują rozmaite imprezy, nawet w Domu Kultury wystawiły sztukę. Wszędzie są zapraszane jako Koło, czy wiecie, jak mnie to boli, żeby taka wieś jak Podegrodzie nie miała Koła Gospodyń. Zawsze takie wspólne spotkania *barz* dużo dawały, na tych zebraniach tyle można było skorzystać, każda miała *cosik* do opowiedzenia, można się było poskarżyć, bo w życiu jest rozmaicie. Dzieliło się radości i smutki, jak my mogły i umiały, to my se pomagały, doradzały, no a teraz cicho. Ale to jest okropne lenistwo, to ino trza chcieć i musi się udać. No ale teraz te spotkania zastąpił telewizor, a najwięcej to te komórki. Baby te komórki noszą nawet do kościoła, do ustępu chyba też, no i nie jestem pewna, czy jak jej w drodze do ustępu komórka da znać, to musi odebrać. No to nie wiem, czy doleci w porę i zrobi co mo zrobić w ustępie a nie po drodze. *Jak se tak teros płomyślo, co się płorobiuło. Kobiyty zatraciuły swoją godnoś, chodzą na poł nagie. Jak jus tak chcą się wietrzyć, to niech idą nad Donajec, a nie do kościoła cy na ulico. Kora Błosko z tymi babomi. Piyrwy jakby chłodok za kłolono chyciuł, to się musioł doś natropić, a teroz chłodoki mają wygodo, bło nie musą się ło nic starać, bło przecios teroz dziopy lecą za chłodokomi i dziopy się zalycają chłodokom.* Bilet mu na zabawę kupi, piwo, a nawet cosi mocnego postawi, dla mnie to jest niepojęte. Co się to porobiło teraz na tym Bożym świecie.

Choć mogę se powspominać te cudowne chwile w moim życiu, to muszę powiedzieć, że były też smutki. To nie jest tak, że jak się patrzy na rodziny, to się wydaje, że u nich jest *barz* dobrze, ale to ino się tak wydaje, bo każdy ma *cosik*, co go trapi. U nas też my przeżywały rozmaite strapienia i cierpienia, choroby i śmierci w rodzinie *barz* bliskich nam osób. Tak *barz* wielkie przeżycie, jak w czasie okupacji został aresztowany przez Niemców nasz stryj, brat Taty, Bodziony Władysław Kubala. Był wywieziony do obozu. Tam był do końca wojny, jakim cudem ocalał, to tego nie powiem, bo nie wiem. Jak Niemcy odeszły, ktoś dał nam znać, że stryk siedzi w domu koło zamku. To Tata ze Stryjną pojechały po niego, ale żadne go nie poznało, ani Tata, ani *Stryno*. Dopiero Stryk zawołał: „to ty Ludwiś". Tak wyglądał jak kościotrup, powybijane zęby, jeden policzek i na całym ciele obozowe znaki. Był w Dachau i Gross-Rosen. Jak przywieźli Stryka do chołpy, to zaraz przyleciał nasz proboszcz ks. Młynarczyk i tak do Stryka powiedział, żeby *Stryno* nic mu nie dawała do jedzenia, bo on mu będzie przynosił, i też tak robił. Trzy razy na dzień przynosił Stryjkowi jedzenie o jednej godzinie, i tak przez dwa miesią-

ce. No ale on miał dwa fakultety, bo nim poszedł na księdza, to już skończył medycynę, to też wiedział, jak Stryka odżywiać. I *Stryk* pomału przychodził do siebie. Tak się cieszył, że żyje, jak nowo narodzone dziecko. Ta uciecha nie trwała długo, dwa lata, dostał zapalenia płuc, a że organizm był wycieńczony, nie wytrzymał, zmarł. Ale jak Niemcy zabrały *Stryka*, Tata tak to przeżył, że rozchorował się na serce. *Wielo my sie łobecały wroz z Mamom, zeby nom ino nie umar, bło by my se nie płoradziuły bez Taty.* Ale był u nas taki lekarz, pan Chrząstrzewski. Ludzie gadali, że on jest lekarzem w partyzantce, gdzie był. On Tatę leczył po kryjomu, *zeby sie nikto nie dowiedzioł*, a najgorzej Niemcy. No ale Tata już do końca życia miał te ataki sercowe. Jak na te czasy, jak ludzie niektórzy żyją długo, to Tata jeszcze nie taki stary umarł, miał 66 lat. *Ale reśta musi zyć dali.* Każda śmierć bliskich jest przeżyciem, ale śmierć Mamy, to jest zdawało się nie do przeżycia, *bło Matcyne serce jes tak cułe, ze swojomu dziecku, choć by był najgorsom wyrzutkiom, Matka przebocy, bło to jes jyj dziecko.* Dla mnie Mama do dziś jest najważniejsza i jak tylko skrzypną drzwi na *boisku*, to się mi widzi, że Mama idzie, bo tak przychodziła do nas. A Piotr, mój mąż, przyjdzie i powie: *„Broniu, Mama idzie do nos, to tu co przyryktuj dla Mamy"*. Mój mąż Piotr tak bardzo szanował Mamę, że do mnie powiedział, że ta nasza Mama to już tu na ziemi jest świętą. Mama miała otwarte serce dla wszystkich. Koło naszego domu było przedszkole, to Mama z tymi dziećmi gadała i wyobraźcie sobie, czy może być coś bardziej pięknego, że jak Mama umarła i spoczywała w trumnie, to dzieci z przedszkola przyszły z kwiatuszkami pożegnać babcię. Bo do Mamy wszystkie dzieci gadały Babciu. Przedszkole było koło naszego domu, to na co dzień dzieci miały kontakt z Mamą. Mój ogród graniczył z przedszkolem, a blisko siatki rosły w nim poziomki. W któryś dzień przychodzi mąż do domu i gada: *„Broniu nie wychodź teroz na łogród. Chłodź do łokna i patrz, jaki piykny łobrozek. Mama zbiyro poziomki i podaje dzieciom na rącki przez otwory w siotce"*. To tylko trza było sfilmować, bo nie wiem, jakiemu malarzowi udałoby się odtworzyć taki obrazek.

Choć jestom sama, ale nie samotna. Mogę się pochwalić, że mam tylu przyjaciół, co *barz* cieszy. Wymienię tylko, jak dużo się nauczyłam od takich osób, jak pani Magdalena Kroh, pan Antoni Malczak – dyrektor Sokoła w Nowym Sączu, pan Benedykt Kafel. Ci ludzie mają serca na dłoni i umią to innym przekazać.Trzeba tylko dobrze odebrać – warto. Starałam się żyć w zgodzie z ludźmi tej naszej pięknej kultury i na tyle, ile o niej wiedziałam, to przekazywać.

Sąsiadów mam cudownych, wspomnę tylko Krzysztofa Bodzionego Kubaloka. Nie dlatego, że to jest moja rodzina, ja z ojcem Krzyśka *byli my* kuzynami, to *jo lo Krzyśka przychłodzo ciotka, bło jo z domu tys jes Kubalonka.* Cudownie by było, żeby takie rodziny były wszędzie. Krzysztof jest mądrym synem, mężem i ojcem, tak *barz* szanuje swoją Mamę. Darzy szacunkiem żonę, dla dzieci poświęca tyle czasu, na ile mu pozwalają obowiązki zawodowe i społeczne. Ma czas usiąść z dziećmi, porozmawiać, pograć w piłkę, ale też wymaga, aby dzieci wypełniały swoje obowiązki. Syn Kubuś *barz* lubi zwierzaki, to dla niego chowa suczkę, żeby były małe pieski. Jak Kuba wracał ze szkoły, to nie wchodził do domu, ale z tornistrem leciał do piesków i dawał im mleko, którego nie wypijał w szkole. Teraz chowa króliki, a obowiązkiem Kubusia jest przynoszenie im trawy i karmienie ich. Krzysztof jest wspaniałym dyrektorem Domu Kultury, dobrym organizatorem. On chyba mało śpi w nocy, ino myśli co by jeszcze w tej kulturze zrobić. Nie jest zarozumiały, jak co nie wie dokładnie w sprawie zwyczaju czy obrzędu, czy ubioru, to woła: „*ciotko, chodź do płotu*" i o wszystko pyta, a jo na ile o tym wiem, to mu opowiadam. Ja go podziwiam. Dawniej starsi ludzie o takich gadali, żeby takie ludzie na kamieniu się rodziły.

Tak wiele jeszcze mogłabym opowiedzieć, ale po ciężkiej chorobie (udar mózgu) boję się, żebym czego nie poknociła, bo ja trzy *tyźnie* była nieobecna na tym świecie, choć Bogu dzięki nie zostawiła ta choroba *jakisik znaków*, to wolę być ostrożna. *To com Wom łopłowiedziała, może sie komusik na cosik przydać.* To co opisałam, to tylko mała kropla w morzu, co przez ten długi czas mojego życia przeszłam. W tej chwili mam 91 lat, ale czuję tak, jakby ktoś drzwi otwarł i zamknął. Tak to przeleciało.

Mortwio się tylkło tym, cy to moje długie życie wykorzystałam dobrze, ale przecioz nik nie jes tak doskonały, ze wszystkło robi dobrze. Cegło nie zrobiułam a płowinnam zrobić, to mi Bóg i ludzie wybocą.

Do druku przygotowała Magdalena Kroh

Redakcja „Almanachu Sądeckiego" serdecznie dziękuje Panu Dr. Zenonowi Szewczykowi za konsultację w zakresie gwary podegrodzkiej. Bardzo dziękujemy również Pani Zofii Buczek za przepisanie obu części wspomnień z rękopisu.

Leszek Migrała

HISTORYJKI BESKIDZKIE

Na wzgórzu Baszta

Na wzgórzu Baszta górującym nad Muszyną, zwanym też Zamczyskiem, do dnia dzisiejszego widnieją szczątki grodu. Za czasów piastowskich w XI w. stał tu niewielki drewniany gródek, na miejscu którego z czasem wyrósł murowany zamek. Został on wzniesiony według tradycji w 1301 r. z fundacji królewskiej, stając się następnie własnością biskupią. Zamek uległ zniszczeniu w 1474 r. podczas wojny Kazimierza Jagiellończyka z królem węgierskim Maciejem Korwinem. Odbudowany w XVI w. stanowił siedzibę starostów muszyńskich i miejsce pobytu harników – zbrojnej straży, której zadaniem było m.in. zwalczanie zbójnictwa na terenach przygranicznych. Zamek opuszczony

Pocztówka ze zbiorów Muzeum Okręgowego w Nowym Sączu

pod koniec XVIII w. popadł w ruinę, penetrowaną przez archeologów dopiero w latach 60. i 70. XX stulecia.

Chociaż świetność tej budowli należy do odległej przeszłości, to jednak odwiedziny wzgórza Baszta i dzisiaj mogą przywrócić w wyobraźni obrazy sprzed wieków, tym łatwiej, jeśli odwołamy się do legendy. Jedna z nich, nawiązując do znajdującej się na Popradzie pod zamkiem głębi opowiada, że tutaj właśnie kupiec Amadej rozbił się na skałach, płynąc z transportem wina i beczką złotych dukatów. Chytry handlarz chciał ukryć dukaty, dlatego płynął nocą, jednakże panna wodna osłabiła jego czujność i spowodowała katastrofę. Beczki popękały, dukaty rozsypały się jak złoty deszcz. Legenda głosi, że Amadej co rok wraca pod skałę, jęczy i w blasku księżyca szuka swoich pieniędzy. Sięga dna rękami i wyrzuca zdobycz na brzeg, niestety ku jego rozpaczy są to tylko kamienie. Nieszczęsny człek trawiony chciwością przez całe wieki wybrał głębię olbrzymią, którą współcześnie z racji nieprzeniknionej czeluści nazwano „Czarnym Wirem".

Państwo muszyńskie

Muszyna znalazła się w sferze zainteresowań biskupstwa krakowskiego w końcu XIII w. Powodem tego był testament Wysza – scholastyka krakowskiego – przekazujący tę miejscowość biskupowi krakowskiemu Pawłowi z Przemankowa. Donacja ta jednak nie od razu została zrealizowana. Stało się tak z powodu zakwestionowania zapisu testamentowego przez krewnych scholastyka, co przeciągnęło całą sprawę do 23 maja 1288 r., to jest do czasu zawarcia przez zainteresowane strony układu majątkowego, na mocy którego Muszyna (a także Świniarsko) potwierdzona została biskupstwu krakowskiemu.

Pierwszy okres przynależności Muszyny do dóbr kościelnych skończył się dość wcześnie, bo już na początku XIV w., co wiąże się najczęściej z buntem wójta krakowskiego Alberta, skierowanym przeciwko Władysławowi Łokietkowi. Poparcie tego buntu przez biskupa Jana Muskatę doprowadziło do odebrania Muszyny jej dotychczasowemu właścicielowi i włączenia południowej części Sądecczyzny do majętności królewskich. Stan ten nie utrzymał się długo. Ponowne przejęcie Muszyny wraz z należącymi do niej wsiami przez biskupstwo krakowskie na-

Pocztówka ze zbiorów Muzeum Okręgowego w Nowym Sączu

stąpiło 30 lipca 1391 r., będąc wynikiem kolejnego nadania, tym razem królewskiego – Władysława Jagiełły – na rzecz biskupa krakowskiego Jana Radlicy.

Tzw. biskupie państwo muszyńskie (klucz muszyński) zajmowało rozległy kompleks dóbr, liczący blisko 450 km^2, zarządzany przez starostę, który dla skutecznego wypełniania swoich funkcji dysponował miejscową siłą zbrojną, harnikami. W okresie staropolskim dobra muszyńskie zasiedlone zostały w dwóch fazach kolonizacji – w XIV w. przeprowadzono tutaj kolonizację polsko-niemiecką, a w wiekach XVI i XVII wołoską. Pomyślnie przeprowadzona akcja osadnicza spowodowała, że w 1581 r. państwo muszyńskie obejmowało 12 wsi i 1 miasto; w roku 1629: 28 wsi i 2 miasta; w drugiej połowie XVII w.: 35 wsi i 2 miasta (Muszynę i Tylicz). Dodajmy, że dobra muszyńskie jako własność kościelna przetrwały do 1781 r., czyli do kasaty na rzecz skarbu austriackiego, w wyniku której przejęte zostały przez tzw. fundusz religijny. Oznaczało to, że dostarczane przez nie dochody przeznaczane nadal będą na potrzeby kultu religijnego z tą jednak zasadniczą różnicą, że odtąd nie z dyspozycji władzy kościelnej, ale państwowej.

Podkarpackie potyczki Kazimierza Pułaskiego

Bez względu na ambiwalentną ocenę konfederacji barskiej przez historyków, warto wiedzieć, iż ten zbrojny związek szlachty skierowany przeciwko Rosji, a także królowi Stanisławowi Augustowi Poniatowskiemu, na terenach Podkarpacia przybrał dość intensywny charakter. Przypomnienie działalności konfederatów barskich jest tym bardziej godne uwagi, iż w 1769 i 1770 r. na Sądecczyźnie i Podhalu, a przede wszystkim na terenie Beskidu Niskiego, działał skutecznie Kazimierz Pułaski, wykazując się w swoich poczynaniach wojskowych energią i talentami militarnymi znamionującymi nieprzeciętnego dowódcę.

Andrzej Wasiak – badacz dziejów konfederacji barskiej – w kontekście roku 1770 wielokrotnie wzmiankuje w swoich pracach historycznych wyczyny wojskowe Pułaskiego. Relacjonując działalność militarną

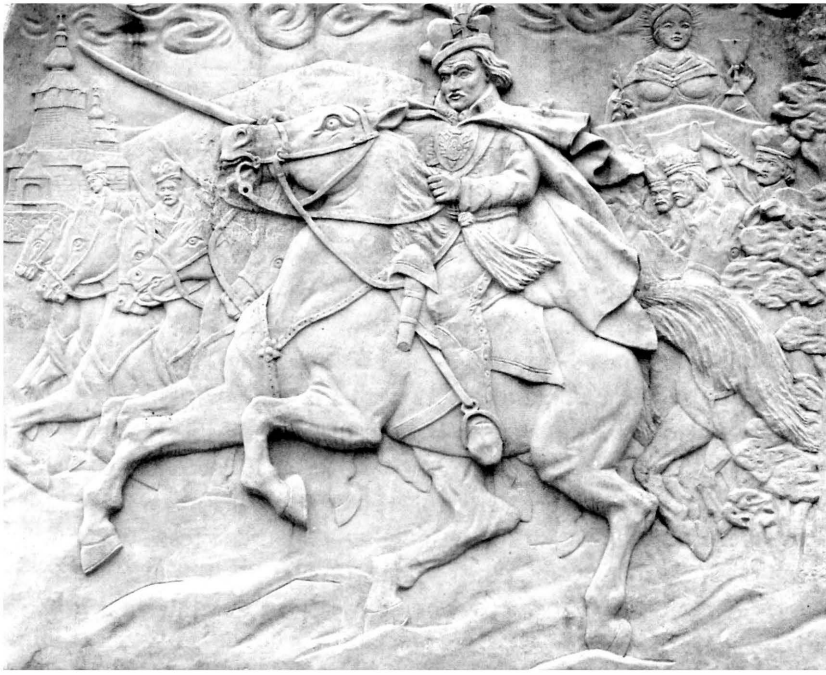

Kazimierz Pułaski – wizerunek na pomniku w Tyliczu

marszałka łomżyńskiego na interesującym nas terenie, wskazuje na dzień 5 kwietnia, kiedy to postępujący w myśl intencji Pułaskiego Ignacy Kirkor stoczył zwycięską walkę z Rosjanami dowodzonymi przez podpułkownika Jełczanina. W tydzień później w roli głównej widzimy samego Pułaskiego, który spiesząc z odsieczą Józefowi Miączyńskiemu, zadał wrażemu wojsku porażkę kosztującą 300 zabitych i 211 wziętych do niewoli żołnierzy.

Na podobną skalę zwycięskie starcie z oddziałami rosyjskimi stoczył marszałek łomżyński wespół z dwoma innymi jeszcze regimentarzami konfederackimi w połowie maja pod Dębowcem niedaleko Pilzna. Mniej szczęścia miał Kazimierz Pułaski w walce z pułkownikiem Iwanem Drewiczem, który 3–4 sierpnia po walce w okolicach Izb i Wysowej zmusił konfederatów do wycofania się na terytorium austriackie. Pamiętając o tym, za mało adekwatny do rzeczywistości uznać należy znany żart, według którego Drewicz miał być autorem słów: „Od Biecza do Tylicza wszędzie pełno Drewicza", które spotkały się z odpowiedzią konfederatów: „Między Bieczem a Tyliczem koniec będzie z Drewiczem".

Przygoda prof. Hacqueta

O tym, że źródła krynickie zawierają wodę o właściwościach leczniczych wiedziano dużo wcześniej aniżeli wzmiankowały ten fakt prace jezuity Gabriela Rzączyńskiego, napisane w pierwszej połowie XVIII w. Całkowitą pewność co do tej sprawy uzyskano pod koniec tego stulecia, kiedy to Baltazar Hacquet, profesor Uniwersytetu Lwowskiego i radca górniczy rządu, dwukrotnie przeprowadził analizę chemiczną źródeł krynickich, potwierdzając w pełni zasadność wcześniejszych domysłów.

Pionierskie badania prof. Hacqueta z punktu widzenia rozwoju Krynicy zalicza się do wydarzeń ważnych, które na pozór tylko pozbawione były ekscytującej otoczki. W rzeczywistości rzecz cała przedstawiała się dość ciekawie, a powodem tego było pewne nieoczekiwane zdarzenie, które na początku przynajmniej musiało wywołać dreszcz niepokoju u uczonego chemika ze Lwowa.

Rzecz w tym, że po przybyciu prof. Hacqueta do dzikiej doliny, jaką była wówczas Krynica, najpilniejszą sprawą, o którą trzeba było się zatroszczyć

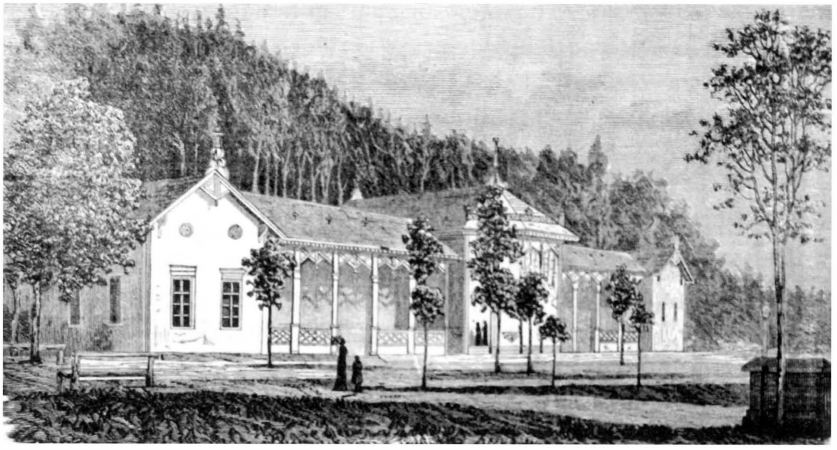

Rys. z książki F. Kmietowicz, Przewodnik dla Gości udających się do Krynicy, Kraków 1899, s. 31

stała się kwestia zbudowania jakiegoś prowizorycznego dachu nad głową, umożliwiającego przeprowadzenie badań wody bijącej z ocembrowanych źródeł. Skonstruowanie prymitywnego szałasu, który posłużyć miał za laboratorium chemiczne, nie mogło nastręczyć trudności, tym bardziej, że uczonemu lwowskiemu pomogli w tej pracy miejscowi Łemkowie zwabieni wizytą niezwykłego gościa. Prawdziwe kłopoty profesora pojawiły się nieco później, w trakcie doświadczeń chemicznych. Jak pisze Stanisław Pagaczewski: „Oto dwaj Łemkowie, widząc, iż źródlana woda [...] zmienia swój kolor, mętnieje lub, przeciwnie, odzyskuje swą przeźroczystość – zajęli wobec uczonego groźną postawę w przekonaniu, że mają do czynienia z czarownikiem. Szalejące w okolicy burze z piorunami, które wyrządziły wiele szkód w gospodarstwach, stanowiły dla nich dodatkowy argument przemawiający na niekorzyść podejrzanego przybysza".

Szczęściem dla prof. Hacqueta trzeci z towarzyszących mu Łemków wykazał więcej zaufania i szacunku dla jego naukowych badań, odstępując od niewróżących niczego dobrego poczynań. Skorzystały na tym (jak należy się domyślać) nie tylko plecy profesora, ale przede wszystkim sama Krynica, która uzyskała potwierdzenie – niedokładne wprawdzie, ale jednak – leczniczych właściwości swoich wód.

Odkrycie i zabawy Medweckiego

Początki Żegiestowa sięgają 1575 r., kiedy to biskup krakowski Franciszek Krasiński (współtwórca unii lubelskiej) wydał niejakiemu Hawryle Jurance przywilej założenia nad Popradem wsi na „surowym korzeniu". Przypadek zrządził, że prawie 300 lat później, w 1846 r., obywatel Muszyny Ignacy Medwecki, piszący się z węgierska „Medveczky", poszukując w okolicach Żegiestowa rudy żelaza, dokonał nieoczekiwanego dla siebie, ale ważnego dla przyszłości odkrycia, a mianowicie odnalazł w potoku Szczawnik źródło wody mineralnej, któremu niebawem na cześć swojej żony nadał imię „Anna".

Ignacy Medwecki okazał się człowiekiem przedsiębiorczym. Dostrzegając szansę na utworzenie nad Popradem zdrojowiska, wykupił źródło od miejscowych chłopów, a następnie poczynił niezbędne inwestycje kąpielowe. Dzięki tej zapobiegliwości do skromnej, kameralnie położonej miejscowości przybywało stopniowo coraz więcej gości, choć nigdy nie było to towarzystwo zbyt liczne, a prawie zawsze o wiele mniej dystyngowane

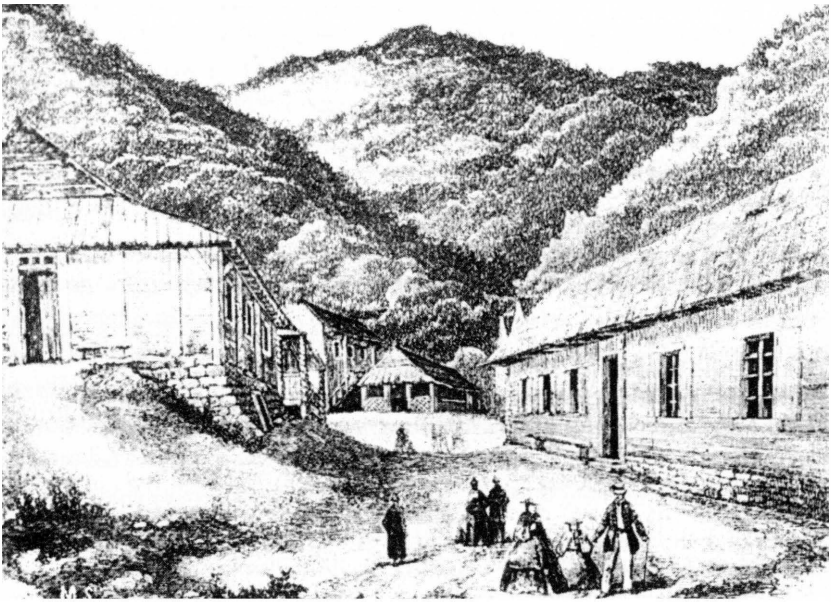

Pierwszy zakład zdrojowy w Żegiestowie.
Rys. J. Łepkowski – „Tygodnik Ilustrowany", 26 IV 1862

niż w niedalekiej Krynicy. Atutem głównym ówczesnego Żegiestowa nie była liczba pokoi i kabin łazienkowych z kąpielami mineralnymi i okładami borowinowymi, ale niepowtarzalna atmosfera romantycznego kurortu, w którym łatwo nawiązywały się nici niewymuszonej znajomości i pewnej familiarności, czemu sprzyjała niezwykła otwartość, towarzyskość i pogoda ducha właściciela zdroju.

Przymioty charakteru i czas spędzony w towarzystwie Medweckiego przypadły do gustu m.in. Bronisławowi Babelowi, który swoje obserwacje z Żegiestowa opisał następująco: „Przybywano zwykle z Krynicy do Żegiestowa przed obiadem. Tu gościnny i ujmujący gospodarz Ignacy Medveczky podejmował gości przybyłych, częstując ich przede wszystkim u źródła wodą mineralną tamtejszą z winem. [...] Bawiono się zwykle ochoczo dosyć długo, a zdarzało się często, iż przybyli goście kryniccy, rozbawieni i ujęci gościnnością starego gospodarza, dopiero na drugi dzień, i to dość późno, wracali do Krynicy... Gdy nadchodził czas odjazdu z Żegiestowa, siadano na wózki góralskie przy dźwiękach kapeli cygańskiej – a stary Medweczky obchodził wszystkich z dużą butelką wina węgierskiego, przepijając strzemiennego, szczególniej w ręce pięknych pań".

XIX-wieczna eksploracja Beskidu

Na przełomie XVIII i XIX w. w Galicja nie nęciła zbytnio podróżników polskich, których pod względem eksploracji badawczej i turystycznej tych terenów wyprzedzali cudzoziemcy zwiedzający górzyste połacie kraju. Pierwszym Polakiem, który zdradzał poważne zainteresowanie badawcze terenami górskimi był Stanisław Staszic. Po nim ciekawsze opisy, w których mieszały się informacje z różnych dziedzin nauki zostawiali m.in. Jan Nepomucen Rostworowski, Stanisław Dunin Borkowski, Ambroży Grabowski, Żegota Pauli, Seweryn Goszczyński, a następnie, w połowie XIX w., m.in. Ludwik Zejszner – geolog, mineralog i paleontolog oraz Józef Łepkowski – historyk sztuki, archeolog i publicysta.

Dwaj ostatni eksploratorzy penetrując Beskid Sądecki nie ograniczali się do zachwytów nad beskidzką przyrodą i przymiotami góralskiego

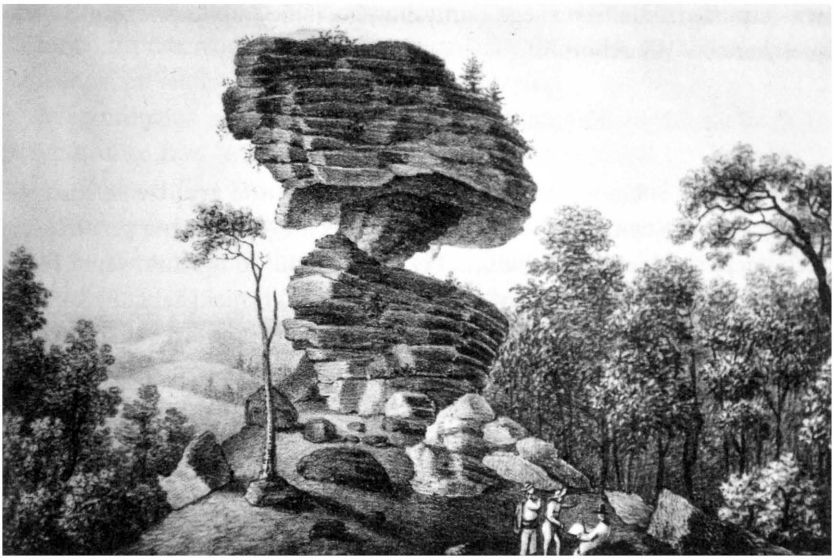

Diabelski Kamień pod Jaworzyną Krynicką *Rys. M.B. Stęczyński*

charakteru, ale odnotowywali także ujemne strony życia w górach. Negatywnym odczuciem wyrażonym przez obydwu profesorów były warunki podróży odbytej doliną Popradu na odcinku pomiędzy Piwniczną a Krynicą. Józefowi Łepkowskiemu przeprawa ta wydała się wprost dramatyczna, o czym w swojej relacji pisał następująco: „Z Piwnicznej brzegiem Popradu, gdzie nieraz krajem stromej skały wąziutka, porozrywana, osunięta pnie się drożyna. Ledwie z pomocą zacnego właściciela sołtystwa piwnicznego i zręczności najętych chłopów zdołałem się cało przeprawić, oczekując, że lada chwila rozpocznie się podróż do wieczności. Jeszcze nowe groziło niebezpieczeństwo: pod Międzybrodziem a Wierchomlą wypadało się przeprawić na drugą stronę Popradu. [...] Struchlałem na tę konieczność. Wsunięto bryczkę na czółno, a konie rozebrane puszczono do wody, trzymając im łby przy kołach. O istnieniu na świecie podobnej przeprawy i o jej pomyślnym skutku ani wyobrażenia nie miałem".

Chwile trwogi i trudy podróży nie przeszkadzały krakowskim uczonym w poczynieniu niekiedy zastanawiających spostrzeżeń. W przypadku Ludwika Zejsznera uwidaczniają się one w uwagach np. na temat karłowac-

twa – upośledzenia fizycznego i umysłowego, jakie trapiło ówcześnie wielu mieszkańców Wierchomli.

Krynickie zasługi doktora Dietla

Trudno to sobie wyobrazić, ale gdyby nie pewne zrządzenie losu nie byłoby dzisiaj Krynicy takiej jaką znamy obecnie – ze sławną przeszłością i reputacją modnego uzdrowiska. Przyzwyczajeni do ugruntowanej renomy tego kurortu zapominamy, że przed 170 laty krynicki zakład zdrojowy znajdował się w tak fatalnym stanie, iż jak odnotowano liczba gości zdrojowych spadła wówczas poniżej 150 w sezonie, a w 1847 r. wynosiła zaledwie 40 osób, głównie niezbyt bogatych Żydów. „U progu drugiej połowy XIX wieku stopień zniszczeń był już daleko posunięty. Toteż gdy w roku 1852 stwierdzono znaczne niedobory w kasie zdrojowej, władze nakazały budowle zdrojowo-kąpielowe rozebrać, materiał z nich sprzedać, a cały tutejszy zakład zdrojowy raz na zawsze usunąć".

To, że tak się nie stało, Krynica może zawdzięczać kilku zaledwie osobom, przede wszystkim Józefowi Dietlowi, jednemu z największych lekarzy

Pomnik Józefa Dietla w Krynicy *Fot. L. Migrała*

polskich, a także (czego dowiodą dobitnie lata 50. i 60. XIX stulecia) niezłomnemu przeciwnikowi kursu germanizacyjnego, tak na Uniwersytecie Jagiellońskim jak i w całym szkolnictwie galicyjskim.

Wspominając sławnego lekarza i uczonego krakowskiego, wypada przypomnieć tzw. „wiekopomną" komisję, na czele której Józef Dietl stanął w październiku 1856 r. Należy zaznaczyć, iż zasługą tej komisji i osobistą dr. Dietla było nie tylko właściwe określenie potrzeb zakładu uzdrowiskowego i wnioskowanie jego dalszej rozbudowy, ale przede wszystkim przekonanie przedstawicieli zamożniejszych sfer polskich, że inwestowanie w Krynicy jest obowiązkiem narodowym i czynem o znamionach patriotycznych.

Należy też nadmienić, że dr Dietl osobiście angażował się w badanie właściwości leczniczych wód krynickich i – jak byśmy dzisiaj powiedzieli – promocję kurortu, co wyraziło się m.in. w kierowaniu przezeń do zdrojowiska od początku lat 50. jego licznych pacjentów, którzy darzyli uznanego lekarza dużym i w pełni zasłużonym zaufaniem.

Nieudane wywczasy w roku 1866

Lato 1866 r. było w Krynicy wyjątkowo mokre. Deszczowy lipiec uprzykrzał pobyt gościom, wśród których znajdowały się osoby tej miary co Helena Modrzejewska i Józef Ignacy Kraszewski, wówczas mieszkaniec Drezna, bezskutecznie starający się o możliwość stałego pobytu w Galicji. Ponura aura i niepomyślna sytuacja polityczna spowodowana toczącą się właśnie wojną austriacko-pruską nie sprzyjały zanadto planom kuracyjnym, a dla niezwykle czynnej natury Kraszewskiego stawały się wręcz nieznośne.

Przygnębiony i rozczarowany pisał: „Pobyt w Krynicy znużył mnie raczej, niż odświeżył. Brak zajęcia zwykłego, nałogowego, już człowieka dziwnie nęka i niecierpliwi; nie jest to wypoczynek, ale próba ciężka, a niewątpliwe godziny życia przy wodach i klasztorne życie hotelu są nie miłe przywykłemu do swobody. Wszakże gdyby nie ta brzydka pora, która niewolę wszelkiego rodzaju zwiększyła, byłoby o wiele znośniej. Mnie dla zdrowia więcej potrzeba było podróży, ruchu, zajęcia niż zimnej na czczo wody, której strawić nie mogę, choć mało piję..."

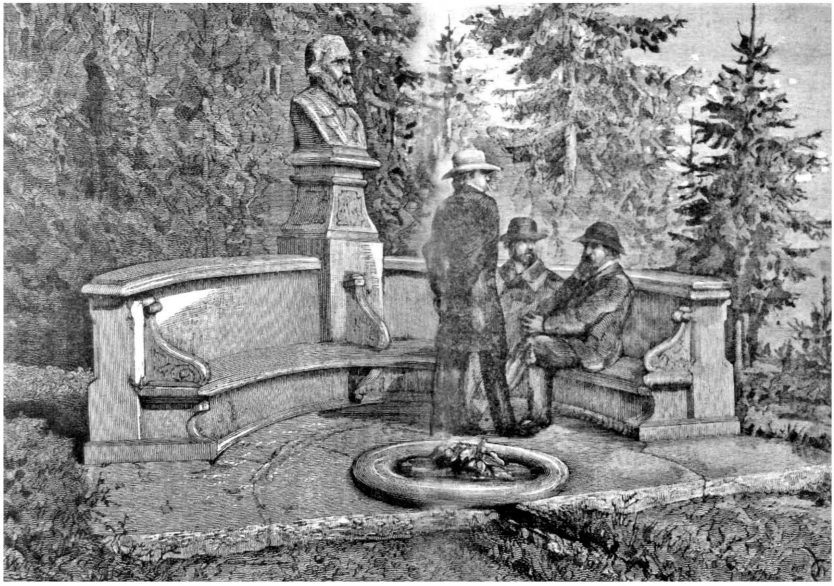

Ławka Józefa Ignacego Kraszewskiego
Rys. z książki B. Babel, Wspomnienia z Krynicy, Nowy Sącz 1896

Stan fizycznej bezczynności był Kraszewskiemu przykry, co nie znaczy jednak, że odebrał pisarzowi łatwość i potrzebę tworzenia. W korespondencji datowanej na 15 lipca Kraszewski z rozbrajającą szczerością stwierdzał: „Mimo, że zupełnie nic nie robię, napisałem 5-aktowy dramat, który przepisuję. Jeśli siły teatru lwowskiego poznam lepiej, to go tam grać będę". I zagrał rzeczywiście. Wspominający o tym wydarzeniu Stanisław Pagaczewski wyjaśnia, że dramat ten pt. *Równy wojewodzie* wystawiony był na scenie lwowskiej jeszcze w tym samym roku, ogłoszony zaś drukiem w roku 1868 zawierał informację: „Krynica, 5–9 lipca 1866 r."

Nieudane wywczasy Kraszewskiego wzbogaciły literaturę polska o jeszcze jedno dzieło, a mianowicie o powieść obyczajową pt. *Wielki nieznajomy*, która wyszła spod pióra pisarza w 1871 r. Pierwodruk tej powieści, która jest reminiscencją pobytu w Krynicy, ukazał się w „Tygodniku Miód i Nowości" w latach 1871–1872. Wydania książkowego doczekała się ona jednak dopiero w 1988 r.

Hugon Nitribitt i sławne kołaczyki

Nitribittowie to jedna z najważniejszych familii w historii Krynicy. Wystarczy przypomnieć, że już w 1860 r. Hugon Nitribitt, „płomiennowłosy Irlandczyk przybyły do Krynicy z Wiednia", był założycielem w tej miejscowości stałej apteki, która mieściła się w willi „Krakus", co dla wzrastającego w połowie XIX w. zdrojowiska miało niebagatelne znaczenie, tym bardziej, że apteka ta była nie tylko miejscem sprzedaży lekarstw (tudzież wód mineralnych krajowych i zagranicznych), ale mieściła swego rodzaju laboratorium farmaceutyczne, w którym jej długoletni właściciel wypreparował pastylki zdrojowe, tzw. kołaczyki mineralne, przyrządzane przez siebie na wzór pastylek z Ems i Gleichelbergu, a nadto uzyskiwał olejek balsamiczny, tzw. olejek krynicki, będący wyciągiem z młodych wypustek świerkowych.

KOŁACZYKI KRYNICKIE

(Pastilles de Krynica).

Z treści stałych składników czczawy krynickiej wyrabiam kołaczyki (*pastilles*) podług rozkazu przez Komisyję Balneologiczną byłego Towarzystwa Naukowego krakowskiego podanych, które tak ze względu na własności lecznicze jak i na smak przyjemny (podobne do pastylek: Vichy, Julin lub Gleichenberg) bardzo się korzystnie odznaczają. (Zobacz „Dr. Kisch: *Jahrbuch für Balneologie.* Wien 1873.")

Woda krynicka jako środek wzmacniający składa się przeważnie z wapna i żelaza, słusznie więc zastosowanie znajduje:

1) w długotrwałym nieżycie żołądka lub jelit, osobliwie gdy wspomnione cierpienia połączono są z chroniczną biegunką;

2) w katarach pęcherza moczowego lub nerek;

3) w rozlicznych postaciach choroby angielskiej i skrofulicznej u dzieci;

4) w drażliwości nerwowej, występującej z niedokrewnością lub z blednicą.

Ponieważ składniki stałe wody krynickiej w pastylkach zachowują się jako dwuwęglany, przeto użytek tychże w wyżej nazwanionych cierpieniach bywa bardzo korzystnym.

Cena jednego pudełka pastylek krynickich 65 cent.

Pastylki krynickie są do nabycia:

w Wiedniu w składach wód mineralnych Dr. Well (*Wildprettmarkt Nr. 5*), tudzież Matteni & Willo i u p. Raab Apteka pod czarnym niedźwiedziem (*Jungh. Nr. 1*).

w Pradze u Fr. Kunerle.

w Poznaniu u aptekarzy Dra Mankiewicza,

w Warszawie w aptekach Helnricha, Lilpopa i Kucharzewskiego,

w Odesie u M. Kestnera,

w Kijowie u G. Seidla,

w Żytomiorzu u C. Marcińczyka,

w Berdyczowie u Pacierkowskiego,

w Elisabethgrodzie u Goldberga,

w Lwowie u Mikolascha i u Br. Łazowskich,

w Krakowie u J. Wentzla,

w Czerniowcach u Fr. Krzyżanowskiego,

w Czortkowie u L. Kossa,

w Brzesku u W. Janczaka.

Hugo Nitribitt.
Aptekarz w Krynicy.

Ogłoszenie reklamowe

Zarówno kołaczyki mineralne, jak i olejek krynicki stały się specjalnością zdrojowiska krynickiego, a ich popularność sprawiła, że z czasem lista uzdrowisk i miast w Europie, w których można było je nabyć wydłużała się. „Kołaczyki mineralne sporządzane były wedle receptury przygotowanej wespół z chemikiem Aleksandrowiczem, sprzedawane zaś były w pudełkach z różowymi obwódkami, ozdobionymi widokiem zdroju krynickiego i herbem Galicji, sygnowane monogramem: H.N. Owe «Pastilles de Krynica» pod «powagą Komisyi Balneologicznej Krakowskiej wyrabiane» cieszyły się wielkim powodzeniem wśród kuracjuszy i nie tylko, ponieważ były szeroko reklamowane w ówczesnej prasie".

Hugon Nitribitt był w Krynicy postacią popularną. W 1883 r. wybrany został naczelnikiem gminy; prywatnie znany był ze swojego zamiłowania do teatru, które rozwijał wykorzystując liczne wizyty wybitnych aktorów i autorów sztuk teatralnych. „Hugon Nitribitt, magister farmacji, człowiek o ścisłym umyśle, przepadał za teatrem, nie opuścił bodaj żadnego przedstawienia. A dawano *Śluby panieńskie* z Modrzejewską w roli Anieli, *Zemstę*, *Zrzędność i przekorę*, *Pana Jowialskiego*". Założyciel słynnej apteki zmarł w 1898 r. Farmaceutyczną schedę przejął po nim jego syn Henryk, kontynuował znany z szerokich zainteresowań wnuk Roman.

Do wód w stylu retro

Począwszy od drugiej połowy XIX w. Krynica, zagrożono wcześniej upadkiem, z wolna ugruntowywała renomę modnego kurortu. O ile w roku 1847 do zdrojowiska przybyło zaledwie 40 letników, to już w 10 lat później liczba krynickich kuracjuszy wzrosła do 440, aby w roku 1862 sięgnąć rekordowej i przez kilka najbliższych lat niepobitej liczby 1639 gości. Wzrost frekwencji był zatem imponujący i tym bardziej godny podkreślenia, że podróż do zdrojowiska w dobie braku z nim połączenia kolejowego nie należała do naj-

Pocztówka ze zbiorów Muzeum Okręgowego w Nowym Sączu

wygodniejszych, co nie znaczy wszakże że pozbawiona była swoistego uroku. Jakąś cząstkę klimatu podróży do Krynicy w stylu retro oddaje dawny XIX-wieczny bedeker, z którego dowiadujemy się, że „Drogę do Krynicy najlepiej odbyć koleją żelazną galicyjską aż do Bochni, stąd zaś dyliżansem pocztowym podczas pory kąpielowej co dzień do samego zakładu kąpielowego przybywającym. Wyjazd z Krakowa koleją żelazną wieczorem o godzinie 8.15: w półtorej godziny dostaje się podróżny do Bochni, skąd codziennie o godzinie 11 w nocy odchodzą dwa wozy pocztowe, siedmiu podróżnym pomieszczenia dające. Przyjazd do Krynicy o godzinie 1 z południa nazajutrz".

Epokowa zmiana w komunikacji ze zdrojowiskiem nastąpiła w roku 1876 wraz z budową kolei Tarnowsko-Leluchowskiej. Linia kolejowa nie dotarła wprawdzie wtedy jeszcze do samej Krynicy (stało się to dopiero w roku 1911), ale dochodząc do pobliskiej Muszyny zbliżyła się na niewielką odległość od robiącego karierę kurortu. Pomimo tak zasadniczej zmiany warunków dojazdu do zdrojowiska, narzekania na trudy komunikacyjne dało się słyszeć nadal: „Z dworca kolejowego w Muszynie, 11 km od Krynicy oddalonego, niestety koleją żelazną ze zdrojowiskiem naszem nie połączonego, trzeba przebyć drogę powozem lub wózkiem. Nie wygnieciono jej wcale walcem żelaznym czy kamiennym, jak to się zazwyczaj praktykuje, lecz zostawiono utarcie kamieni wózkom, które ciągną gości".

Najzabawniejsze w tym wszystkim jest to, że ten wielce niewygodny dla jednych dojazd z Muszyny do Krynicy, innym jawił się jako wcale przyjemna atrakcja. Władysław Krygowski wspominając o tym przed laty oparł się zapewne na jakiejś powszechniejszej i ugruntowanej opinii, skoro w swoim przewodniku zawarł następujące zdanie: „Ówczesna turystyka, to miły spacer otwartym landem na cztery osoby do Muszyny (5 złr.) lub tylko powozem II klasy jednokonnym (2 złr.)".

Tunel w Żegiestowie

Trudne przedsięwzięcia wymagające użycia nadzwyczajnych środków technicznych i sił ludzkich zawsze wzbudzały powszechną uwagę. Wprawdzie na Sądecczyźnie nie mamy nadmiaru takich wielkich realizacji, ale, co oczywiste, nie jesteśmy też ich w zupełności pozbawieni. Niewątpliwie do najambitniejszych przedsięwzięć inżynieryjnych na naszym terenie zaliczyć

należy tunel kolejowy w Żegiestowie, powstały rychło po tym jak władze austriackie zdecydowały się w kwietniu 1873 r. podjąć budowę kolei Tarnowsko-Leluchowskiej. Wykonanie tego przedsięwzięcia powierzone zostało wówczas przedsiębiorstwu „Koeller i Gregerson", które 4 września 1873 r. podjęło prace przy drążeniu tunelu w Żegiestowie, wymagające przebijania się na odcinku ponad pół kilometra przez zbocze nad Popradem, utwardzone w tym miejscu skałami.

Pocztówka ze zbiorów Muzeum Okręgowego w Nowym Sączu

Inwestycja ta cieszyła się poparciem miejscowej ludności, która nie tylko była zainteresowana otwarciem doliny Popradu dla szerokiego świata i postępu, ale przede wszystkim zachęcona była możliwością uzyskania pewnego zarobku, jaki dawało zatrudnienie przy budowie kolei. Chętnych do pracy nie brakowało, przy czym (jak zawsze zresztą przy okazji *boomu* inwestycyjnego) „ceny artykułów pierwszej potrzeby znacznie podskoczyły, bo zarobki przy budowie były dość duże, a zajęci przy niej robotnicy z groszem się nie liczyli". Ponieważ prace przy drążeniu tunelu wymagały nietypowych umiejętności, do robót specjalistycznych zatrudniono włoskich wykonawców, sprowadzonych z Triestu, biegłych w sztuce wysadzania skał dynamitem.

Olbrzymi wysiłek i wielka praca ponoszona w trakcie budowy w latach 1873–1874 miały jednak, niestety, także swoją tragiczną stronę, jaką była śmierć ponad 120 robotników spowodowana zawałem skalnym wewnątrz tunelu. „Plan zakładał przebicie tunelu po linii prostej. W czasie robót, kiedy były już mocno zaawansowane, od tzw. strony krakowskiej zerwał się strop skalny grzebiąc 23 biedki (wozy jednokonne) oraz 120 robotni-

ków. Cały tydzień trwały próby dotarcia do zasypanych, ale ratownikom udało się wydrążyć w skale tylko niewielką niszę, która zachowała się do dziś".

Polski Semmering

Budowa linii kolei Tarnowsko-Leluchowskiej ze względu na występujące w Beskidach trudności terenowe wymagała wprowadzenia kilku ciekawych, acz niełatwych do zastosowania rozwiązań technicznych. Jednym z nich była konieczność wybudowania w Grybowie wysokiego kamiennego wiaduktu rozpiętego na siedmiu arkadach, zwanego często „polskim Semmeringiem", co nawiązywało do podobnych zastosowań inżynieryjnych wykorzystanych mniej więcej dwadzieścia lat wcześniej przy budowie pierwszego w Europie górskiego odcinka kolejowego wiodącego przez słynną przełęcz w Alpach Wschodnich.

Umiejętne pokonywanie trudności terenowych przez budowniczych dróg żelaznych było nie tylko majstersztykiem z punktu widzenia XIX-wiecznej sztuki inżynieryjnej, ale spowodowało również, że przejazdy górskimi liniami kolejowymi stały się prawdziwą atrakcją, dostarczają-

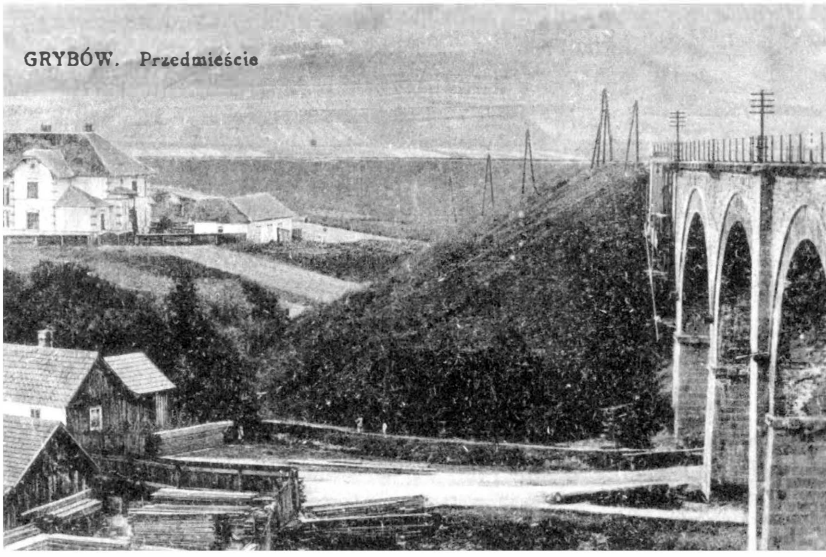

Pocztówka ze zbiorów Muzeum Okręgowego w Nowym Sączu

cą podróżnym sporych emocji, a przede wszystkim doznań estetycznych. Przejazd koleją w okolicach Grybowa wzbudził zainteresowanie m.in. krajoznawcy Henryka Müldnera, który wrażenia z podróży odbytej „żelaźnicą" w sierpniu 1876 r. opisał następująco:

„Wjechawszy w Grybów, czeka nas niespodzianka, gdyż stąd do Kamionki jest jedna z najpyszniejszych partyj całej jazdy koleją Tarnowsko-Leluchowską, tak iż bynajmniej nie przesadzimy, jeżeli to miejsce polskim Semmeringiem nazwiemy. Już na stacji przeczuwamy mimo woli, iż coś niezwykłego nastąpi, gdy spostrzegamy, jak drugą lokomotywę do pociągu zaprzęgają – istotnie mamy przebyć te góry piętrzące się przed nami, lecz nie dolinami, lecz samymi wyżynami. [...] w jednym miejscu kolej przerzyna spory pas doliny umyślnie dla toru wyciętej, następnie coraz wyżej pnąc się pod górę zatacza kabłąk i po żelaznym moście przebywa drogę bitą wiodącą do Nowego Sącza, wreszcie po ogromnych doskonale utrzymanych nasypach w półkolu dostaje się na sam szczyt góry. [...] Ciągle jadąc wyżyną, a mając po lewej śliczne daleko rozciągające się lasy szpilkowe, przybywamy do Ptaszkowy".

Ta „szalona" jazda kończyła się gdzieś na stacji w Kamionce, przy czym jej prędkość nigdzie nie przekraczała 45 km/godz. Fakt ten nie powinien nas jednak specjalnie dziwić jeśli weźmiemy pod uwagę, że nie znano wówczas hamulców automatycznych, posługując się wyłącznie ręcznymi.

Antypaństwowe ekscesy pradziadków

Śledząc historię Nowego Sącza i Sądecczyzny łatwo dojdziemy do wniosku, że jednym z barwniejszych okresów w dziejach naszego miasta jest okres autonomii galicyjskiej. Potwierdzeniem tego może być odżywająca niekiedy mitologiczna nostalgia za czasami Franciszka Józefa, mająca swe źródła najczęściej w stabilizacji gospodarczej XIX-wiecznych Austro-Węgier, a przede wszystkim w liberalnym ustroju monarchii habsburskiej, zreformowanej po klęskach poniesionych w wojnach z Francją i Prusami.

Jakkolwiek ocenialibyśmy politykę Wiednia w ostatnim półwieczu istnienia państwa austriackiego, musimy przyznać, że im bliżej końca tego wielonarodowego tworu, tym bardziej tępe stawało się ostrze represji władz wobec osób pozwalających sobie na wystąpienia antypaństwowe. Dowo-

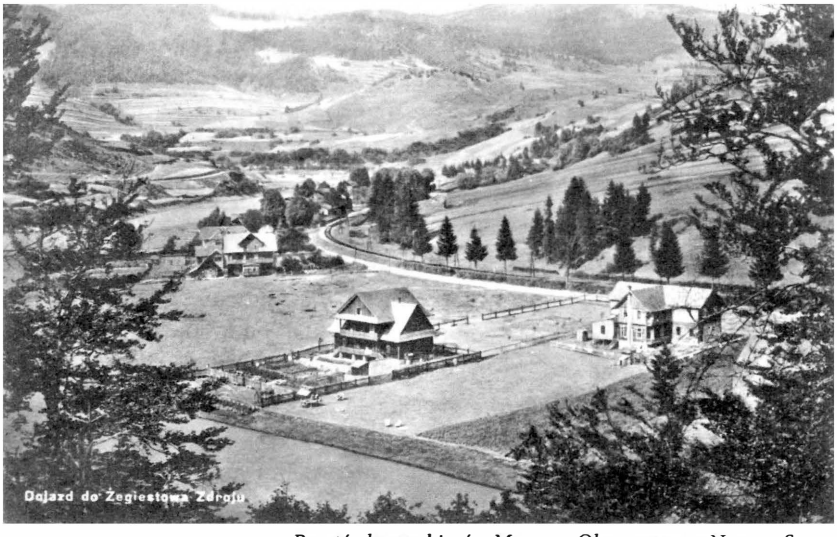

Pocztówka ze zbiorów Muzeum Okręgowego w Nowym Sączu

dem tego może być zabawna historyjka utrzymana w stylu iście szwejkowskim. Opowiada ona o tym, jak grupa oficerów przydzielona do pilnowania tunelu w Żegiestowie, zaproszona przez swego dowódcę – majora – spędziła w niezłych humorach wieczór sylwestrowy z 1915 na 1916. Jak łatwo sobie wyobrazić, ściśle męskie grono dla rozweselenia się w tak szczególnym czasie nie żałowało sobie – jak pisze Wit Kmietowicz, powołujący się na prof. Wincentego Spiechowicza – słowackiej palonki i rodzimej gorzałki. Dochodziła północ, oficerom dobrze już czupryny dymiły, gdy niejaki por. Hwilla, wstał od stołu i zbliżywszy się z kieliszkiem do portretu Najjaśniejszego Pana, wzniósł toast wyrażony krótkimi żołnierskimi słowami: – „No to cyk stara pierdoło!"

Rzecz cała nie byłaby godna wzmianki, gdyby nie ciąg dalszy tej sprawy, która z powodu służbowego meldunku wspomnianego majora znalazła swój epilog przed sądem wojskowym we Lwowie. Trybunał ten, choć wojskowy, wykazał wyczucie sytuacji. Dowodem tego fakt, że w słowach: „no cyk stara pierdoło" nie doszukał się obrazy majestatu, stwierdzając, że w pewnej odmianie ludowej gwary polskiej określenie – „no to cyk" – oznacza: „na zdrowie", „na szczęście", a „stara pierdoła" to nic innego jak „kochany dobrotliwy staruszek".

Republika Łemków w Florynce

Od połowy XIX w. na terenach Łemkowszczyzny ścierały się ze sobą dwie orientacje polityczne: staroruska (rusofilska) i ukraińska. Fakt ten komplikował sytuację społeczną na obszarze pomiędzy Osławą a Popradem, na którą z czasem nałożyła się rywalizacja wyznania greckokatolickiego z prawosławiem.

Aktywność polityczna Łemków wzrosła po upadku w 1918 r. Austro-Węgier, po odbudowie państwa polskiego i utworzeniu Czechosłowacji, w związku z państwowotwórczymi próbami podejmowanymi przez Ukraińców we Lwowie. Zmiany polityczne następujące wówczas doprowadziły do kilku inicjatyw łemkowskich, z których najgłośniejszą była próba utworzenia we wsiach powiatu sanockiego proukraińskiej Republiki Łemkowskiej (Republiki Komańczańskiej), natomiast na terenie Sądecczyzny z inicjatywy starorusinów Ruskiej Narodowej Republiki we Florynce. Poczynania działaczy łemkowskich z tej miejscowości i okolicznych wsi doprowadziły do utworzenia „rządu" z dr. Jarosławem Kaczmarczykiem na czele, który używał pieczęci z napisem „Russka Narodna Respublika".

Intencją starorusinów było przyłączenie całej Rusi Karpackiej wraz Łemkowszczyzną do Rosji. Ponieważ z uwagi na sytuację polityczną było to zupełnie nierealne, podjęli oni starania, aby Łemkowszczyznę włączyć do Czechosłowacji, czemu służyć miało m.in. spotkanie w grudniu 1918 r. w Koszycach przedstawicieli Ruskiej Narodowej Rady Łemków i Ruskiej Rady w Preszowie, na którym utworzono Karpato-Ruską Narodową Radę.

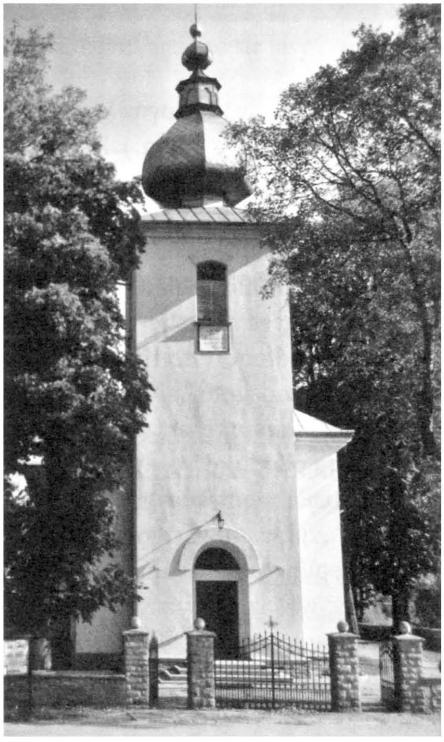

Kościół we Florynce *Fot. L. Migrała*

Ruska Narodowa Republika ze stolicą we Florynce istniała przez kilkanaście miesięcy do końca marca 1920 r. Wcześniej władze polskie obsadziły granicę południową, by zahamować ruch ludności przez Karpaty i przenikanie agitacji czechosłowackiej. Sprawę republiki łemkowskiej zakończyło aresztowanie dr. Jarosława Kaczmarczyka i jego współpracowników, którym wytoczono w Nowym Sączu proces o zdradę państwa. Finałem był wyrok sądowy, który uniewinniał oskarżonych, jako ludzi „nie mających złej woli". Gorzej potraktowano... prokuratora, któremu zarzucono, iż „nie zna się na stosunkach polsko-ruskich".

Sprawa słowackiej Łopaty

Historia Żegiestowa jako zdrojowiska rozpoczęła się w 1846 r., kiedy to Ignacy Medwecki mieszkaniec Muszyny odkrył źródło wody mineralnej w potoku Szczawnik. Późniejsze lata na ogół sprzyjały uzdrowiskowej sławie Żegiestowa, do czego walnie przyczyniło się w 1876 r. otwarcie linii kolejowej Tarnowsko-Leluchowskiej, skądinąd interesującej z racji rozwiązań technicznych wymagających wybudowania koło Żegiestowa wspomnianego tunelu kolejowego o długości 550 m oraz wysokiego wiaduktu na rzece Białej koło Grybowa.

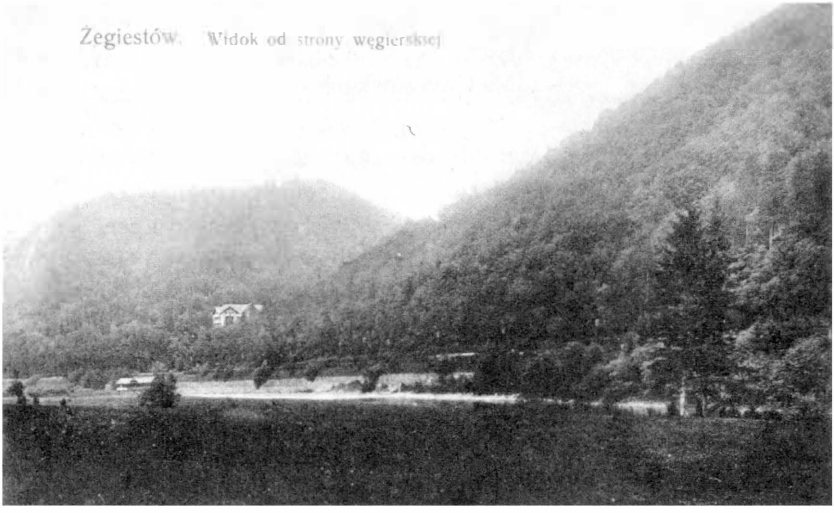

Pocztówka ze zbiorów Muzeum Okręgowego w Nowym Sączu

Sprawą wielkiej wagi dla rozwoju Żegiestowa była w okresie międzywojennym kwestia uzyskania zgody i przejęcia od państwa czechosłowackiego tzw. Łopaty słowackiej, terenu na wysokości Zdroju, utworzonego zakolami meandrującego Popradu. Ten niewielki 250-hektarowy obszar miał dla Żegiestowa kapitalne znaczenie z punktu widzenia komunikacyjnego i wypoczynkowo-rekreacyjnego. W wyniku starań poczynionych przez prof. Walerego Goetla udało się w 1924 r. w Starym Sączu uzyskać zgodę władz czechosłowackich na odstąpienie tego kawałka terytorium Polsce w zamian za prawo spławiania słowackiego drewna Popradem i Dunajcem do Marcinkowic oraz pod warunkiem wykupienia lub dzierżawy tamtego terenu od właścicieli słowackich.

Niestety, ponieważ warunki te przez rząd polski nie zostały spełnione, a przez zainteresowanych właścicieli Żegiestowa nie mogły być wykonane, sprawa przejęcia Łopaty słowackiej uległa dezaktualizacji. Pomimo tego prof. Goetel nie ustępował w wysiłkach, aby doprowadzić do odnowienia korzystnej dla strony polskiej umowy. W 1931 r. w Gdyni raz jeszcze uzyskał zgodę na odstąpienie Polsce skrawka nadpopradzkiej ziemi. Niestety władze polskie i tym razem nie wykazały w tej sprawie należytego zainteresowania, żądając równocześnie unormowania innych spornych kwestii na południowej granicy, co definitywnie uniemożliwiło pomyślne załatwienie przejęcia ważnego dla Żegiestowa terenu w zakolu Popradu.

Na Chyszówkach

W listopadzie 1914 r. Józef Piłsudski ze swoimi legionistami przerzucony został do Makowa Podhalańskiego, a następnie do Mszany Dolnej. Zadaniem Piłsudskiego było wsparcie kawaleryjskiego korpusu gen. Nagy`a, walczącego w okolicach Dobrej z wciąż napierającymi Rosjanami, którzy zdołali już zająć większą część Galicji.

Pierwszym zadaniem legionistów przybyłych w ten rejon (cztery bataliony piechoty i oddział jazdy) było znalezienie kwater na nocleg. Sprawa była niełatwa, jako że w Dobrej rozłożyła się już kawaleria węgierska, a w Chyszówkach – jak donoszono – pojawili się Moskale. Piłsudski zdecydował wtedy, że bataliony piąty i pierwszy rozlokują się w Jurkowie, zaś trzeci i drugi w Chyszówkach, które należało dopiero zająć.

Fot. L. Migrała

To co stało się później napełniło otuchą zgnębionego wcześniejszymi trudnościami Komendanta, który napisał: „Ułani rosyjscy dobrze pełnili służbę forpocztową, moi chłopcy prowadzeni przez górali, bardzo zręcznie obstawili wieś (Chyszówki) tak, że w końcu wzięto do niewoli cały szwadron z pięcioma oficerami. Straty nasze były tej nocy minimalne – jeden żołnierz zabity, drugi ranny, dziwnym trafem dwaj bracia. Ułani rosyjscy też mieli strat mało, coś kilku zabitych i rannych. Zaskoczeni znienacka, po krótkim oporze gromadnie się poddali. Uciekło tylko zaledwie kilkunastu żołnierzy i dwóch oficerów, jednego z nich zresztą w dwa dni potem ujęto. [...] Triumf nasz był tym większy, że jak się okazało z badań jeńców, szwadron ten był specjalnie dobrany z całego pułku ułanów rosyjskich. [...] Nie brałem osobistego, bezpośredniego udziału w tym epizodzie zagarnięcia szwadronu do niewoli. [...] Dowodzili pod Chyszówkami z początku Wieczorkiewicz i Wilczyński, a w końcu Śmigły".

W okresie międzywojennym, w 1938 r. na Przełęczy Chyszówki, nazywanej obecnie Przełęczą Śmigłego-Rydza, wzniesiono kamienny obelisk, a obok krzyż drewniany z metalowymi tablicami. Kilka lat temu dla upamiętnienia zwycięskiej potyczki legionistów obelisk legionistów postawiono na nowo.

Schron i schronisko na Jaworzynie Krynickiej

Wybudowanie schroniska na Jaworzynie w latach trzydziestych ubiegłego wieku zalicza się do największych osiągnięć Polskiego Towarzystwa

Schronisko na Jaworzynie Krynickiej

Fot. ze zbiorów Muzeum Okręgowego w Nowym Sączu

Tatrzańskiego w Krynicy. Przełomowym wydarzeniem na drodze do realizacji tej czołowej inwestycji turystycznej w Beskidzie Sądeckim było posiedzenie Komisji Międzywydziałowej PTT w Krynicy 29 grudnia 1928 r. z udziałem przedstawicieli Zarządu Głównego, na którym powzięto uchwałę co do miejsca, rozmiarów, urządzenia i kosztów budowy schroniska.

Po kilkuletnim okresie przygotowawczym, wiosną 1934 r. podjęto roboty budowlane, które – jak należy się domyślać – przebiegały bardzo sprawnie, jako że jeszcze w grudniu tego samego roku obiekt turystyczny oddano do częściowego użytku. Nowo powstałe schronisko mogło przyjąć w tym czasie na nocleg 60 osób, dysponując czternastoma pokojami i dwoma salami zbiorowymi; nosiło imię marszałka Józefa Piłsudskiego i będąc szeroko reklamowanym uchodziło za jedną z najważniejszych atrakcji okolic Krynicy. Wystarczy w tym miejscu przypomnieć, że obiekt wzniesiony według projektu inż. Bogdana Tretera, ukończony w 1937 r. z wystrojem wnętrza według pomysłu inż. Golińskiego, zdołało odwiedzić wiele szacownych osób, z grona których najczęściej wymienia się: Jana Kiepurę i Martę Egerth, następczynię tronu holenderskiego księżnę Juliannę, Walerego Go-

etla, Mieczysław Orłowicza, Jana Gwalberta Pawlikowskiego, lotników ze „Szkoły Orląt" (Szkoła Podchorążych Lotnictwa w Centrum Wyszkolenia w Dęblinie) na czele z kpt. Jerzym Bajanem.

Schronisko na Jaworzynie spalili Niemcy w 1944 r. Istniało zatem krótko, zaledwie 10 lat, tyle samo co poprzedzający je kilkuosobowy schron turystyczny „Zośka" („Zocha", „Zochna"), funkcjonujący na zboczu pobliskiego Runka. Specjalne otwarcie schronu (możliwe m.in. dzięki zaangażowaniu i pracy inż. Zygmunta Hetpera) odbyło się z udziałem czterdziestoosobowej wycieczki 21 czerwca 1925 r. Końcem „Zośki" był pożar spowodowany zaprószeniem ognia przez nieostrożnych robotników zatrudnionych... przy budowie schroniska na Jaworzynie.

Stanisław Korusiewicz

Folwarki i dobra ziemskie kościoła św. Małgorzaty w Nowym Sączu (część II)

Prezentowany poniżej artykuł jest dokończeniem zamieszczonego w numerze 90/91. „Almanachu Sadeckiego" opracowania dotyczącego nowosądeckiej kolegiaty.

Obowiązki wobec kościoła

Do tego kościoła przypada dziesięcina wybieralna nadana w czasie erekcji:

52. Ze wszystkich pól wsi kameralnej Bielowice – 30 fl.
53. Ze wszystkich dóbr wsi kameralnej Chruślice należących do urodzonego Antoniego Wielogłowskiego – 30 fl.
54. Ze wszystkich dóbr wsi Gorzków należących do miasta Nowego Sącza – 40 fl.
55. Z dóbr wsi Zarzecze – 150 fl.
56. Z wszystkich części wsi kameralnej Dąbrówki, którą od południa zamieszkują koloniści należy się zgodnie z postanowieniem bpa Tomasza z 14.05.1459 roku należy się dziesięcina wybieralna. Na tym fundamencie i zgodnie z umową z 12.lutego 1780 roku należy się 25 fl.
57. Z funduszu wsi Zawada trzymanej przez Flipa Weinbrennera – 50 fl.
58. Z wszystkich dóbr dodanych w tejże wsi – 15 fl.

59. Z wsi Nawojówka, dziedzicznej należy się 50 fl.
60. Od trzech kmieci we wsi Kamionka posiadacz Franciszek Stadnicki winien jest 25 fl. Na podstawie decyzji bpa Ignacego Sołtyka z dni 28 września 1763, który nadał kościołowi w Nowym Sączu dziesięcinę wytyczną.
61. Z wszystkich dóbr wsi kameralnej Librantowa – 60 fl.
62. Z wszystkich dóbr wsi Kameralnej Januszowa – 40 fl.
63. Z wszystkich dóbr wsi kameralnej Kwieciszowa – 20 fl.
64. Z wszystkich dóbr wsi kameralnej Boguszowa – 20 fl.

Uwaga. W myśl dekretu z 19 III 1792 roku Gubernium wszystkie te sumy należące do kościoła kolegiaty przekazano do Funduszu religijnego.

Dla oficiałatu Kolegiaty Sądeckiej należą się z następujących wsi sumy:

65. Gołąbkowice 1 fl 12 groszy.
66. Łęka (Łenka) 4 fl .
67. Lipnica Niemiecka 15 fl 27 gr.68.
68. Grybów miasto 6 fl 25 gr.
69. Chodorowa 10 fl 30 gr.
70. Wojnarowa 7 fl 30 gr.
71. Korzenna Niżna 7 fl 30 gr.
72. Bobowa z przedmieściem i miastem 10 fl.
73. Korzenna Wyżnia alias Świegocin 4 fl 15 gr.
74. Tylmanowa 55 gr.
75. Krościenko miasto 1 fl 42 gr.
76. Szczawnica 18 gr.
77. Grywałd 18 gr.
78. Maniowy1 fl 20 gr.
79. Sromowce 30 gr.
80. Waxmund 30 gr.
81. Szaflary 32 gr.
82. Nowy Targ miasto 1 fl 52 gr.
83. Do dekanatu tegoż kościoła na mocy erekcji przypada dziesięcina manipularis, że wszystkich pól i ogrodów wsi kameralnej Kurów.
84 Dla kustosza tego kościoła, a później parafii nowosądeckiej należało się ze wsi Kamionka 363 f 11 gr.

85. Dla kononi fundi Nieszkowa należała się dziesięcina wybiórcza że wszystkich wsi ogrodów wsi Nieszkowa w sumie 90 fl.
86. Dla kanonii fundi Dąbrówka na mocy erekcji należała się dziesięcina wytyczna z części tej wsi w wysokości 50 fl.
87. Dla kanonii fundi Biegonice na mocy dokumentu erekcyjnego należała się dziesięcina wytyczna z ogrodu większego w tej wsi w wysokości 120 fl.
88. Dekretem gubernialnym na podstawie innego dekretu z 25.01.1804 nr 1474 w miejsce opuszczonej kanonii do tego kościoła przynależnej włącza się, od której sumę 250 florenów należy się do kasy miejskiej.
89. Do tego kościoła Wojciech Kotlarski mieszczanin nowosądecki darował 100 flp z ogrodu na Przedmieściu Większym leżącym po5 fl na msze to daje1 fl 15 groszy.

Także na mocy dekretu z 18 07.1800 roku Urzędu Gubernianego dla kustosza kościoła sądeckiego z dóbr kustoszowskich we wsi Kamionka należy się 50 fl.

Meszne[1] (winni dać)

90. Świniarsko Duże: 13 fl 52 gr.
91. Kunowa: 7 fl 28 gr.
92. Falkowa:
93. Falkowa z rolą Kisielówka, Klistówka koło Nowego Sącza: dano jedyne 54 gr.
94. Jamnica: 7 fl 28 gr.
95. Gołąbkowice: 12 fl 48 gr.
96. Gołąbkowice z folwarkiem Antoniego Wielogłowskiego: 4 gr. (dano w naturze)
97. Librantowa Duża: 6 fl 24 gr.
98. Librantowa Mała: 5 fl 29 gr.
99. Kwieciszowa: 3 fl 12 gr.
100. Boguszowa: 4 fl 16 gr.
101. Januszowa: 12 fl 48 gr.
102. Chruślice: 3 fl 12 gr.
103. Piątkowa z Paszynem (19fl 76 gr), Roszkowicami (2 fl8 gr).

[1] Meszne – w dawnej Polsce nazwa podatku przysługującego parafii za odprawianie mszy w kościele.

106. Chełmiec: 19 fl 76 gr.
107. Świniarsko Małe z Małą Wsią: 6 fl 24 gr.
108. Strugi: nie dali nic.
109. Drzykowa: 2 fl 8 gr.
110. Rdziostów: 3 fl12 gr.
111. Podłaże: 2 fl 8 gr (zrujnowane przez rzekę Poprad, nic nie dali)
112. Dombrówka: 16 fl 64 gr.
113. Bielowice: 3 fl 12 gr.
114. Nawojowka: 12fl 48 gr.
115. Gocz z Hamplową (Jak Podlaze)

Razem 162 fl 652 gr.

116. Także kościołowi nowosandeckiemu na Meszne mocą dokumentu z 1801 roku z domów drewnianych wsi Paszyn nic nie dano.
117. Teraz na pamiątkę Erekcji Kościoła Kolegiaty nic się nie daje dla Kościoła Katedralnego w Krakowie.
118. Z fundacji Jana Dobka na wsiach Zabełcze i Wielopole nic się nie daje.
119. Z dróg publicznych ze wsi Zabełcze i Piątkowa nic się nie daje.

Bartłomiej Janczy proboszcz nowosandecki. Dnia 15 grudnia 1805 r.

Stanisław Korusiewicz

Siedlce z Słowikową

Wzorem wcześniejszych numerów „Almanachu Sądeckiego" zaprezentowano poniżej kolejny opis wsi powstały niespełna dwadzieścia lat po utracie niepodległości przez Polskę, określający granice Siedlec i Słowikowej. Ten mocno zniszczony dokument znajduje się w zbiorze autora i jest opatrzony stosownymi pieczęciami urzędowymi. Brzmi on tak:

Opisanie granic instrument wsi Siedlec y Słowikowy do państwa starosandeckiego w cyrkule nowosandeckim należących dnia 24 juni 1787 anno.

Ta wieś nie może być rozgraniczona jedna od drugiej z przyczyny, iż grunta są pomieszane jak Słowikowskie między Siedleckimi, tak Siedleckie między Słowikowskie znajdują się.

1. Na rogu gór w Groncie zwanym na granicy Siedleckiej, Łęckiej y Librantowskiej jest wysuty kopiec pierwszy w ścianie południowej znajdujący się, która idzie krzywo ku wschodowi. Odległy jest od kopca 2go na sągów 100. Jest w nim znaków kowalskich 4.
2. Kopiec w polu Góra zwanym w tej samej ścianie na południe recta Linea idąc do kopca 3o między granicą Łęcką y Siedlecką, odległy jest na sągów kwadratowych 42. W nim żużle 4.
3. Kopiec w tej samej ścianie pod samym lasem idąc na dół ku lasowi wysypany jest kopiec, w którym jest mały świerk drzewo zwane. Odległy jest od kopca 3go do 4go na sągów 28.
4. Kopiec w tej samej ścianie nad samym lasem recta Linea idąc prosto lasem na dół do kopca 5go, odległy na Sągów 97 jest. W nim żużle 4
5. Kopiec w lesie wysypany nad potokiem, który oznacza granicę zupełną obydwóch stron tak Łęckiej, jako y Siedleckiej, odległy jest od kopca 6 na sągów 240.
6. Kopiec idąc potokiem do kopca 7go, który potok wyznacza granicę wspólną wysuty jest w Podłężu zwanym, między gruntem od Łeli, a Łękami od Siedlec oddalony jest do kopca 7 na sągów 460. Jest w nim szkło y stara butelka. Tu granica zwraca się krzywo ku wschodowi. W tym kopcu jest żużlin.

7. Kopiec idąc od Podłęża do kopca 8go w tej samej ścianie. Jest odległy na sążni 90. Jest w nim szkło.
8. Kopiec na Babich Laskach zwany przy drodze, która idzie z Łęki do Trzycierza. Jest odległy od kopca 9go na sągów 190. Jest w nim szkło i lampy.
9. Kopiec idąc przez drogę, także na Babich Laskach. Odległy jest na sągów 20 w tej samej ścianie. Jest w nim żużlic 4.
10. Narożnik na wschód słońca druga zaczyna się ściana. Jest wysuty kopiec jak się granica Siedlecka z Łęcką kończy, a zaczyna sie granica Trzycierska na rogi gruntu Trzycierskiego Przywarta zwanego, a kończąca się Pole Siedleckie Dolne zwane. Odległy jest na sągów 360. Jest w nim szkło y gąsiorów 2, flaszka potłuczona.
11. Kopiec kolo pola Trzycieskiego Przywarta zwane y pola Siedleckiego Dolne zwane. Odległy jest od kopca 12 na sągów 150. Jest w nim szkło.
12. Kopiec w tej samej ścianie idąc do kopca 13go na sągów140. Jest w nim szkło.
13. Kopiec wysypany przy drodze idący z Siedlec do Trzycierza odległy jest od kopca na sągów 130. Jest w nim szkło.
14. Kopiec w tej samej ścianie do narożnika północnego idąc odległy jest do kopca 15go na sągów 20. Żużlic w nim 4.
15. Narożnik na północ jak się granica kończy Trzycierza, a zaczyna się granica Janczowej przy gruncie Wypusta zwanym, do Janczowej należącym. Odległość do kopca 16go na sągów 180. Jest w nim szkło y żużlina.
16. Kopiec tenże przy wypuście y przy samej paryi, odległy jest od kopca 17 na sągów 35. Jest w nim żużlic 5.
17. Kopiec w tej samej ścianie idąc do kopca 18go, odległy jest na sągów 46. Żużlic w nim 5.
18. Kopiec w tej samej ścianie, idąc do kopca 19 jest odległy na sągów 77. Jest w nim żużlic 4.
19. Kopiec w Wypuście, idąc curva Linea 20go. Odległy jest na sągów 52. Jest w nim flaszka mała.
20. Kopiec nad paryią w łanie Siedleckim na Zalesiu Janczowskim. Odległy jest na sągów 100. Jest w nim Żulic 3.
21. Kopiec w tej samej ścianie na zalesiu, odległy jest do kopca drugiego na sągów 62. W nim żużli 4.
22. Kopiec w Tabolkach zwanych od Siedlec, a w Buczu od Janczowej odległy jest na sągów 110. Jest w nim żużlic 5.

23. Kopiec w tej samej ścianie północny nad Buczem Jarczowskim jest odległy od kopca 2go czwartego na sągów 25. W nim żużlic 5.
24. Kopiec woszczkach nad Buczem Jarczowskim w pastwisku, jest odległy na sągów 80. Jest w nim żużlic 3.
25. Kopiec w Oszczkach jak się granice stykają. Jest w nim żużlic 6. Jest odległy do kopca 26 na sągów 15.
26. Kopiec w tej samej ścianie w Oszczkach zwanych idąc Corvo Linea do kopca 22. Idąc Corvo Linea odległy jest na sągów 140. Jest w nim żużlic 4.
27. Kopiec tenże w Oszczkach między polami y nad Buczem Janczowskim odległy do kopca 28 na sągów 100. W nim żużlic 4.
28. Kopiec w tejże ścianie y labotkach nad Buczem Janczowskim idąc do kopca 29, odległy jest na sągów 110. Jest w nim żużlic kowalskich 4.
29. Kopiec tamże w Zagórzu idąc do kopca 30, odległy jest na sągów 95. Jest w nim żużlic 4.
30. W tej samej ścianie w rogu idąc do kopca 31, odległy jest na sagów 26. Jest w nim żużlic 4.
31. Kopiec na rogu Potoka na Buczu zwanego w tej samej ścianie. Odległy jest do kopca 32 na sągów 44. Jest w nim żużlic 4.
32. Kopiec nad Buczem odległy jest do kopca 33 na sągów 30. Jest w nim żużlic 3.
33. Kopiec dalej idąc do 34 kopca odległy jest na sągów 71. Jest w nim żużlic 3.
34. W tej samej ścianie idąc dalej do kopca 35nasągów 25. Jest w nim szkło i lampy stare.
35. Kopiec w Skradliszkach nad Buczem Janczowskim odległy jest do 36 na sągów 150. Jest w nim szkło.
36. Kopiec jak się kończy granica Janczowska, a zaczyna się granica Milkowy odległy jest od kopca 37 na sągów 40. Jest w nim szkło.
37. Kopiec na zgradliskach od Świni Krzywdy przy lesie jodłowym do Milkowy należącym. Jest w nim szkło.
38. Kopiec w tej samej ścianie na zgradliskach od Świni Krzywdy odległy jest na sągów 61. Jest w nim szkło. Leży nad paryią z jednej strony od Siedlec, z drugiej od Świni Krzywdy.
39. Kopiec narożnik ściana 4ta, która od lasu Librantowy y Siedlec graniczy jest wysuty kopiec na zachód jak się dwa potoki schodzą. Jeden od Zgradlisk a drugi wypadający z siedleckich niw, a ciągnie od Jelny y Słowikowej, jest odległy na sążni 522. Przyczyna tej odległości, iż potok jest właściwym ograniczeniem jest w nim. Szkło na kamieniu osadzone i wierzba.

40. Kopiec jak się granica Siedlecka kończy, a zaczyna się granica Słowikowej koło Jelny. Jest w nim szkło. Odległy jest od kopca 41 na sągów 190.
41. Kopiec w Niwach do Jelnej należących, a w Zagórzu do Słowikowej, odległy jest na sągów 116. Jest w nim szkło y Żulina.
42. Kopiec w tej samej ścianie idąc do kopca 43 odległy jest na sągów 36. Jest w nim flaszka.
43. Kopiec tamże recta linea idąc do kopca 44 odległy na sągów 70. Jest w nim żużlic 4.
45. Kopiec do Neu Jelny w Zagórzu Słowikowy jest wysypany kopiec idąc do kopca 46. Odległy jest na sągów 147, jest w tym kopcu szkło.
46. Kopiec w tej samej ścianie idąc do kopca 47odległy jest na sągów 100. Jest w nim szkło.
47. Kopiec idąc prosto ku kopcu 48 jest odległy na sągów 73. Jest w nim szkło.
48. Kopiec w tej samej ścianie idąc dalej ku kopcowi 49, jest odległy na sągów 115.
49. Kopiec w tej samej ścianie idąc dalej do kopca 50 na sążni 115. W nim szkło.
50. Kopiec idąc dalej na sądów 141. Jest w nim szkło.
51. Kopiec na koniec od Jelnej y od Słowikowej idąc do kopca 75. Jest w nim szkło i kamień, który z dawnych lat granicę okazuje.
52. Kopiec na sągów 140 jak się kończy granica od Jelnej Jedleńska, a zaczyna się od Ubiadu, Słowikowy, na Górze nad potokiem płynącym od Słowikowej ku Jelnej.
53. Kopiec w polu od granicy Ubiadu Czasniki zwanym pomiędzy Ubiadem y Słowikową. Jest w nim żużli 5. Odległy jest do kopca 54 na sągów 340.
54. Kopiec na Dziale od Ubiadu y Słowikowej odległy do kopca 55 na sągów 152. Jest w nim żużlic 4.
55. Kopiec w tej samej ścianie odległy na sągów 40. Są w nim żużlice.
56. Kopiec na gruncie Zalesie zwanym od Ubiadu y Słowikowej odległy jest do kopca 57 na sądów 152.
57. Kopiec jak się kończy granica Ubiadu, a zaczyna się granica Klimkówki pod polem Karnia zwanym do Klimkowski należące, a nad polem Zalesie zwanym do słowikowy należące. Jest w tym kopcu żużlic 5. Odległy jest od kopca 58 na sągów 50.
58. Kopiec idąc dalej w tej samej ścianie odległy jest do kopca 59 na sągów 121. Jest w nim flaszka.

59. Kopiec w łące od Klimkówki y od Stankowej jest w nim żużlice 8 w odległym na sągów 64.
60. W tej samej ścianie idąc dalej do kopca 61 odległy jest na sążni 95. Jest w nim żużlic 8.
61. Kopiec w lesie, jest w nim żużlic 8 odległym na sągów 134.
62. Kopiec wchodząc z lasu na rogu ku Klimkówce, od Słowiowy odległy jest na sągów 330 odległość jego dla tego wielka, iż potok y paryia graniczy lasem. Jest w tym kopcu Żulic 5 y szkło.
63. Kopiec od Klimkówki przy polu Podały zwanym, a od Słowikowej przy pastwisku Szwarnia zwanym. Jest w nim żużlic 7 y szkło.
64. Kopiec jak się kończy granica Klimkowska, a zaczyna się granica Librantowska, od Słowikowej przy pastwisku Skwarpia zwanym, a od Librantowej przy pastwiskach Kaminowce zwanych. Jest w nim żużli 6. Odległy jest na sągów 20.
65. Kopiec od Librantowej y Słowikowej. Jest w nim żużlic 7. Odległy od kopca 66 na sągów 131.
66. Kopiec przy lesie w tej samej ścianie, odległy na sągów 140. Są w nim Żulice 10.
67. Kopiec tamże, odległy na sągów 365 przy lesie siedleckim y pastwisku Librantowskim. Jest w nim szkło y żużlice.
68. Kopiec na rogu lasu siedleckiego, odległy jest do kopca 69 na sągów 88. Żużlic w nim 14.
69. Kopiec na rogu lasu na Zadeberu Librantowskim zwanym, od rogu lasu siedleckiego. Jest w nim żużlic 26.
70. Kopiec ostatni w Zadebeżu zwanym od Librantowej, a od Siedlec na Górach zwanym pastwisku. Jest w nim żużlic 40.

Konstanty Nidecki – plenipotent.
Bartłomiej Majerle – dyrektor.
Data 22.09.1787 roku.
Jerzy Olszewski - delegowany plenipotent
Kazimierz Rębiasz – przysiężny +++
Kasper Cabała – przysiężny +++
Ze strony dominium Zbyszyce.

Imieniem małoletnich sukcesorów Gostkowskich dziedziców lasów Trzycierza y Janczowy – Marceli Wyszkowski L.S.

Adolf Mieczkowski Losi Łęki. Posesor zastawny L.S.

Rudolf Wacek

Dookoła Karpat na rowerze

Poniższy tekst jest przedrukiem z „Wędrowca" (5 XI 1911), dwutygodnika ilustrowanego poświęconego turystyce i sportowi w kraju i zagranicą, wychodzącego we Lwowie.

Jego Autor był wybitnym propagatorem turystyki rowerowej, organizatorem Koła Cyklistów we Lwowie (1911). W niepodległej Polsce wydawcą tygodnika „Sport", kierownikiem referatu sportowego Polskiego Radia Lwów.

„Almanach Sądecki" dedykuje niniejszy tekst niezawodnemu Przyjacielowi redakcji Piotrowi Tengowskiemu i wszystkim miłośnikom turystyki rowerowej.

*

Od dawna nęciła mnie myśl odbycia wycieczki rowerem przez nieznane dotychczas naszym cyklistom drogi w Karpatach wschodnich – do słynnego przełomu Dunaju koło Orsowy. Stąd miałem zamiar dostać się do Budapesztu zaś znowu kołem przez liczne pasma Karpat zachodnich do Nowego Sącza. Chcąc urzeczywistnić ten zamiar, skorzystałem z wolnego czasu wakacyjnego i dnia 12 sierpnia b.r. spakowałem do worka turystycznego najniezbędniejsze rzeczy przybory do roweru, bieliznę, aparat fotograficzny i nieco prowiantów, i puściłem się w drogę. Była to sobota: dzień jasny, słoneczny, pogoda zapowiadała się stała.

Ze Lwowa wyruszyłem o godz. 6 rano pociągiem przez Stanisławów do Delatyna, skąd już dalszą drogę odbywałem na kole. Z Delatyna przez Jaremcze, Mikuliczyn, ciągle w górę Prutu, dotarłem do Tatarowa. Nie rozpisuję się nad pięknością tej okolicy: znana ona dobrze naszym letnikom i turystom. [...].

Z Tatarowa skręciłem na prawo, opuściłem brzeg Prutu, a po 13 km. Uciążliwej drogi w górę, stanąłem na przełęczy Jabłonickiej, zwanej także wąwozem Tatarskim (931 m.). Jest to jedyny przesmyk łączący Galicyę wschodnią z Węgrami. Z przełęczy tej przepiękny roztacza się widok, stojąc twarzą zwróconą do Węgier, mamy po lewej ręce potężne pasmo Czarnohorskie, w dali ku wschodowi widnieje wspaniale Howerla, bliżej niższy zaledwie o 36 m. Pietros., po prawej zaś podziwiać można skaliste Gorgany, najmniej poznane i najmniej dostępne pasmo w Karpatach. Z przełęczy tej po raz pierwszy zobaczyłem w dali połoniny. widok tych niezmierzo-

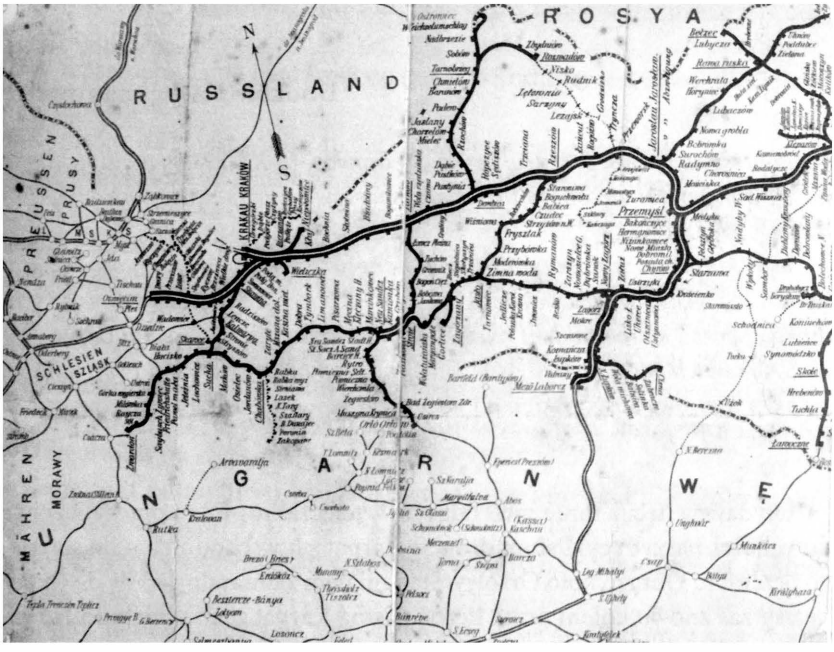

nych wyżyn, ogołoconych z drzew, ale porosłych bujnemi trawami, nuży zarówno wzrok, jak i umysł; budzi jakąś nieokreśloną tęsknotę, która jest szczególnym rysem w charakterze Huculów i odbiła się też i w ich życiu, w zwyczajach i przesądach, w ich poezyi.

Niespokojny, zamiłowany w swobodzie, lekceważący życie, rujnujący się na wesela i zabawy a systematycznie rozpijany przez szynkarzy. Hucuł z lekkim sercem wyzbywa się ojcowizny, degeneruje się i możliwe, że nadejdzie czas, kiedy ten rycerski góral zniknie z połonin, a miejsce jego zajmie inna, bardziej przedsiębiorcza rasa...

Po dłuższym odpoczynku puszczam się w dalszą drogę. Bardzo niebezpieczna serpentyna prowadzi w dół do Jasienia (Körösmezö). Tutaj spotykam się z Cisą Czarną i wzdłuż jej brzegu dojeżdżam do Burkutu, uroczej miejscowości kąpielowej, taniej, lecz pozbawionej wszelkich wygód. Większość letników to Polacy, dlatego zatrzymałem się tu na nocleg.

Nazajutrz jadąc ciągle brzegiem Cisy Czarnej, stanąłem w południe w Sygiecie, stolicy Marmaroszu. Przestrzeń od przełęczy Jabłonickiej do Sygietu (86 km.) zaliczam do najpiękniejszych i najwdzięczniejszych dla

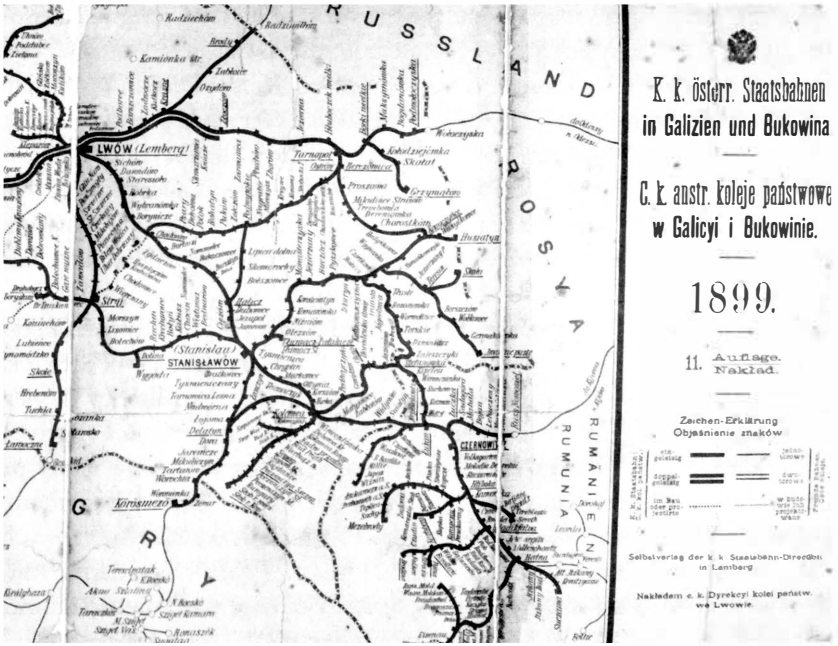

cyklistów. Gościniec doskonały, tuż obok tor kolejowy, Cisy nie opuszcza się nawet na chwilę zbocza pokryte lasami i rozległemi połoninami; lud grzeczny, udzielający chętnie informacyi, a porozumieć się łatwo, gdyż siedziby huculskie sięgają aż Sygietu. Zapadłość Marmaroszu to eldoradu dla myśliwych; tu odbywają się najpiękniejsze polowania na niedźwiedzie, wilki i jelenie, tu posiadają swe zamki myśliwskie książęta austryaccy i magnaterya węgierska; z przyległymi częściami Galicyi i Bukowiny jest to najpiękniejszy kompleks leśny na obszarze monarchyi.

Przenocowawszy w Sygiecie, wyjechałem w poniedziałek rano w dalszą drogę wprost na południe ku stolicy Siedmiogrodu, Koloszwarowi. Niestety jednak widzieć jej nie było mi sądzonem! Po dwunastokilometrowej, zupełnie równej drodze, wśród pól pokrytych tytoniem, winem i kukurydzą, zacząłem się wdzierać w góry Rodniańskie, stanowiące północną krawędź wyżyny siedmiogrodzkiej; miałem już za sobą 24 km. uciążliwej drogi i dobijałem do przełęczy Rotundulskiej (1257 m.), gdy nagle trzasła mi oś pod silnym naciskiem nogi, i odpadła wraz z lewym pedałem. Znalazłem się w fatalnym położeniu: sam jeden bezradny, wśród gór i lasów, i to pod wieczór! Po chwili

namysłu, zaciągnąłem mego okaleczonego rumaka do lasu, ściągnąłem worek z pleców, wydobyłem mapy i zacząłem je studyować: przedemną 40 km. do stacji kolejowej Fölsö Banya, za mną Sygiet w odległości 36 km. Wybrałem powrót do Sygietu – z góry jadę na kole z obwisłą lewą nogą, prawą hamując, po równinie zaś lub pod górę idę. Nie wytrenowany jednak w chodzie, uczuwam zmęczenie i głód daje mi się we znaki. O północy dopiero kończę ten nieszczęsny powrót do Sygietu, a posiliwszy się w hotelu «Panonia», usnąłem snem kamiennym. Rano obszedłem wszystkich mechaników, lecz nadaremnie. Wszyscy, jakby się umówili, wysyłają mnie do Budapesztu. Usłuchałem rady: wsiadłem na pociąg i przez Huszt, gdzie Cisa wązką i malownicza bramą uchodzi na niziny dolnych Węgier, przez Szatmar, Debreczyn, Szolnok, po 15-godzinnej jeździe, przebywszy 450 km., znalazłem się w stolicy Węgier. Nazajutrz, t.j. 16. sierpnia oddałem zaraz rower do naprawy filiji «Pucha», a sam korzystając z wolnego czasu, udałem się statkiem po Dunaju, na wyspę Małgorzaty, gdzie zwiedziłem doskonałe korty tenisowe, boisko footballowe i olbrzymią salę gimnastyczną. Wszystko to własność klubów sportowych Magyar Atleticai Clubu. Pieczę na tym ma miasto, gdyż ono za darmo klubom terenu udziela i materyalnie wspiera. Czyż więc możemy się dziwić, że tam sport wyżej stoi, że większe jest zainteresowanie się publiczności, że matche ściągają dziesiątki tysięcy widzów. A u nas? Kluby rodzą się jak grzyby, ale wiodą żywot suchotniczy i giną niepostrzeżenie, inne znów żyją, lecz w deficytach, płacąc cudzym za boiska, a miasto – miasto daje tereny i koncesye na atrakcje «parku Luna»!...

Te mysli nasunęły mi się wśród obcych, gdym patrzał i zazdrościł ich rozwojowi. Po za wyspą św. Małgorzaty, Budapesztu nie zwiedzałem; poznałem go dokładnie przed 4 laty: wybrałem się wtedy ze Lwowa na tymsamym rowerze przez przełęcz Stryjską (o wiele piękniejszą niż Jabłonicka), Munkacz i Miskolcz. Teraz więc nie zatrzymywałem się tutaj dłużej, lecz natychmiast po naprawie maszyny puściłem się w dalszą drogę wprost na północ, mając na celu Nowy Sącz. Wycieczki do Orsowy zaniechałem, równiny bowiem węgierskie nie przedstawiają dla mnie żadnego uroku: oku brak oparcia, ciągle łany zboża lub kukurydzy, lasów prawie żadnych, rzeki brudne, leniwe i bagniste – to wszystko nuży i zniechęca, choćby najbardziej zapalonego turystę.

Z Budapesztu wyruszyłem 16 sierpnia we środę popołudniu na północ do Wacowa. Droga (34 km.) prowadziła wśród równin na lewym brzegu Dunaju, wśród spalonych od słońca lasów akacjowych. W Wacowie zrobi-

łem kilka zdjęć fotograficznych, mianowicie starej katedry i łuku tryumfalnego, wystawionego na cześć Marji Teresy i Józefa [...]. Dziś kto wie, czy stawialiby Węgrzy łuki tryumfalne?...

Za Wacowem miałem już przed sobą Karpaty. Na widok gór, prawie u mych stóp się wznoszących, ogarnęło mię radosne uczucie. Lubię to wspinanie się na pochyłości górskie, to pokonywanie trudności terenowych: nie uczuwam zmęczenia, nie uczuwam ciężaru na plecach; rower wydaje mi się doskonałym oparciem. A nagroda tych trudów, to balsamiczne powietrze, to kryształowej czystości woda, to kąpiele w potokach górskich a zwłaszcza rozległe i przepiękne widoki, kształcące smak estetyczny i uczące kochać te nasze Karpaty!

Pierwsze pasmo Karpat, na które zacząłem się wdzierać za Wacowem, to grzbiet Czowaniowski; z niego ostatnie spojrzenie rzuciłem na Waców, piękny Dunaj – zwłaszcza jego liczne ramiona i wyspy i na skryty w dali w chmurach dymu Budapeszt.

Słońce zwolna chyliło się ku zachodowi nacisnąłem pedały i późnym wieczorem stanąłem w górskiej, nędznej wiosce Ratság. Po noclegu u chłopa, Węgra, posiliwszy się garnuszkiem mleka i plackiem kukurudzianym, przeważnie drogą gózystą, to z góry, to do góry, przez miasto Ballasa Gyarmat, brzegiem brudnej Ipoli, przez miasteczko Losoncz, stanąłem na nocleg w Rymowskiej Sobocie (Rima Szombat). Droga niezbyt interesująca (120 km.), teren podobny do terenu między Lwowem a Mikołajowem. Po drodze słyszałem już mowę słowacką, widziałem napisy «korczma», gdzieniegdzie w lasach spotykałem nędzne szałasy Cyganów. W Rima Szombat, gdzie zastałem wiele wojska, zdążającego do Koszyc na manewry, z trudem udało mi się ulokować na noc. Zaspokoiwszy dorywczo głód i pragnienie, udałem się piechotą za miasto, gdzie użyłem doskonałej a orzeźwiającej kąpieli w Rymie. Nazajutrz, tj. w piątek 18 sierpnia, pokrzepiwszy się litrem gorącego mleka, podążyłem w górę rzeki Rymy do słynnego z obfitości rudy żelaznej Tysolcza. Miałem przed sobą do przebycia potężne pasmo Uhrońskie, najbogatsze w kruszce. Po gościńcu, wijącym się w kierunku północno-wschodnim, po 14 km. jazdy w ciężkim, górskim terenie, znalazłem się w górniczej osadzie w Muraniu. Tu na olbrzymiej wysokości i niedostępnej zboczy wznoszą się ruiny zamku Murańskiego, starego gniazda rycerskiego, pięknego zabytku czasów średniowiecznych, z którym łączy się nie jedna karta dziejów węgierskich. Z historyą tego zamku zapoznałem się zaraz w Muraniu. Uprzejmy Madiar, właściciel gospody, w której odpoczywałem, z dumą mi opowiedział,

iż u nich dziecko w 3-ej normalnej [klasie] zna tę historyę na pamięć, a wskazując mi palcem na wyniosłe mury, wiszące wprost nad miasteczkiem, dodał: raz jeden były one w rękach wroga, i kobieta nas wtedy zdradziła. I opowiedział mi długa historyę wiarołomstwa Marji Szeczi, która w XVII w. oddała ten zamek Weselenyemu, wodzowi armii cesarskiej.

Dalszą drogę z Murania do Vöröskö a nawet dalej do Popradu zachowałem w pamięci jako najpiękniejszą z Budapesztu do Nowego Sącza: dziesięciokilometrowe wyjście (o jeździe z powodu silnych serpentyn niema mowy) i prowadzenie koła sowicie wynagradza cudny widok na stromo spadający, imponującej wysokości stok górski, ciągnący się równolegle z gościńcem aż do samego szczytu po przeciwnej stronie wąwozu, na dnie którego pieni się i huczy dziki zawalony głazami potok; wypływa on przy gościńcu z pomiędzy olbrzymich słupów gnejsowych. W ścianie tej górskiej widać z daleka otwory i pieczary, w których, jak twierdzą tutejsi Słowacy, spoczywają skarby po zbójnikach. Obróciwszy się wstecz, śladem co dopiero przebytej drogi, widzi się w dali na tej samej ścianie, na jej urwistym końcu zamek Murański: dookoła lasy jodłowe i bukowe, gdzieniegdzie czerwieniejące od malin zręby. Całość sprawia wrażenie potężne, wzroku trudno od tego oderwać – nie powstydziłyby się tej ściany nasze Tatry! Z przełęczy murańskiej po 15 km. Jazdy w dół stanąłem w Vöröskö, a po dwugodzinnym odpoczynku udałem się w dalszą drogę do Popradu. Za Vöröskö rozpocząłem się znowu wdzierać serpentynami na górę, doskonały jednak stan gościńca, daleko odsłaniające się widoki górskie, a zwłaszcza uczucie, że za chwilę ukażą się Tatry, sprawiają, że uciążliwości terenu nie odczuwa się zbytnio.

Osiągnąłem nareszcie wierzchołek i Tatry jednak skryte we mgle; na prawo pasmo Hnileckie, na lewo potężne Tatry Niżne, za mną dopiero co przebyty wał gór Uhrońskich, przedemną kręty wąwóz biegnie ku dolinie spisko-liptowskiej. Na przestrzeni między Vöröskö a Popradem ściany wąwozu tak bardzo zbliżają się do siebie, że dnie jego pomieścić się zdoła zaledwie potok i gościniec. Prostopadłe ściany tego wąwozu przypominały mi żywo dolinę Kościeliską. Ale oto ściany wąwozu urywają się nagle i oczom turysty ukazuje się rozległa, lesista dolina sięgająca hen aż do Popradu, dokąd już późnym wieczorem dotarłem. Mnóstwo turystów, hotele wszystkie zajęte, że schronienia długo szukać musiałem, posiliwszy się w końcu wybornymi pstrągami, syt wrażeń smacznie zasnąłem.

Nazajutrz już o 5 wyruszyłem w dalszą podróż, na ostatni etap jazdy na kole. Drogę miałem łatwą, ciągle w dół rzeki Popradu przez Kesmark

(14 km.) do Lubowni (34 km.), Tatry zdaleka tylko mi się zarysowały potężnymi konturami. Patrząc na nie, wspominałem na wycieczkę, którą przed trzema laty odbyłem na tym samym rowerze dookoła Tatr: Zakopane wówczas obrałem za punkt wyjazdu na wschód a przyjazdu z zachodu. Koło Lubowni deszcz zaczął padać ulewny, tak że całą godzinę przesiedzieć musiałem pod stertą. Był to pierwszy i ostatni deszcz podczas całej mej tygodniowej wycieczki. Za Lubownią wjechałem w pasmo Spiskiej Magóry, od południa i wschodu zamkniętej Popradem. Za Lubownią zwróciły moją uwagę ładnie utrzymane, a nawet zamieszkane ruiny zamku hr. Zamoyskich; gościniec pnie się w górę na przestrzeni 11 km. U szczytu otwiera się prześliczny widok ku zachodowi: zbocza gór nagie, szare, z licznymi sterczącymi skalicami, z których jedna znajduje się na samym szczycie. Poniżej nie zżęte jeszcze łany owsa, gdzieniegdzie białe plamy: to setki pasących się gęsi. Po gwałtownym zjeździe na przestrzeni 5-ciu km. dotarłem do Mniszka a stąd do Piwnicznej, gdzie przekroczyłem granicę. Granicy nie zauważyłem, tylko napisy «tu panuje pryszczyca» – «wyszynk trunkuf A. Goldberg» upewniły mię że już jestem w Galicyi. Smutne, ale prawdziwe! Z Piwnicznej, drogą równą, nad Popradem przez Stary Sącz stanąłem u celu mej podróży, w Nowym Sączu, o godz. 4 po południu, skąd koleją podążyłem do Lwowa.

Tak więc w czasie mej wycieczki zatoczyłem olbrzymie koło, wewnątrz którego znalazły się Karpaty galicyjski na przestrzeni prawie 350 km., od przełęczy Jaboonickiej do przełęczy lubowlańsko-sądeckiej. Karpaty zaś zachodnie przejechałem od Wacowa do Sącza (jest to szerokość 325 km.), w czem kilkanaście przełęczy,, z których najwyższa Murańskak 1240 m. Zdjęć fotograficznych mam 42 i to same piękne z górskich okolic. Korzyść odniosłem z wycieczki ogromną – pomijając zahartowanie się i wytrenowanie, zakres moich wiadomości geograficznych powiększył się znacznie – choćby najlepsze dzieło kute na pamięć nie da mi tego, co dała mi ta naoczna obserwacja – i to tanim nabyta kosztem 80 K, tyle bowiem mię wycieczka kosztowała.

Nieraz kładłem się spać znużony – z przyjemnością jednak marzyłem o jutrze, o nowych przeszkodach. Człowiek wprost rozmiłowuje się w górskiej przyrodzie, jest «bliżej Boga a dalej od ludzi». I jakże tu nie kochać się w takich wycieczkach, jakże nie być zapalonym turystą-kolarzem?

Kolej zostawiam dla wygodnickich, automobil dla zamożnych, dla mnie mój «Puch» jest i pozostanie – dopóki zdrowia i sił starczy, najwygodniejszym a zarazem najtańszym środkiem komunikacyjnym.

SPIS TREŚCI

Ks. Stanisław Pietrzak
Misja chrystianizacyjna na Sądecczyźnie – skąd i kiedy? 3

Leszek Migrała
Stary Sącz w okresie nowożytnym 14

Michał Lasyk
Osadnictwo łemkowskie na Sądecczyźnie 30

Bogdan Potoniec
Wodne zakłady przemysłowe Grybowa i Białej Niżnej 36

Jan Wnęk
Wspomnienia Kazimierza Chłędowskiego z czasów edukacji w Nowym Sączu 55

Piotr Wierzbicki
Początki Krajowego Związku Nauczycielstwa Ludowego Galicji w powiecie nowosądeckim 59

Leszek Migrała
Przewrót niepodległościowy 1918 roku w Nowym Sączu w artykułach i wspomnieniach 70

Bronisława Zimowska
Co to jest dom rodzinny i jaki on był dla mnie drogi (cz. 2.) 79

Leszek Migrała
Historyjki beskidzkie 99

Listy, opinie, recenzje, dokumenty 124

Stanisław Korusiewicz
Folwarki i dobra ziemskie kościoła św. Małgorzaty w Nowym Sączu (część II) 124

Stanisław Korusiewicz
Siedlce z Słowikową 128

Rudolf Wacek
Dookoła Karpat na rowerze 133

KRAJOWEGO ZWIĄZKU NAUCZYCIELSTWA LUDOWEGO W GALICYI
KRAKÓW. NACZELNY ZARZĄD
KNZL